NUMER ŚWIĄTECZNY

Stron 16

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 30 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V Łódź, 28 marca — 4 kwietnia 1948 r. Nr 13-14 (142-143)

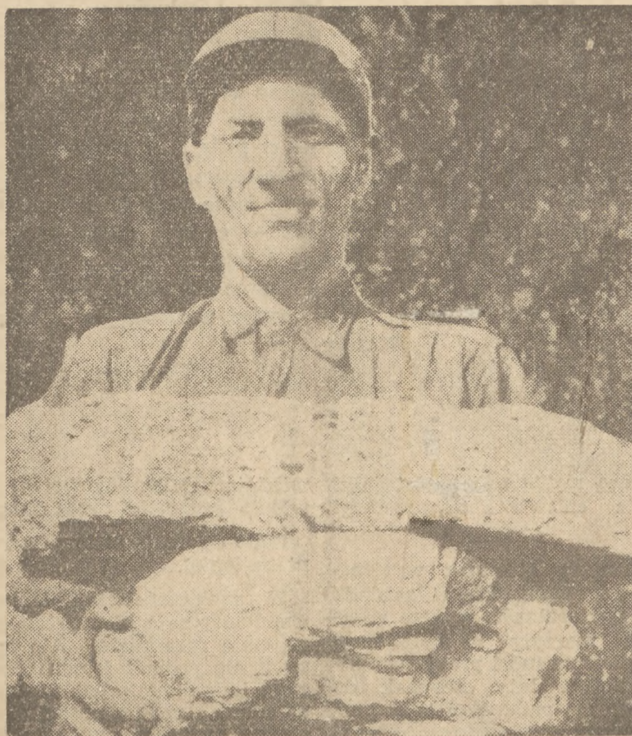


W NUMERZE
między innymi:

KONKURS NA GODŁO PAŃSTWOWE



II nagroda. Praca M. Byliny i F. Bandtke



Wincenty Pstrowski

KONKURS NA GODŁO PAŃSTWOWE



III nagroda. Praca Z. Kamińskiego, E. Johna i F. Hebdasa

Aleksander Litwin

WSPÓŁZAWODNICTWO A HUMANIZM

Gdy spytano w swoim czasie Pstrowskiego — w czym leży tajemnica jego osiągnięć — odpowiedział: „Najpierw trochę pomyślę, a później pracuję".

Ostatnio w rozmowie ze mną dodał, iż swych „sposobów" podniesienia produkcji bynajmniej nie wyczerpał. Jego rekordy wydajności pracy zostały pobite przez innych górników; ale również on, Pstrowski, podejmie wysiłek, aby poważnie przekroczyć własne wyniki. Rzecz cała w „sposobie" produkcji, w organizacji pracy a nie w przekroczeniu norm wysiłku ludzkiego.

Pstrowski w czasie pobytu z delegacją polską w Zw. Radzieckim na uroczystościach 30-lecia zwycięstwa rewolucji, nie był w Donbasie; nie mógł dlatego zapoznać się np. ze wspaniałymi osiągnięciami górników Gorłowki. Zreferowałem mu ich metody pracy z danych prasy radzieckiej.

Wielu stachanowców osiągnęło tam światowe rekordy wydajności pracy, wykonując w ciągu dnia od 50 do 70 norm (600 — 800 ton węgla). Górnicy ci osiągnięcia swe zawdzięczają udoskonaleniom organizacji pracy. Brygady swe powiększyli oni z 2 do 8 — 9 ludzi, dokonali ścisłego podziału pracy, w rezultacie czego każdy z brygady pracuje cały dzień tym samym narzędziem przy jednej pracy; unika się tym samym przerw, człowiek wdraża się bardziej do swego zawodu i na swym węższym odcinku szybciej i łatwiej udoskonala metody swej pracy.

Pstrowski uważnie słuchał mych wywodów. Po krótkim zaś namyśle stwierdził: W Polsce nie na wszystkich pokładach da się ta metoda zastosować; w wielu jednakże kopalniach można byłoby ją wprowadzić (wyliczył kilka z nich imiennie). Wymaga to jednakże, jego zdaniem udoskonalenia organizacji i techniki pracy i, — rzecz najważniejsza — świadomego ustosunkowania się robotników do swej pracy. Pstrowski w czasie naszej krótkiej rozmowy kilkakrotnie podkreślił, iż rzeczą najważniejszą dla rozwoju gospodarki narodowej jest — zrozumienie przez wszystkich robotników polskich, iż pracują obecnie dla państwa, dla siebie. To i jedynie to leżało u podstaw jego wezwania do współzawodnictwa pracy: to jest też podstawowym warunkiem rozpowszechnienia nowych „sposobów" produkcji. Tędy wiedzie droga do potęgi państwa i powszechnego dobrobytu.

Ta krótka rozmowa jest, jak sądzę, doskonałą ilustracją zarówno istoty współzawodnictwa pracy, jak również naszych dotychczasowych osiągnięć i ich perspektyw w najbliższej nawet przyszłości.

U ŹRÓDEŁ

Współzawodnictwo pracy jest dziecięciem socjalistycznej rewolucji. Nie każdy plebejski, ludowy ruch wyzwoleńczy mógł zrodzić współzawodnictwo pracy. Nie mogło się ono zrodzić np. z walk Spartakusa, z ruchów wyzwoleńczych niewolników rzymskich przeciwko społeczeństwu klasycznemu. Klasa niewolników nie była bowiem zdolna do spełnienia samodzielnej roli w historii, nie była zdolna do zbudowania nowego społeczeństwa. Jej ideologią nie mógł być dlatego rewolucyjny, burzycielski i twórczy materializm; nie mogła ona zarysować ideału społeczeństwa równości, dobrobytu, kultury. Ideałem tych klas mogła być co najwyżej równość w ubóstwie, w ascezie, równość „wobec Boga". Praca nie była podstawowym założeniem nawet gminy chrześcijańskiej, pomimo iż wspólnota pracy była jednym z założeń jej prymitywnego komunizmu. Nie była to jednakże praca, która wieścić miała powszechny dobrobyt i kulturę, lecz co najwyżej praca, która miała zaspokoić minimum doczesnych potrzeb człowieka, by przygotować zbawienie duszy.

Nie mogły zrodzić współzawodnictwa pracy wojny chłopskie. Po pierwsze dlatego, że chłopstwo jako klasa nie było również zdolne do objęcia kierownictwa historią; po wtóre — współzawodnictwo pracy może powstać nie na gruncie drobnej rozpylonej wytwórczości, lecz na gruncie wielkiej, uspołecznionej pracy; po trzecie — współzawodnictwo pracy może się zrodzić jedynie na bazie zwycięstwa ludu i to wówczas, gdy władzę tę weźmie lud w swe ręce.

Nie mogła tym bardziej zrodzić współzawodnictwa pracy wielka burżuazyjna rewolucja francuska. Już w 1796 roku ujawniło sprzysiężenie Babeufa nie dające się pogodzić przeciwieństwa w łonie społeczeństwa kapitalistycznego. Mało tego, — gdy w rewolucji 1848 r. lud przez stworzenie warsztatów narodowych, chciał pracą swą tworzyć powszechny dobrobyt, — burżuazja odpowiedziała kulami.

Rozwinąć współzawodnictwo pracy mogła — poraz pierwszy w dziejach ludzkości — Komuna Paryska; ale ona istniała zbyt krótko i nie zdołała zmobilizować energii i twórczości ludu dla pokojowej pracy, — pracy która może odrodzić ludzkość.

Nie jest dlatego rzeczą przypadku, że pierwszą ojczyzną współzawodnictwa pracy był Związek Radziecki, że tam osiągnęło ono najwyższe wyżyny rozwoju i dokazało cudów twórczości wyzwolonej pracy ludzkiej.

A W POLSCE

Rozwój współzawodnictwa pracy w Polsce należałoby, dla historycznej ścisłości, podzielić na dwa etapy. W pierwszym, bezpośrednio po wyzwoleniu kraju, nieliczna awangardowa grupa robotników, przeważnie członków Polskiej Partii Robotniczej, objęła przedsiębiorstwa przemysłowe i po części majątki rolne i przystąpiła do ich odbudowy. Ona w najcięższych warunkach, wzywała robotników do pracy, do wytrwałości, uczciwości względem państwa ludowego i jego własności; dosłownie w przeciągu kilku tygodni przystosowała wiele fabryk do produkcji na rzecz walczących na froncie wojsk polskich; cierpliwie i z największą ofiarnością wyjaśniała głodującym i marznącym robotnikom, iż praca i wiara we własne siły jest jedyną drogą odbudowy, zapewnienia powszechnego dobrobytu i zbudowania społeczeństwa sprawiedliwości społecznej.

Dlaczego jednakże w owym czasie współzawodnictwo pracy nie mogło być jeszcze zjawiskiem tak powszechnym, jak obecnie?

Gospodarka nasza rozwijała się w owym okresie w dość szczególny sposób. Państwo objęło w swe posiadanie kluczowe gałęzie przemysłu, transportu i finansów; scentralizowane i dostateczne zaopatrzenie rynku wymagało jednakże kilkuletniej pracy. Jedynie więc czas i praca mogły zapewnić uspołecznionemu sektorowi przewagę na rynku. Natomiast sektor prywatny posiadał w swym ręku dwie kluczowe dziedziny zaopatrzenia: rolnictwo i handel. W jego też ręku w pierwszym okresie znalazła się bardzo poważna dziedzina zaopatrzenia: — szaber.

Przypominam sobie, jak w jednej z wielkich fabryk łódzkich wiele robotnic oświadczyło mi wówczas: „Jesteśmy gotowe znieść wszelki niedostatek, ale chcemy jednego, — aby państwo wzięło w swe ręce wszystko i zapewniło sprawiedliwość". Robotnice te żądały socjalizmu. Widział bowiem wówczas każdy robotnik, jak część wytwarzanego przez niego produktu dodatkowego oraz część jego zarobku przesączają się do kieszeni spekulanta.

Ten niedostatek i niezadowolenie wykorzystywały wrogie Polsce czynniki dla spotęgowania tego niedostatku i niezadowolenia, strajków i sabotażu dostaw ze wsi.

Rozwój masowego współzawodnictwa pracy stał się możliwy dopiero wówczas, gdy w państwowym sektorze gospodarki przeważyły elementy socjalizmu, gdy produkt dodatkowy przestał w poważny sposób przesączać się z państwowego przemysłu do kieszeni spekulanta, a więc gdy państwo zapewniło możliwie najbardziej sprawiedliwy w naszych warunkach podział dochodu narodowego.

Drugim warunkiem rozwoju współzawodnictwa było złamanie wszelkich nadziei reakcji na możliwość przechwycenia władzy w Polsce, gdy więc głęboko skompromitowała się w oczach narodu.

W tych nowych warunkach każdy robotnik, nawet ten, w którego umyśle nie rozwinęły się jeszcze poważnie elementy socjalistycznej świadomości, zrozumiał, iż z owoców jego pracy korzystać będzie naród, klasa robotnicza i on sam. Ułatwiły mu zrozumienie tego dwa czynniki: nowy, akordowo-premiowy, system płac, który wynagradza z nawiązką wszelkie dodatnie wyniki pracy, oraz — po wtóre — utworzenie robotniczych komisji kontroli cen, komisji podatkowych itd.; każdy robotnik poczuł się nie tylko gospodarzem Polski, ale zobaczył naocznie swą dominantę nad wrogimi mu elementami kapitalistycznymi.

CO TO JEST WSPÓŁZAWODNICTWO?

Spróbujmy określić kilka cech zasadniczych współzawodnictwa pracy.

Apologeci kapitalizmu ze wszelakiej szkoły, zarówno jawnie imperialistycznej jak i z „socjalistycznej" szkoły „zorganizowanego kapitalizmu" czy też amerykańskiej — „ludowego kapitalizmu" — wychodzą z zasadniczego założenia, że konkurencja jest motorem wszelkiego postępu na wszelkich etapach historii ludzkiej. Uznają dlatego za pozytywne i postępowe aspołeczne tendencje konkurencji; — aspołeczne, bo przecież celem tego kapitalistycznego „współzawodnictwa" jest nie dobro społeczne, lecz chęć napełnienia własnej kabzy, choćby kosztem nędzy i życia

KONKURS:

Ilu zdobędziesz prenumeratorów „Wsi"?

Patrz str. 6!

milionów. Naród, społeczeństwo, człowiek są bądź wrogami „współzawodniczącego" kapitalisty, obiektami jego eksploatacji, bądź w najlepszym razie — narzędziami dla wyzysku innych narodów.

Robotnicze współzawodnictwo pracy zakłada, iż człowiek, zarówno ten który uczestniczy we współzawodniczącej brygadzie, jak i ten z przeciwnego współzawodniczącego zespołu są współtowarzyszami walki o wyższy cel — dobro społeczne, dobro narodu. Celem współzawodnictwa jest sprawa człowieka i zbiorowości. Prawdziwie ludzki humanizm leży więc u podstaw robotniczego (socjalistycznego ze swego charakteru) współzawodnictwa pracy.

Z powyższego wynika wniosek drugi: współzawodnictwo pracy jest szkołą humanizmu, jest drogą do wyplenienia z umysłu ludzi pracy pozostałości kapitalistycznej, mieszczańskiej mentalności, egocentryzmu, kołtuństwa, moralności rwacza, wszelakich aspołecznych tendencyj, jakie odziedziczyliśmy po wiekach panowania klasowego. Współzawodnictwo pracy jest więc, jeśli wolno posłużyć się staropolskim wyrażeniem, szkołą obywatelskiego wychowania. Jest więc drogą odrodzenia człowieka.

Współzawodnictwo pracy zakłada przodownictwo tysięcy i dziesiątków tysięcy ludzi pracy, którzy świadomie pokonują stare nawyki i zastarzałe normy, którzy dają przykłady świadomego ustosunkowania się pracujących do swojej pracy. Wyższy ustrój społeczny, oparty o zasady sprawiedliwości, zrodzić się może jedynie tam, gdzie powstaje ofiarna troska szeregowych robotników o dobro społeczne, o własność społeczną, o wzrost wydajności swej pracy w interesach społeczności, tam gdzie codziennie rewolucjonizowanie życia i pracy opiera się na twórczej inicjatywie tysięcy i milionów ludzi pracy. Współzawodnictwo pracy jest więc zasadniczym elementem stałego postępu, ciągłego rewolucjonizowania życia człowieka i narodów. Jedność postępu i humanizmu są w ten sposób zasadniczymi elementami współzawodnictwa pracy.

Jedną z cech współzawodnictwa jest równanie nie na średnie ale na przodujące osiągnięcia, próby prześcignięcia rekordów. To równanie na przodujące, na najdoskonalsze wyniki, pociąga nienadążających i opieszałych do poziomu przodujących ludzi. W tym tkwi nie tylko postępowa, ale i wychowawcza rola współzawodnictwa pracy; w codziennej pracy, środkami najbardziej przystępnymi masom, w powiązaniu sprawy społecznej z osobistą, wychowuje się tysiące i miliony ludzi pracy na świadomych obywateli, świadomych twórców nowego społeczeństwa, świadomych gospodarzy swego kraju i panów swej historii.

Z istoty współzawodnictwa wynika jego znamienna cecha — zdolność i tendencja do pokonywania wszelkich przeszkód i trudności. Przodownik pracy to człowiek, który nie tylko wykonuje postawione zadanie, ale który stawia sobie za cel pokonanie wszelkich piętrzących się trudności na drodze do podniesienia wydajności swej pracy, zwiększenia ilości i jakości materialnej produkcji. Wymaga to nie tylko i nie tyle zwiększonego wysiłku fizycznego, ile wysiłku intelektualnego, rewolucjonizującej myśli szeregowych ludzi pracy. „Najpierw pomyślę, a później pracuję"—wyjaśnił to w prostych słowach Pstrowski. Ta zdolność i tendencja do pokonywania wszelkich trudności i przeszkód jest podstawą wszelkiego postępu. Współzawodnictwu jest więc obcy wszelki konserwatyzm, zaskorupiałość, zastój. Ujarzmia wszelkie siły przyrody i wprzęga je w służbę człowieka i ludzkości; zdobywczą myślą odkrywa tajniki natury i wyzwala człowieka od przewagi sił przyrody.

Ten rewolucjonizujący stosunek współzawodnictwa pracy do rzeczywistości zakłada jednakże inną, nową moralność, wyższe zasady etyki, o jakich marzyły najświatlejsze umysły ludzkie, pokolenia ludzi pracy. U podstaw współzawodnictwa leży stosunek do państwa, które stało się państwem ludu pracującego, — nowy stosunek do własności społecznej, która stała się dobrem wspólnym ludu pracy i służy jego interesom, a nie garstce wyzyskiwaczy, — nowy stosunek do pracy, która stała się wolną pracą wolnych ludzi, a nie jest już środkiem wzbogacania wrogów ludu. Świadomość tego, świadomość dokonanych przemian, jest podstawą współzawodnictwa, a zarazem podstawą wszelkich poczynań zmierzających do wychowania ludzi pracy na świadomych obywateli i budowniczych nowych zasad współżycia ludzkiego, podstawą wychowania nowego człowieka.

Kapitalistyczna konkurencja (szczególnie w okresie przedmonopolistycznym) posiadała bezsprzecznie, i posiada w pewnym stopniu obecnie, tendencje do przeobrażania społeczeństwa, do ciągłych udoskonaleń technicznych. Dlatego w swoim czasie rozwój kapitalizmu stanowił raptowny skok naprzód w dziejach ludzkości, Z tych też względów monopole kapitalistyczne są dowodem wstecznej roli kapitalizmu obecnie. Ale u podstaw kapitalistycznej konkurencji leżało prawo dżungli, „wojna wszystkich przeciw wszystkim" — jak to słusznie, choć nie historycznie określił Malthus, wyzysk człowieka przez człowieka, pomiatanie człowiekiem, zarówno konkurentem, jak tym bardziej człowiekiem pracy. Po wtóre — przeobrażenia w technice pracy, postęp techniczny nie były celem tej konkurencji, ale mimowolnym skutkiem — mimo i wbrew woli rządzącej klasy. Dalej — konkurencja kapitalistyczna zakłada nie przeobrażenia społeczne, nie postęp ku wyższym formom społecznego bytu, lecz wprost przeciwnie — tendencje do umocnienia i rozszerzania istniejącego porządku rzeczy, podporządkowania sobie innych formacji społecznych, do spotęgowania wyzysku ludzi pracy i narodów kolonialnych, do skolonializowania wszystkich narodów świata, nawet najbardziej kulturalnych (patrz plan Marshalla), a nawet obecnie do cofnięcia ludzkości ku bardziej prymitywnym, półpańszczyźnianym formom społecznego bytu. Konkurencja zakłada nie aktywność, ale bierność milionów pracujących, wyklucza ich świadomy stosunek do pracy, własności i państwa; świadomość pracujących miast i wsi — to koniec społeczeństwa wyzysku. Jak bardzo zręczni muszą być obecni ekonomiści i socjologowie, publicyści i filozofowie głównie anglo-amerykańskich szkół, którzy chcą teraz, po drugiej wojnie światowej, wykazać postępowe elementy kapitalistycznej konkurencji.

Inicjatywa i twórczość, ofiarność i entuzjazm setek tysięcy i milionów ludzi pracy— są podstawą naszego postępu, ku wyższym formom społecznego bytu, gwarancją zwycięstwa naszej drogi; one dają nam pewność, iż nowy człowiek, wychowany w pracy i budownictwie, stanie się rzeczywistym panem przyrody i panem historii ludzkiej.

SPRAWA CZŁOWIEKA

Współzawodnictwo pracy jest drogą, która wiedzie do wyzwolenia człowieka. Czy jest ono zarazem drogą wyzwolenia jednostki? Czy nie spowoduje, jak złowieszczo przepowiadają zwolennicy wolnej konkurencji, zdławienia jednostki przez zbiorowość?

Mała dygresja historyczna sprawę tę wyjaśni najlepiej.

W społeczeństwie pierwotnym poczucie wspólnoty ze społecznością, z grupą, było ogromnie rozwinięte. Ale w grupie tej człowiek nie posiadł jeszcze poczucia swego „ja", swej indywidualności. Człowieka dławiła jego niemoc wobec potęgi sił przyrody, nieustanna naprężona walka o byt, ciągłe widmo głodu, niski poziom kultury materialnej i duchowej.

Rozbicie społeczeństwa na klasy wyzwoliło spod przytłaczającej przewagi zbiorowości, grupy, jedynie nieliczną warstewkę — człowieka przynależącego do klas panujących. Ale po pierwsze — stosunki klasowe panowania i poddaństwa spowodowały, że społeczeństwo przestało być, jak wyraził się Marks, „prawdziwym kolektywem", a stało się „pozornym kolektywem". Po wtóre — w społeczeństwie klasowo rozczłonkowanym położenie jednostki określają nie jej właściwości osobiste, nie jej uzdolnienia i pożyteczność dla społeczności, ale jej pochodzenie klasowe. Jednostka przynależna do klas uciskanych i eksploatowanych jest uciskana ekonomicznie, politycznie i kulturalnie. Jednostka klas wyższych stała się niewolnikiem swej klasy, jej obyczajów, moralności, mentalności, światopoglądu.

Gospodarka towarowa, a szczególnie kapitalistyczna, zrodziły nowy probierz. Na stosunek człowieka do społeczności patrzeć zaczęto przez pryzmat towaru. Stosunki między ludźmi ukryte zostały za stosunkami między towarami. Zerwana została więź społecznej solidarności. Łączność między człowiekiem a społeczeństwem dokonuje się poza świadomością człowieka, a nawet wbrew jego woli; od jednostki — właściciela towaru — jedynej jednostki tego społeczeństwa — wypływa siła odpychająca, rozbijająca więź społeczną.

Nie trzeba chyba dowodzić, iż wyzwolenie jednostki — właściciela towaru dokonało się kosztem niewoli tysięcy i milionów ludzi pracy i całych narodów. Ale sama ta „wolna" jednostka stała się niewolnikiem produkowanego przez siebie fetysza—towaru. Towar rządzi człowiekiem i społeczeństwem, stał się siłą, którą człowiek stworzył, lecz której nie potrafił ujarzmić. Człowiek nadal nie panuje nad swoimi stosunkami społecznymi; te stosunki społeczne rządzą społeczeństwem wbrew woli człowieka.

Czy podobne stosunki społeczne mogły zrodzić współzawodnictwo pracy — współzawodnictwo społeczne, współzawodnictwo narodowe, współzawodnictwo w założeniu swym socjalistyczne?

Uspołecznienie środków produkcji rodzi świadomość współpracy ludzi w procesie produkcji, współpracy bezpośredniej, a nie przez pryzmat towaru. Łączność ta powstaje zresztą nie tylko między jednostkami, ale zarazem między przedsiębiorstwami i gałęziami produkcji; powstają między nimi, po raz pierwszy w dziejach ludzkości od czasu rozczłonkowania jej na klasy — poczucie wzajemnej wspólnoty, stosunki wzajemnej pomocy i współpracy. W ten sposób rodzi się świadomość wspólności każdego ze wszystkimi, jednostki ze społeczeństwem. Bez tej świadomości wspólności interesów nie tylko między ludźmi, ale również między przedsiębiorstwami i gałęziami produkcji niemożliwe byłoby współzawodnictwo pracy, tzn. świadomy stosunek człowieka do społecznego procesu produkcji.

Jednym z zasadniczych założeń wszelkiego społecznego współzawodnictwa pracy jest opanowanie przez człowieka swoich stosunków społecznych. Dopiero gdy człowiek pozna prawa społecznego rozwoju i je ujarzmi, podporządkuje swej woli ku dobru społecznemu, — dopiero wówczas można z człowieka pracy wykrzesać niezbędny entuzjazm i świadomość, inicjatywę i ofiarność, dopiero wówczas jednostka może się wolną i zdobyć poczucie tej wolności. Jedynie wówczas staje się widoczną wspólnota interesów jednostki i społeczeństwa, a każdy pracujący widzi, że jego wolność opiera się na wolności społeczeństwa, że jego praca służy zarówno jemu osobiście, jak i dobru społecznemu; warunkiem zaś wolności społeczeństwa jest wolność jednostki.

Współzawodnictwo pracy zakłada więc wyzwolenie jednostki, — wyzwolenie po pierwsze — spod ucisku i wyzysku klasowego, po wtóre — wyzwolenie od panowania nieujarzmionych sił społecznych. Tę wolność zapewnia równość ludzi wobec środków produkcji; nikt wówczas nie przywłaszcza sobie pracy drugiego, a praca służy bezpośrednio jednostce i społeczeństwu. Uspołecznienie środków produkcji znosi przegrody między pozbawionym wszelkich środków produkcji proletariuszem, a tymi środkami produkcj, znosi więc wszelkie stosunki zależności człowieka od człowieka, wyzwala jednostkę. U podstaw współzawodnictwa pracy leży więc poczucie wspólności ludzi, oparte o wolność jednostki.

Wolność jednostki jest obecnie koniecznością historyczną. Ta wolność i świadomość jednostki stała się bowiem warunkiem rozwoju współczesnych sił produkcyjnych. Te siły produkcyjne wymagają bowiem inicjatywy i zapału robotnika, pomysłowości i zainteresowania pracą, wysokiej jego kultury. Nie istnieje bowiem żadna inna droga pełnego wykorzystania możliwości wytwórczych współczesnej techniki. Ale założeniem tego świadomego stosunku robotnika do procesu produkcji jest — jego wolność, wolność jednostki, zarówno świadomej swego „ja", swej indywidualności, jak i poczucia łączności ze społecznością.

Wolność jednostki, leżąca u podstaw współzawodnictwa pracy, na tym więc polega, iż jednostka ta może rozwijać swe społecznie pożyteczne uzdolnienia i znajduje w tej mierze poparcie społeczeństwa.

INDYWIDUALIZM A DYSCYPLINA

Społeczeństwa klasowe, a szczególnie kapitalizm, zrodziły psychologię indywidualizmu, przeciwstawiającego jednostkę społeczeństwu. Ten indywidualizm rodzi aspołeczne i amoralne tendencje i teorie, arystokratyzm, osłabienie więzi społecznej, izolowanie jednostki i osłabienie jej pozycji. Nieumiejętność lub niemożliwość oparcia szczęścia jednostki na szczęściu społecznym, siły człowieka nad przyrodą i stosunkami społecznymi na nieograniczonej historycznie sile zbiorowości — zrodzić musiały nieuniknienie pesymizm, niewiarę w ludzkie uzdolnienia, niedocenianie twórczej siły mas.

Nie trzeba chyba uzasadniać, że indywidualizm ten, zarówno wskutek swych aspołecznych tendencji, jak również swego pesymizmu, nie da się pogodzić z klasowymi interesami walczącego proletarjatu oraz ze szczególnym przejawem tej walki — współzawodnictwem pracy.

Jednym z założeń współzawodnictwa jest wysoki stopień samodyscypliny klasy robotniczej i mas ludowych, krytycyzmu i samokrytycyzmu jednostki i zbiorowości, nieustanna krytyka rzczywistości w celu jej przetworzenia i udoskonalenia. Zarówno ta samodyscyplina, jak i krytyka rzeczywistości, opierają się jednakże na wierze zarówno człowieka uspołecznionego, jak i klasy czy społeczeństwa, we własne siły, w swe zdolności do rewolucyjnego przeobrażenia tej rzeczywistości, na wierze, że twórcza praca ludzka przekształci tę rzeczywistość zgodnie z celami i dobrem człowieka i społeczności. Optymizm jest więc zasadniczym założeniem współzawodnictwa pracy. A optymizm ten rodzi się z wiary w zgodność szczęścia jednostki ze szczęściem społeczeństwa.

Sprawa wyplenienia z umysłu klasy robotniczej i mas ludowych burżuazyjnego indywidualizmu — to sprawa długotrwałego procesu historycznego; jej droga prowadzi od pozostałości drobnomieszczańskiej mentalności, poprzez trade-unionizm do socjalistycznej świadomości. Współzawodnictwo pracy jest jednym z zasadniczych oręży wychowania mas w duchu świadomej twórczej solidarności, drogą do zwalczania pozostałości burżuazyjnego indywidualizmu, sobkostwa kołtuństwa.

Jedynie tędy wiedzie droga do zapewnienia wolności zarówno jednostce, jak i społeczeństwu. Ale sprawa tej wolności wymaga dyscypliny społecznej — dyscypliny pracy, dyscypliny obywatelskiej, przestrzegania zasad współżycia, chronienia własności społecznej, służenia ojczyźnie i niesienia w razie potrzeby ofiar. Sprawa wolności jednostki i społeczeństwa nakłada więc na obywatela poważne obowiązki, a państwo jest w prawie domagać się spełnienia tych obowiązków. Społeczeństwo ludowe, niosąc ofiary sprawie wyzwolenia, państwo ludowe, którego najwyższą troską jest sprawa obywatela i jego potrzeb — mają prawo żądać tej dyscypliny. Ale najwyższym wyrazem tej dyscypliny jest samodyscyplina. Ona właśnie znajduje wyraz we współzawodnictwie pracy. Jest więc wyrazem — najwyższym, bo świadomym wyrazem — patriotyzmu mas pracujących.

Aleksander Litwin.

BEZIMIENNY WIERSZ Z CZASÓW OKUPACJI

Mówiła Matula Marysi: Znów idziesz dzisiaj
I szykowała chleba z serem białym na dobę całą.
Mówiła Matula: Maryś: nie zostaw samej —
Odpowiadała Marysia: Powrócę, Mamo.
Patrzałaś Matuś z ogrodu w drogę nad borem,
Czy wraca Maryś do domu późnym wieczorem.
Robota jej z rąk leciała chcący — niechcący,
Na wieś przyszły czasy ciężkie, czasy gorące,
Zmowy, szepty w białej izbie, przygotowania,
Praca, praca przez noc całą, przez noc do rana.
W sieni, w kuchni, pod oknami ktoś się przesuwa.
Cyt! Głos ściszyć, co to? — To mama czuwa.
Miała Maryś u matuli dobrą opiekę,
Rosła dzielnie przy jej sercu — rosła człowiekiem.
Ale w życiu trzeba płacić nie ma nic darmo —
Przed chatą się zatrzymało auto żandarmów.
Wyszła matka na próg chaty w ostatnią drogę,
Młodym w chacie zgromadzonym jakże pomogę!
Bije serce, oczy twarde, woła z kamienia —
Wstrzymam, powiem — za mną w chacie nikogo nie ma.
Sczerwieniła się Marysi chustka pod lasem,
Krwawi matki skroń zraniona twardym obcasem.
Jeszcze się szmer za młodymi po krzakach wlecze —
Matka pęta nogi zbirów — w próg nie wejdziecie!
Sczerwieniła się Marysi chusteczka w lesie,
Któż wam Maryś na wykroty jadło wyniesie.
Na murawie krwawa plama — czerwień bogata,
Przed zbirami trup kobiety i pusta chata,
Jeno serce bić przestało — serce człowieka —
Krew zeń wolno spływa w ziemię, w ziemię co czeka.

Drukowany we Francji

W OSTATNIM 12(141) NUMERZE „WSI"
z dnia 21 marca 1948 r.:

Alina Nofer — Pamiętniki inteligenta; **Genowefa Szturchaniec** — Clepomania classica; **Józef Ozga-Michalski** — Wiersze; **Władysław Kuszyk** — 6 dni Czechosłowacji; **Prof. Dr J. B. Kozak** — Pogląd na rozwój historii; **Prof. Dr Fr. Koverne** — Dwa socjalizmy; **Prof. Ladislav Stoll** — Zagadnienie wolności; **Adolf Sowiński** — Lata młodości ks. Piotra Ściegiennego; **Wincenty Styś** — Wsie spółdzielcze na Dolnym Śląsku; **Józef Putek** — Do radykalizmu; **Anna Kamieńska** — Droga słowa drukowanego; **Janusz Lin** — Socjologia amerykańska; **Wiktor Heltman** — Szlachta i rewolucja; **Fakty i zdania: Stefan Mazurek** — Wojenna i powojenna droga prof. Frey; **M. Koliba** — „Tygodniku Warszawski" — cui bono?! **Konkurs „Czytelnika" i nagroda „Wsi"**; Komunikaty, 18 ilustracji, 12 stron.

SPROSTOWANIE

W nr. 8—9 z dnia 22—29 do noweli Marii Pujmanowej p.t. „Truhla" wkradł się błąd, za który przepraszamy Autorkę i Czytelników. Na str. 10, wiersz 7 od góry dokończenie zdania powinno brzmieć: „aby mógł wejść do niej zły los".

Anna Seghers

SIÓDMY KRZYŻ

Pisarze niemieccy w latach 30-tych musieli dokonać wyboru, musieli powiedzieć tak albo nie. Starsze pokolenie niemal w całości wyjechało zagranicę. Uciekli Mannowie, wyjechał Renn, Zweig i Feuchtwanger, Ekspresjoniści też wyparli się nowego reżimu. Ale młodsze pokolenie zostało. Fallada, Carossa von Molo, Kolbenheyer, największa wreszcie nadzieja wśród debiutantów Ernst Jünger opowiadali się kolejno za narodowym socjalizmem. Przykład dał im Gerhardt Hauptmann. Dziś wracający do kraju pisarze emigracji pragną zapomnieć. Usprawiedliwiają niedawne wydarzenia w wypowiedziach publicystycznych, nie piszą o nich w swych książkach. T. Mann zajmuje się Goethem i historiami Jakubowymi. H. Mann opowiada o losach Henryka IV, Remarque'a obchodzą paryskie dancingi i burdele. Becher relacjonuje lata, poprzedzające pierwszą wojnę świata. A kiedy pisarz nawet tej miary co Brecht sięga do niedawnego doświadczenia, otrzymujemy dziwaczne misterium z udziałem sił nadprzyrodzonych. Jedynie Annie Seghers udało się przełamać tę szczególnego rodzaju konwencję. „**Siódmy krzyż**" mówi o hitlerowskich Niemczech, mówi o całkowitym powodzeniu narodowego socjalizmu na terenie tego kraju. Weźmy do rąk tę opowieść o więźniu który zbiegł z obozu z Westhofen (obóz dla buntujących się przeciw hitleryzmowi), o więźniu ściganym przez „zwyczajnego" ongiś Niemca (wzorowy „armer Mann" Fallady) dziś Scharführera SS, o więźniu nie znajdującym u nikogo pomocy. Zbieg jest osamotniony, pozbawiony ojczyzny, wyrzucony z narodu. Pościg wspomagają ludzie wszystkich warstw, biorą w nim udział nawet młodzi chłopcy, ci właśnie, którzy dziś dorośli, którzy klaszczą na literackich wieczorach Jüngera, „Siódmy krzyż" to przestroga i oskarżenie. Przeczytajmy je uważnie. Takich książek o „narodowym - socjaliźmie" niemieckim jest naprawdę niewiele.

L. B.

Mimo, że wiele rozmyślał nad ucieczką, mimo, że rozważył każdy niemal szczegół w pierwszych minutach po ucieczce był jedynie zwierzęciem, które wydostawszy się na wolność, wciąż jeszcze ma uczucie niewoli. Ryk syren puszczonych w ruch po wykryciu ucieczki przenikał w głąb okolicy i budził spowite w gęstą mgłę wioski. Ta mgła przysłaniała wszystko. Nawet potężne reflektory, które rozświetlały najciemniejszą noc, teraz, o godzinie 6-tej nad ranem były wobec niej bezsilne.

Choć ziemia zapadała się pod nim, Georg przycisnął się do niej jeszcze bardziej. Wyschłe badyle wżerały mu się w palce, które były teraz bezkrwiste, lodowate i śliskie. Zdawało mu się, że coraz szybciej i głębiej się pogrąża. Mimo, iż uciekł przed śmiercią (nie miał bowiem żadnych złudzeń, że w najbliższym czasie zlikwidowanoby go razem z pozostałymi sześcioma) — teraz na myśl o śmierci w bagnie nie odczuwał najmniejszego strachu. Byłaby to inna śmierć od tej, przed którą uciekł, śmierć na wolności, nie z ludzkiej ręki.

Dwa metry ponad nim przez groblę przebiegały patrole z psami, opętane rykiem syren i gęstą mgłą. Przez Georga przebiegł strach. Usłyszał kogoś klnącego tak blisko, że mógł nawet rozpoznać głos Mannsfelda. Widocznie uderzenie łopatą, nie było dość skuteczne. Georg opuścił zarośla i wsunął się jeszcze głębiej w ziemię. Teraz trafił obu nogami na wyskok, który dawał w tym miejscu oparcie. Wiedział o tym jeszcze wtedy, gdy miał dosyć sił, aby wszystko omówić z Wallauem.

Nagle rozpoczęło się coś nowego. Dopiero po chwili stwierdził, że to syreny przestały wyć. Nowością była właśnie cisza, w której dawały się słyszeć ostre odróżniające się gwizdy i komendy padające z obozu i z zewnętrznego baraku. Posterunki nad nim biegły za psami do końca tamy. Z zewnętrznego baraku psy biegną w kierunku grobli, wtem dwa suche trzaski i silne szczekanie psów góruje nad jakimś innym słabym wyciem. To ostatnie nie może należeć do psa, nie jest również głosem ludzkim. Bo też z pewnością człowiek, którego teraz ujęto, nie ma już w sobie nic ludzkiego. „Na pewno Albert" pomyślał Georg. Istnieje pewien rodzaj rzeczywistości, gdy wydaje nam się, że śnimy, choć na prawdę nigdy nie jesteśmy dalej od snu, niż wówczas. „Tego ujęli" pomyślał Georg w taki sposób, w jaki się myśli we śnie — „Tego ujęli". Wydawało mu się nieprawdopodobnym, aby teraz było ich już tylko sześciu.

Mgła była wciąż jeszcze gęsta. Dwa światełka zabłysły daleko poza drogą — wydawało się, że zaraz poza sitowiem. Te pojedyńcze i ostre punkty łatwiej przenikały mgłę, niż reflektory. Stopniowo zapalały się światła w izbach chłopskich, wsie budziły się; wkrótce krąg świateł się zamknął. „Czegoś takiego nie może być w rzeczywistości" pomyślał Georg — „to urojenie". Miał teraz wielką ochotę klęknąć na kolanach. Poco wdawać się w to całe polowanie? „Przede wszystkim bądź spokojny" — zawsze mówił Wallau. Teraz prawdopodobnie siedział on gdzieś niedaleko, skulony w jakimś krzaku. Gdy Wallau powiedział człowiekowi swoje „opanuj się" ten rzeczywiście jakoś zawsze sie uspakajał.

Dopełzł do zarośli. Syrena rozpoczęła swe wycie na nowo. Z pewnością głos jej sięgał prawego brzegu Renu. Georg wcisnął twarz w ziemię. „Spokojnie, spokojnie" powiedział mu Wallau przez ramię. Georg wydał westchnienie i obejrzał się. Światła już zagasły, mgła stała się delikatna i przezroczysta niczym złota przędza. Szosą przeleciały trzy motocykle, podobne do rakiet. Georg przycisnął twarz do ziemi, gdy przelatywali nad nim po grobli, śledził ich tylko szparkami oczu. Reflektory stały się bezsilne w szarzyźnie wschodzącego dnia. Oby tylko mgła się nie podniosła! — Nagle trzech z nich zlazło po pochyłości. Nie dzieliło ich od niego więcej niż dziesięć metrów i Georg znów rozpoznał głos Mannsfelda. Poznał również Ibsta po sposobie, w jaki klął, gdyż głos jego z wściekłości stał się cieniutki, zupełnie kobiecy. Trzecim wreszcie głosem był głos Meissnera. To ten sam głos, który nocami zbliżał się do baraku i wywoływał pojedyńczych, jego ostatnio, przed dwoma nocami. Teraz też po każdym słowie przeszywał Meissner czymś ostrym powietrze. Georg czuł delikatny wiaterek. „Hier unten rum-gradaus wird's bald-dalli".

Drugi napad strachu, niczym pięść ściskająca serce. Oby teraz nie być człowiekiem, oby móc stać się korzeniem, pniem między pniami, pokryć się korą i zamienić ramiona na gałęzie! Meissner zlazł niżej i zaczął wrzeszczeć jak opętany. Nagle zamilkł. „Teraz mnie dostrzegł" pomyślał Georg. Stał się nagle spokojny, nie czuł zupełnie strachu. Oto koniec, bywajcie zdrowi.

Meissner zszedł teraz głębiej do innych i wspólnie przeszukiwali teren między groblą i drogą. Georga uratowało to, że znajdował się o wiele bliżej, niż przypuszczali jego prześladowcy. Gdyby uprzednio wstał i poprostu poszedł przed siebie, ujęto by go teraz w terenie. Ciekawe, że jeszcze w tej chwili przerażony i nieprzytomny, nieugięcie, trzymał się swego planu! Własne plany, które się robi w czasie bezsennych nocy, jakąż dziwną moc zachowują wówczas, gdy wszelkie planowanie idzie w kąt; jest to tak dziwne, iż człowiekowi przyjść może na myśl, że ktoś inny planował za niego W rzeczywistości jednak ów ktoś inny — to on sam. Syrena zamilkła po raz drugi. Georg pełzł w bok. Noga, która mu się poślizgnęła przestraszyła tak gwałtownie błotną jaskółkę, że Georg ze strachu puścił zarośla, których dotąd się trzymał. Nie obyło się oczywiście bez szmeru. I znów myśl dlaczego jest się człowiekiem, a w każdym razie dlaczego właśnie Georgiem. Chwiejące się trzciny powróciły na swoje miejsce, nikt nie nadchodził. W końcu przecież nic się nie stało poza tym, że jakiś głupi ptak poruszył się w bagnie. Mimo to Georg nie posuwał się dalej. Wtem zdawało mu się, że ujrzał w zaroślach twarz Wallaua — małą, bladą, zakończoną ostrym nosem...

Lecz wkrótce mara zniknęła i Georg uspokoił się. Zupełnie chłodno zaczął rozmyślać: Wallau, Fuellgrabe i ja — wydostaniemy się. My trzej jesteśmy najlepsi. Beutlera będą mieli, Belloni może jeszcze przejdzie. Aldiger jest za stary, Pelzer za miękki. Gdy obrócił się na plecy był już dzień. Mgła się podniosła. Złote i chłodne światło jesienne padało na spokojną okolicę. Georg rozpoznał teraz w odległości około dwudziestu metrów dwa duże i płaskie kamienie.

Gdy leżał już w krzakach na jednym z kamieni, wydawało mu się, że dostał się tam tak szybko i niespodziewanie, jak na skrzydłach. Oby tylko nie było mu teraz tak zimno!

Nieco na uboczu, przy drodze prowadzącej z Liebacher Au do szosy, wznosiła się fabryka octu. Poza szerokim i starannie oczyszczonym rowem leżały pola aż do drogi fabrycznej. „Ocet winny i musztarda, Mateusz Frank-Synowie" — szyld ten wbił mu w pamięć Wallau.

Gdy wychylił głowę z trzcin mgła wznosiła się już tak wysoko, że wyraźnie widać było grupę drzew za fabryką. Ponieważ zaś Georg miał słońce od strony pleców, wydało mu się, jak gdyby ta grupa drzew stała w ogniu. Jak długo mógł już tak pełznąć? Ubranie jego ślizgało się razem z ziemią. Gdyby tu się po prostu położył i tak pozostał, nikt by go nie znalazł. Nic by go nie niepokoiło z wyjątkiem krakania i trzepotania ptaków. Parę tygodni cierpliwości, a skorupa śniegu pokryje bez trudu to, co pozostało. Widzisz jak łatwo unicestwić twój plan, Wallau? Georg nawet nigdy nie przypuszczał, jak bardzo ciężkim może być jego ciało, które teraz musiał wlec za sobą. Zdawało mu się, że ciągnie za sobą całe bagno. Wtem zagwizdało coś od strony łąki, a potem odgwizdało coś tak blisko, że Georg formalnie wgryzł się w ziemię. Pełzanie! To radził mu Wallau, który przecież przeżył wojnę, walki w Zagłębiu Ruhry, walki w Niemczech Środkowych i w ogóle wszystko, co tylko można było przeżyć. Abyś tylko zawsze pełzł śmiało naprzód. Tylko nigdy nie wierz, że jesteś widoczny. Wielu właśnie przez to wpadło, że wmówili w siebie, że są odkryci i pod wpływem tego czynili jakieś głupstwo.

Georg spojrzał przez zwiędłe krzaki ponad brzeg rowu. I wówczas ujrzał posterunek w miejscu, gdzie droga prowadząca przez pole ogórkowe łączyła się z szosą. Odległość, jaka ich dzieliła była tak niespodziewanie bliska, że Georg wcale się nie przestraszył, lecz wprost przeciwnie, wpadł we wściekłość. Powoli jednak posterunek odszedł wzdłuż fabryki w kierunku łąki, poza jego plecami.

Georg czołgał się w rowie dalej, aż do miejsca, gdzie przed chwilą stał posterunek. Wallau tłumaczył mu kiedyś, że rów przechodził tam pod drogą. Czy zaś ciągnie się on jeszcze dalej i w jaki sposób, tego Wallau już sam nie pamiętał. W tym miejscu kończyły się jego przewidywania. Teraz dopiero Georg poczuł się zupełnie opuszczony. Jedyny dźwięk jaki pamiętało jego ucho, to hasło „spokój", będące dlań niejako amuletem. „Ten rów" — powiedział sobie — „przebiega pod fabryką i łączy się ze ściekiem". Musiał odczekać zanim wartownik się odwrócił. Ten zaś stanął nad brzegiem i gwizdał. Z łąki odpowiadał mu inny gwizd. Georg uświadomił sobie teraz przestrzeń dzielącą obu gwiżdżących. Mózg jego przepełniony był myślami, całe życie stanęło bezpośrednio przed nim. Gdy zaś potem siedział pogrążony w cuchnącym i wydzielającym ostre odory ścieku, poczuł nagle mdłości. Wydawało mu się, że przez ten rów nie można przepełznąć. Jednocześnie opanowała go wściekłość, gdyż ostatecznie nie był szczurem i ściek nie był dlań właściwym miejscem do zakończenia życia. Przestało już być wokół niego ciemno i doszedł go szum wirującej wody. Na szczęście obszar fabryki nie był zbyt wielki. Tam, gdzie się wydostał, po drugiej stronie muru, pole wznosiło się nieco w kierunku szosy i droga prowadziła ukośnie w górę. W kącie między murem a drogą polną wznosiła się kupa odpadków. Georg nie czuł się już na siłach iść dalej, zatrzymał się i zaczął wymiotować.



Z teki rysunków „Kwiaty Oświęcimia" Zinowiewa Tołkaczewa (Spółdz. Wyd. „Czytelnik")

Poszedł dalej. Najpierw miał zamiar udać się do Erlenbachu, zdala od Renu. Nie odważył się jednak przeciąć autostrady. Zmienił więc swój plan, o ile tak w ogóle nazwać można nieznoszące żadnego sprzeciwu wymagania chwili. Szedł potykając się i nagle stanął zdumiony. Pod jego nogami na drodze polnej leżała zielona wstążeczka. Wpatrywał się w nią tak, jakby przed chwilą spadła z nieba, aż w końcu ją podniósł.

I oto nagle, stanęło przed nim dziecko. Wpatrywali się w siebie z przerażeniem. Potem wzrok dziecka skierował się na jego rękę. Georg oddał mu wstążkę.

Dziecko pobiegło do starej kobiety, która też nagle znalazła się na drodze. „Teraz będziesz otrzymywała do warkocza tylko sznurki" — powiedziała stara kobieta i zaśmiała się. Do Georga zaś odezwała się: „Tej możnaby przewiązywać warkocz codziennie nową wstążeczką". „A więc obetnijcie jej warkocz" — odparł. „E, nie" — odpowiedziała stara. Zaczęła go lustrować. Nagle z niedaleko jeszcze położonej fabryki octu stróż Zimthütchen zawołał — „Schublädchen"! Tak bowiem nazywali starą wszyscy w Westhofen, ponieważ całe swe życie miała u siebie różne potrzebne i niepotrzebne drobiazgi, nitki, cukierki od kaszlu itd. W odpowiedzi stara potrząsnęła w jego kierunku swym starczym ramieniem. Kiedyś z nim tańczyła i o mało nawet nie wyszła za niego. Teraz nawet wokół jej bezzębnych ust i pomarszczonych policzków pojawiło się niesamowite ożywienie.

Zimthütchen ujrzawszy, że obcy oddala się teraz ze starą i z dzieckiem uspokoił się zupełnie. Georg postępujący za nimi, czuł się niejako znów przyjęty w grono żyjących. Jak się jednak okazało, droga polna nie prowadziła jedynie do wsi, lecz rozwidlała się. Stara wcisnęła wstążeczkę do kieszeni i prowadziła bliskie płaczu dziecko za warkocz obok siebie. W pewnej chwili odezwała się: „Słyszeliście niedawne widowisko? Ależ wyło! Teraz to już po wszystkim, mają go już. Na pewno nie zbiera mu się teraz na śmiech". Na skrzyżowaniu dróg zatrzymała się i rzekła: „Spójrz, mgła się podniosła".

Georg obejrzał się. Rzeczywiście, mgła podniosła się i pięknie błyszczało blado-niebieskie, jesienne niebo. „Ui, Ui" stękała stara, gdy dwa, nie, już trzy samoloty spadły z błękitu, zabłysły ostro i rozpoczęły krążyć nisko nad ziemią i dachami.

Georg szedł bezpośrednio za starą prowadzącą swą wnuczkę, do autostrady. Szli już tak, nie spotykając nikogo, z dziesięć metrów. Stara zamilkła, wydawało się, że zapomniała o Georgu, o dziecku, o słońcu i o lotnikach. Georg idzie za nią krok w krok, najchętniej schwyciłby ją za suknię.

Po ich prawej stronie ciągnął się długi i poszczerbiony mur. Przeszli już wzdłuż niego parę kroków, gdy niespodziewanie za ich plecami, bez żadnego trąbienia znalazł się motocykl. Gdyby stara się teraz obróciła, pomyślałaby chyba, że Georg był duchem. Motocykl popędził dalej, stara coś mruknęła i poszła. Georg zniknął nie tylko z jej drogi, ale również z jej pamięci.

Leżał teraz po drugiej stronie muru, ręce miał pokrwawione, duży palec lewej dłoni naderwany, ubranie postrzępione. Czy teraz zsiądą, aby go ująć? Z niskiej czerwonej cegielni o wielu oknach dochodziły go głosy całego chóru chłopców. Co też chcieli mu oni wbić w mózg jeszcze w godzinie śmierci? Drugi motocykl przejechał z przeciwnej strony w kierunku obozu w Westhofen. Georg nie odczuł z tego powodu żadnej ulgi i teraz dopiero dał mu o sobie znać ból w ręce. Najchętniej byłby ją w ogóle odgryzł.

Na lewo od czerwonego budynku, jak się okazało szkoły rolniczej, położona była cieplarnia. Brama i schody leżały po tej stronie naprzeciwko cieplarni, między zaś frontem szkoły a murem była szopa. Georg obserwował szopę zamykającą mu dalszy widok. Wreszcie przeczołgał się do niej. We wnętrzu było cicho i ciemno. Pachniało łykiem. Oko jego odróżniło różne narzędzia, kosze, części garderoby. Ponieważ nic już teraz nie zależało od jego sprytu, lecz wszystko od szczęścia, stał się spokojny i wyrachowany. Zerwał sobie strzęp i przy pomocy zębów i prawej ręki przewiązał sobie lewą. Po namyśle wziął brązowy aksamitny sweter z zamkiem błyskawicznym i naciągnął go na swe zakrwawione łachy. Wybrał też sobie buty. Wydostać się jednak nie mógł, gdyż przez szpary w deskach widział ludzi w oknach i w cieplarni. Teraz ktoś zszedł po schodach i przeszedł do cieplarni. Przed drzwiami jednak stanął i skierował się do szopy. Zawołany jednak przez kogoś z okna zawrócił z powrotem do szkoły. Zapanowała cisza. Słońce odbijało się w szybach i w częściach jakiejś, maszyny leżącej przy schodach.

Georg podskoczył gwałtownie w kierunku drzwi i wyciągnął klucz. Zaśmiał się i usiadł na ziemi, poczem zaczął oglądać swe buty. Dwie, trzy minuty mógł trwać ten stan wewnętrznego zmagania się. Gdyby teraz nadeszli, czy uderzyłby hakiem, czy też grabiami? Co go w końcu obudziło, nie wiedział sam. W każdym razie nie było to nic zewnętrznego, może ból w ręku, może strzępy głosu Wallaua, wciąż brzęczące mu jeszcze w uszach. Włożył znów klucze do środka i wyjrzał przez szparę w drzwiach. Wrócić przez mur na autostradę nie mógł. Na tle poszczerbionego muru ciągnęły się brązowe winorośle Powietrze było tak przezroczyste, że widziało się wyraźnie wierzchołki poszczególnych palików, wystające ponad jasnobrązową obwódką. Gdy tak się w nie wpatrywał, nagle wpadła mu myśl, by wziąć na swe barki jakiś niecodzienny przedmiot, który odwróci od niego uwagę. Taki bowiem ciężar nadaje wędrówce piętno celowości i niejako legitymuje niosącego.

Czy go wcale nie zauważono, czy też wzięto go za robotnika fabryki maszyn, dość, że przeszedł spokojnie między schodami i cieplarnią, następnie wyszedł przez bramę na drogę, przebiegającą obok szkoły. Ból w lewej ręce był tak silny, że minutami nie odczuwał nawet żadnego strachu. Szedł dalej po drodze biegnącej równolegle do autostrady, mijając parę domów o oknach skierowanych w jego stronę. W dok z ich górnych okien sięgał może nawet Renu. Wciąż słychać było warkot samolotów, czyste niebo wyjrzało między chmurami, prawdopodobnie zbliżało się południe. Georga palił język i stare łachy, na które narzucił sweter. Miał szalone pragnienie. Na jego lewym ramieniu koły-

(Dalszy ciąg na str. 4-tej)

Witold Jedlicki

OBRAZ NIEMIEC?...

(Ankieta „Esprit“)

O wynikach ankiety „Niemcy o sobie“ zorganizowanej przez francuski miesięcznik „Esprit“ informowała już Hanna Kulągowska w 43 (112) nr. „Kuźnicy“. Kulągowska słusznie podkreśliła pomysłowość intencji organizatorów ankiety. Fakt, że zdecydowano się oprzeć na wypowiedziach bezpośrednio zainteresowanych, a nie na artykułach najbardziej nawet bezstronnych obserwatorów zasługuje na specjalną uwagę. Tym niemniej w świetle opublikowanych wypowiedzi wydaje mi się dziwnym pogląd p. Kulągowskiej, że przedstawiony na podstawie tych wypowiedzi **obraz Niemiec** jest pełny i jednolity. Pełnym obraz ten być nie może nawet pomimo olbrzymiej ilości zamieszczonych wypowiedzi, poruszających bardzo wiele najróżnorodniejszych tematów na skutek tego, że 1) wypowiedzi te pochodzą wyłącznie z francuskiej strefy okupacyjnej, 2) nie mamy żadnych danych na wiarogodność tych wypowiedzi. Że obraz ten nie jest jednolity, świadczy o tym chociażby dobór cytat przez p. Kulągowską dokonany. Osobiście nie widzę żadnych momentów, które dałoby się ustalić za wspólne wszystkim wypowiedziom. Nawet bowiem ogólnie zaobserwowany fakt rozczarowania w stosunku do okupantów u jednych jest spowodowany niekonsekwencjami denazifikacji, u innych zbyt surowymi sankcjami karnymi, stosowanymi przez okupantów. Nawet zaobserwowane w większości wypadków reakcje psychiczne na istniejącą sytuację takie, jak ogólne przygnębienie, ucieczka od rzeczywistości, obawa przed odpowiedzialnością, pewien specyficzny nihilizm nie wydają mi się być zjawiskami powszechnymi; nie występują one zarówno u tych, którzy domagają się zemsty, jak i u tych, którzy zapewniają o swojej gotowości poniesienia pełnej odpowiedzialności za popełnioną winę.

Centralnym zagadnieniem ankiety jest niewątpliwie stosunek do hitlerowskiej przeszłości. Znamienne są głosy — oczywiście anonimowe — pełnej aprobaty tej przeszłości, połączone z konsekwentnie odpowiednim stosunkiem wobec teraźniejszości np:

„Żaden Niemiec nie może zapomnieć tego, co uczynili Anglicy i Amerykanie. My ich nienawidzimy z całego naszego serca. My znamy przyczyny wojny i my nie pozwolimy sobie ciosać kołków na głowie, nawet przez miliony głupich dziennikarzy. Ziarno, które zasiał Hitler wzejdzie lada dzień“.

Albo inny anonim:

„W państwie narodowo-socjalistycznym wślizgnęły się do rządów (jak zawsze po rewolucji) rozmaite kreatury, które popełniły zboczenia z drogi, których Hitler sobie nie życzył, ale zasadniczo panował porządek, dyscyplina i czystość obyczajów. Kwestia żydowska była postanowiona przez kilku kryminalistów. Naród niemiecki, nigdy nie chciał prześladować Żydów uczciwych, chciał się jedynie bronić przeciwko elementom podejrzanym i przeciwko napływowi Żydów ze wschodu.

Wojna była uknuta przez Anglię, Amerykę, Francję i ich wasalów, którzy szukali pretekstu do jej rozpoczęcia. Hitler był oszukany z powodu braku zdolności dyplomatycznych.

Naród niemiecki nie dowodził swojej nienawiści do Francji i nie chciał wojny bardziej niż sam Hitler.

Widzi się teraz, że rozbrojenie było słuszne, skoro wszystkie małe kraje rozważały, jak korzystając z prawa do wzbogacenia się zaanektować kawałek Niemiec.

Odpowiedzialni za naszą sprzedajną prasę (redaktorzy i inne pismaki;) pod rozkazami międzynarodowego żydostwa, ciągną naród niemiecki w błoto i rozpowszechniają kłamstwa, które mogą tryskać tylko z mózgów sadystów. Zresztą Niemcy nie biorą ich poważnie. Czegoż te orły przekupstwa nie wyobrażają sobie, czegoż oni nam nie narzucą ze swojego kompleksu niższości. Gazety sprzedawane przez wroga kupuje się tylko dlatego, że brak jest papieru, we wszystkich innych celach, tylko nie poto, aby je czytać.

W strefie francuskiej niema dyscypliny. Naród jest zrujnowany, oszukany i okradany. Okupanci zjadają wszystko i sami opływają w dostatki.

Wyślijcie uczciwych i porządnych Francuzów do francuskiej strefy okupacyjnej, ażeby oni mogli zdać sobie sprawę, że w takich warunkach nie może być mowy o pokoju między dwoma narodami. Przy takiej polityce Stalin będzie szczęśliwym spadkobiercą — ale on zatriumfuje także we Francji“.

Takich, ziejących nienawiścią głosów nie jest jednak za wiele. Poza wiernymi do końca istnieją również nawróceni. Rzadziej znajdują się tacy, którzy nie mają z czego się nawracać. Jeden z nich skarży się:

„Prawdziwym antyfaszystom udaremnia się wszelką aktywność polityczną podczas gdy szarlatani polityczni pełnią nadal urzędowanie. W ukryciu, a czasem i otwarcie hitlerowcy szerzą propagandę, której ostrze wymierzone jest przeciw Ameryce, a zwłaszcza Francji. Sami Francuzi ponoszą odpowiedzialność za sytuację“.

Niejednolitość opinii o przeszłości widzi się jeszcze jaskrawiej przy omawianiu zagadnienia winy narodu niemieckiego:

„Dlaczego dzisiaj znieważa się wyłącznie Trzecią Rzeszę? Dlaczego nie podkreśla się tego, co w niej było dobre? Czy inne państwa nie mają w swojej historii również faktów dobrze i źle o nich świadczących? Czyż nie jest tak, że zawsze najsilniejszy jest najlepszym? Czyż nie ma obozów koncentracyjnych w innych krajach? Czyż obecna dyktatura wojskowa bardzo odróżnia się od systemu rządów Hitlera? Dlaczego zamyka się dzisiaj znowu miliony ludzi w obozach? Czy wierzy się, że ludzie są przekonani o wyższości demokracji? W ten sposób sieje się tylko nienawiść i niezgodę, ponieważ popełnia się te same błędy, co niegdyś. Nienawiść jest najsilniejsza u tych, którzy mówią o wolności myśli i którzy chcą reprezentować demokrację. My nie znajdujemy właściwej drogi w tym pomieszaniu dobra i zła. Niemcy nie są domem poprawczym i niech nikt nie myśli, że kto sieje nienawiść, będzie mógł otrzymać wzamian miłość“.

Obok wypowiedzi takiego typu znajdujemy również głosy innego rodzaju np.:

„Masa Niemców została pokonana przez mniejszość. Błąd podbitej części narodu polegał na jej bierności, słabości umysłowej i duchowej. Oczywiście w innych narodach istnieje również nacjonalizm i militaryzm. Ale Niemcy, pod rządem Hitlera, wydały jego formę najbardziej agresywną. Ślepo i bezkrytycznie rzucały się w kryminalną awanturę, która doprowadziła do drugiej wojny światowej. To, co się rozumie przez hitleryzm da się zauważyć nie tylko w Niemczech. Ale naród niemiecki był specjalnie przystosowany do tej deprawacji (i to nie bez przyczyn). Ta ciemna strona Niemiec nie musi czynić nas zrozpaczonymi. Lepsza część Niemców oddawała zawsze politykę w ręce najgorszych. Rozum w Niemczech był zawsze bezsilny a władza zawsze antyintelektualna. Można i trzeba to zmienić“.

Jednakże w sprawie tej przeważają koncepcje uniknięcia odpowiedzialności, motywowane bądź niewiedzą o zbrodniach hitlerowców, bądź też niemożliwością przeciwdziałania im.

Sprawą niesłychanie trudną do rozwiązania jest sprawa wiarogodności tych wypowiedzi. To, że Hitler cieszył się poparciem większości swojego narodu pozostaje faktem bezspornym. W większości wypowiedzi daje się zauważyć niewątpliwy odwrót od koncepcji Hitlera. Co jest tego przyczyną? Czy tylko przegrana tej koncepcji? Czy jest jakieś rzeczywiste zrozumienie popełnionego błędu? Czy wszystkie spontaniczne bicia się w piersi nie są podyktowane po prostu względami oportunistycznymi? Trudno dać jakąkolwiek odpowiedź na te pytania. W miarę czytania budzi się dalsza wątpliwość, czy w planie narodu niemieckiego nie leży pokłócenie aliantów pomiędzy sobą. To niepokojące pytanie nasuwa się przy czytaniu takich wypowiedzi, jak np.:

„My obawiamy się komunizmu, ponieważ już raz byliśmy świadkami degradacji bytu ludzkiego do nicości, do numeru, do funkcji. Oto dlaczego my nie chcemy komunizmu. Jednakże ja nie jestem przeciwnikiem komunizmu. Rosja zmobilizowała swoje siły i doszła do celu przy takim odmłodzeniu siebie samej, że jest czymś więcej, niż zwykłą ciekawością chęć jej zobaczenia.

Jest również dobrze, że wszędzie istnieją partie komunistyczne, które czuwają, aby demokracja nie przekształcała się ani w wątpliwą idyllę drobnomieszczańską ani w łupieżczy kapitalizm. Komuniści są dźwignią dla demokracji. To, czego ja nie chcę widzieć po raz drugi to rządy monopartii, państwo wszechwładne i autorytatywne. My tego mamy dosyć“.

Albo:

„Niezgoda, jaka panuje pomiędzy Anglią i Stanami Zjednoczonymi z jednej strony, a Związkiem Radzieckim z drugiej strony wprowadza nas w głęboki konflikt. My odrzucamy bolszewizm, jako system o sile antyludzkiej i antychrześcijańskiej. Ale my wiemy, że zachodnie potęgi nie występują z tej racji. Im chodzi o obalenie ideału, który jest niebezpieczeństwem dla systemu kapitalistycznego. I jest słuszne, że w tej sprawie jesteśmy w zgodzie ze Wschodem“.

Czy pomiędzy wierszami tych wypowiedzi nie można wyczytać nadziei na trzecią wojnę, która ma uratować Niemcy? Resumując, w każdym razie trzeba pamiętać jedno: ankieta „Esprit“ może być traktowana jako materiał do analizy krytycznej, w żadnym wypadku jako obraz aktualnej rzeczywistości niemieckiej.

SIÓDMY KRZYŻ

(Dok. ze str. 3)

sała się lekko część maszyny z umieszczonym na niej napisem firmowym. Chciał właśnie zdjąć ją, by odsapnąć, gdy został zatrzymany.

Prawdopodobnie jeden z patrolów motocyklowych, zauważył go z autostrady w luce między dwoma domami. Ujrzeli postać niepodejrzanego człowieka, który z ciężarem na ramieniu kroczył w południowym słońcu. Zatrzymano go bez specjalnej złośliwości, ponieważ zatrzymywano i innych. Zadowoliło ich też zupełnie, gdy Georg pokazał im napis firmy.

Georg skręcił możliwie jak najdalej od autostrady, w pola, w kierunku wsi Buchenau. Nad wsią do której wkraczał wznosiło się szkliste niebo. Teraz sam już był przeświadczony o tym, że wpadł w pułapkę. Mija dwa posterunki, których spojrzenia, czuje, są na niego skierowane. Gdy tylko znalazł się na drodze prowadzącej przez wieś, usłyszał gwizd, który go przeszył na wylot.

Cała wieś staje na nogach, ze wszystkich stron rozlegają się gwizdy. Komenda: „Wszyscy do domów“. Duże bramy zaskrzypiały. Georg odstawił niesioną przez siebie część maszyny i przecisnąwszy się przez najbliższą bramę, ukrył się za stosem drzewa. Wieś była otoczona. Przed chwilą minęło południe.

tłum. **Ryszard Szawłowski**

Lech Budrecki

Wołanie na puszczy

O POWIEŚĆ KATOLICKĄ

Czytałem niedawno „Dziś i Jutro“. Znalazłem oczywiście artykuł (dwie bite kolumny): „O katolicką postawę pisarzy“. Przejrzałem go do końca i wówczas przypomniały mi się błogosławione dni sporów o literaturę katolicką. „Musi być, musi być“ — wołano zewsząd. A w Polsce jej jakoś nie było. Owszem, dały się znaleźć na łamach czasopism olbrzymie nieraz wywody o tym jaką literatura być powinna. I na tym koniec. A przecież dostarczono już tylu przepisów na „prawdziwie“ katolicką powieść, że spreparowanie jej chyba nie może sprawiać większych trudności. Wskazano nawet na wzory literackie. Mówiono pisarzowi po prostu: „Bądź polskim Bernanosem“. Nawoływania trwają po dziś dzień, a polskiej beletrystyki katolickiej wciąż nie widać. Owszem, pojawił się naiwny historyzm, pojawiły się ciekawe odmiany manicheizmu, jest powtórka Schulza, są powiastki ułańskie ale Mauriaca nie ma. Na wołanie o „Pod słońcem szatana“ — Dobraczyński publikuje „Najeźdźców“, na krzyk o nowego Bloy-Kisielewski odpowiada „Sprzysiężeniem“ (a ile tam „plugawego“ erotyzmu p. Jakimiak! Strach pomyśleć!). Więc może na Zachodzie dzieje się lepiej? Jeszcze w Anglii... Ale we Francji.. Koniunktura na powieść katolicką skończyła się. Starzeje się Bernanos, milknie Mauriac a następców dotąd nie widać. Prawicowi katolicy poparli faszyzm, neo-tomiści wymierają. To stwierdzenie ważne, zapamiętajmy je sobie.

Dlaczego więc na wołanie o literaturę katolicką odpowiada konsekwentne milczenie? Gdzie się podziali konwertyci, których tylu notował kronikarz ubiegłego 20-lecia?

Przypomnijmy sobie nazwiska rzucane z łamów „Tygodnika Powszechnego“ przy każdym wołaniu o „prawdziwą postawę“. Nie, nie będę ich tutaj recytował. To byłoby nazbyt rażące. Zapiszę tylko uwagę wiernego czytelnika: pisarze katoliccy w ogromnej swej większości wywodzą się z czasów secesji. Ich rodowód geograficzny: Zachód Europy. To może wyjaśni coś nie coś. Czy przypominacie sobie, panowie, książki Brzozowskiego? Repertuar nazwisk reprezentujących literaturę katolicką niewiele się zmienił od okresu „Legendy Młodej Polski“. Znów Newman i Bloy znów Hello, znów opowieści o „głupim“ wieku XIX. Raz jeszcze dowiemy się, że Wolter był płaski i że św. Teresa z Lisieux naprawdę wzniosła. To uwagi wstępne. A teraz wywód nudny z zasady, bo historyczny. Znacie dynastię pisarzy katolików na Zachodzie? Zaczął ją Barbey d'Aurevilly, punktem szczytowym był bodajże Baudelaire. Wszyscy słyszeliśmy opowieści o poetach wyklętych z końca XIX wieku. Wystarczy otworzyć w odpowiednim miejscu „A rebours“ Huysmansa, by usłyszeć ich znowu. Ci ludzie nazwali się sami dekadentami, byli ustawicznie głodni, zdzierali ubrania szkłem, malowali włosy na zielono, obijali się po kawiarniach Montmartre'u. Od nich powstała legenda „Cyganerii“. Przejęli w spadku po Flaubercie nienawiść do aptekarza Homais, nienawiść do „mieszczaństwa“. Pielęgnowali ją starannie. Ci synowie marnotrawni, zbuntowani przeciw spoce wiktoriańskiej, zbuntowani przeciw konwencjom dobrych lat własnej klasy, zwalczali je jak tylko mogli. „Leon Bloy nienawidzi burżuja“ pisze Jan Dobraczyński. Ma rację. Leon Bloy jest „anty-mieszczański“, ale tylko wtedy gdy przez „mieszczaństwo“ rozumiemy zbiór konwencji i komunałów najpowszechniej wówczas przez tę klasę propagowanych. A francuscy mieszczanie tego okresu dziedziczyli z ojca na syna kult dla nauki, Woltera i encklopedystów. Wielcy ojcowie mieszczańskiego kościoła byli ze wszechmiar godni, szacowni i doskonale nietykalni. Katolicyzmem natomiast należało gardzić, katolicyzm to była „reakcja“. Więc z tej racji „poeci wyklęci“, walczący o nową postawę własnej klasy sięgnęli po katolicyzm? Czyż była to jedyna ideologia, która mogła im w rewizjonistycznych zapędach najlepiej posłużyć?

O, na pewno nie jedyna, ale najbardziej atrakcyjna, najżywsza, pozwalająca powiedzieć, że Diderot jest ciasny i że nauka, święte sanktuarium kupców i założycieli fabryk, odgrywa właściwie rolę fetysza. Poza tym katolicyzm to tradycja sięgająca Chateaubrianda, ultra-romantyków, byłych ministrów Karola X-ego. Przypominacie sobie „Czerwoną lilię“ France'a? Sięgnijcie po nią jeszcze raz, odczytajcie portret Choullette'a. Tacy byli założyciele literatury katolickiej. Nie wierzycie, że oni to secesja? Chcecie trochę dat? Pierwsze książki d'Aurevilly'ego to lata 50-te. Villiers to już 1883, Bloy — 1886 r. A w 1898 r. nawraca się jeden z czołowych wodzów naturalistów Huysmans. Wkrótce potem sytuacja się zmieni. Pisarzom „wyklętym“ złoży się hołd. Wygnani ze sfer towarzyskich bywalcy złych kawiarni, piszący wiersze w bibliotekach publicznych wrócą po śmierci do sławy, zostaną ojcami literatury. Młody syn episjera wzruszy się nędzą, w jakiej żył Bloy, Tribulat Bonhomme zapłacze nad losami Villiersa. Zmieni się też linia ataków. Pasja Bernanosa oszczędzi burżujów, uderzy zato przeraźliwym kaznodziejstwem we „Front ludowy“. Postawa synów marnotrawnych zostanie zrehabilitowana. Podejmą ją oficerowie, dowódcy wojsk kolonialnych, wyżsi urzędnicy Korpusu dyplomatycznego. A zarazem przyjdą systemy laickie. Katolicyzm był dobrą bronią, aż do pojawienia się Nietschego, aż do proroctwa „Zaratustry“ i wznowień „Pokarmów ziemskich“. Dla pokolenia, które wchodzi dziś do literatury neo-tomizm utracił swoje znaczenie. Oni uczą się na Heideggerze i na Husserlu, mają nowe wzory, nowe hasła.

Ta niespodziewana (pozornie) zdrada nie tyle wyznawców, co katechumenów — to ostatni wniosek z moich rozważań. Poco więc kreśliłem pobieżny szkic z historii francuskiej literatury? Trzeba się przyznać. Poto, przyjaciele, by pokazać wam rolę powieści katolickiej i rozpaczliwość wołania o nią. Jej okres się zakończył, minął. Nowa postawa mieszczaństwa zaaprobuje niechętnie gniew Bernanosa, za anachronizm poczyta słowa Bloy. Bronią jej już filozofie laickie, bronią umiejętniej i lepiej.

Kiedy myślę o tym, przypomina mi się syn jednego z moich dobrych znajomych, którego największym bodajże marzeniem był rower. Otóż chłopiec ten wołał przy każdej okazji „Rower, rower“, aż do zachrypnięcia. Uspakajał się potem na chwilę i znów zaczynał swoje. Wydawało mu się, że w ten sposób ułatwi realizację swych pragnień. Pisarze katoliccy nie przypominajcie małego chłopca! On nie dostał roweru. A powieści katolickiej, jeśli mam stać się prorokiem — zawód to ciężki i bardzo ryzykowny — najprawdopodobniej też nie będzie. Ślady wpływów Mauriaca zacierają się przecież i nikną.

Stanisław Stefan Gębala

WINOWAJCY



Stanisław Stefan Gębala

Stanisław Stefan Gębala — publicysta, poeta, powieściopisarz i dramaturg*) pochodzi z małorolnych chłopów. Przed 25 laty, mając 12 lat wstępuje do gimnazjum. Zdobywa „wyższą wiedzę“, która ma mu w przyszłości zapewnić lepszy byt. I to jest pierwszy ważny etap w życiu Gębali, matura ma mu dać nobilitację do sfer wyższych. Studia uniwersyteckie przynoszą jednak zawód. Uniwersytety mogą kończyć albo synowie urzędników i ziemian, albo bogatszych chłopów (lata 36—39). Gębala musi zarabiać na chleb pracą rąk. Jest robotnikiem na budowach w Warszawie. Ta nowa deklasacja tym razem oznacza upadek. Pierwsze wyjście ze wsi było drogą do ówcześnie pojętego awansu, nieosiągnięcie go oznaczało klęskę. Tym bardziej, że Gębala — robotnik nie włącza się w szeregi rewolucyjnego ruchu robotniczego. Poczucie bezużyteczności społecznej a zarazem brak określonej funkcji społecznej podkopuje w nim zaufanie do wiedzy racjonalnej, do cywilizacji technicznej. Następuje związanie się z Niećka, wejście w problematykę ideową „ludomanii“, odwrót w mit słowianizmu.

Nowy ważny etap w życiu Gębali — to wojna. To, co nie dojrzało jeszcze u „robotnika“ Gębali dojrzewa — po powrocie na wieś w pracy konspiracyjnej i partyzanckiej (w której Gębala traci wzrok podczas wyrobu min własnej konstrukcji). Spływa mu z oczu zasłona dawnych mitów. Gębala opowiada się po stronie demokracji ludowej. Zrywa z A. K. ścigają go Niemcy i polskie grupy nacjonalistyczne.

Ten nowy powrót na wieś — już, nie w charakterze zdeklasowanego inteligenta, a działacza oznacza dziś w zmienionych powojennych warunkach społecznych i gospodarczych rzeczywisty awans, po jaki trudno było sięgać przed wojna.

„Winowajcy“ Gębali charakteryzują ten właśnie najgorętszy podczas wojny okres przemian, dokonywujących się na polskiej wsi.

T. P.

500 ZŁ GRZYWNY

Brat mój Kazimierz, właściciel zaprzęgu, otrzymał z urzędu gminnego wezwanie do odrobienia świadczeń drogowych. W dniu 18 sierpnia ub. r. miał się stawić przed urzędem gminnym z furmanką we dwa konie, skąd miał odwieźć powiatowego instruktora rolnictwa do odległej wsi. Instruktor udawał się na lustrację pól w związku z akcją przeciwpłonkową. Brat stanął dwukonnym zaprzęgiem przed urzędem gminnym... Tu od woźnego dowiedział się, co zacz ten powiatowy instruktor, a ponieważ znał go z czasów okupacji, więc rzekł do woźnego głosem zbyt podniesionym, aby brzmiał przyjaźnie — Co? Ja jego będę woził? — Niedoczekanie jego i wasze....

Instruktor nie udał się na lustrację pól ziemniaczanych. Po upływie urzędowo długiego czasu, otrzymał brat mandat karny. — „No to jak to jest? — mówił — Za Niemców musiałem go wozić, bo byłby żandarmów na mnie nasłał, i teraz musze go wozić, bo mi mandat pakują... — Napluć na takie porządki“. Porządki te mają swój smutny początek w pierwszych miesiacach okupacji, kiedy to zjawiły sie w zapadłej naszej gminie ubogo odziane chłopaki, pełne ambicji i wstrętu do fizycznej pracy. Zjawili się kolejno: najpierw kontroler mleczności obór, potem ewident hodowli nierogacizny, potem poborca łąki i kolcykarz, mleczarz, kominiarz, agronom i pojawiło się wiele rzeczy niesłychanych i niewidzianych na prawym brzegu dolnego Sanu.

Wszyscy ci polscy urzędnicy niemieckiej administracji szybko porośli w piórka, bo samoobrona chłopów miała początkowo nikły charakter. Za plecami kontrolera, kominiarza i kolcykarza stał niemiecki żandarm, nie wahający się użyć karabinu...

Działalność polskich urzędników, tej dziwacznej administracji, wcześniej dała sie we znaki, niż Majdanek, Posłków, Oświęcim i różne pacyfikacyjne akcje....

Trudno było o rozbudzenie ducha patriotycznej nienawiści do okupanta, tym bardziej, że niemiecki żandarm najwcześniej zabrał się do zachłannej grabieży w cieniu tych ludzi spod ciemnej gwiazdy, którzy zdawali sie mieć za cel swego życia jaknajszybsze wzbogacenie.....

Co miałem powiedzieć, bratu Kazimierzowi, który, pewny swej oceny, pytał mnie — jak to jest?

W WIDŁACH WISŁY I SANU

Tu leży powiat tarnobrzeski, ten który K. L. Koniński nazwał „ludowo-pisarskim“ powiatem, gdzie od 50 z górą lat ludowość i ludowcowość stoją u szczytu rozwoju... Tu chronił się ks. Stojałowski w ciężkich dla niego chwilach, tu była domena wpływów Stapińskiego i jego „Przyjaciela Ludu“. Tu chłopski strajk miał krwawy, burzliwy przebieg i tu patronowali ruchowi ludowemu w dawnych czasach dziedzice, w nowszych chłopskiego pochodzenia mecenasi, znani i szanowani.... Bo ruch ludowy ma tu dwa nurty: jeden z nich ma pomnik Bartosza Głowackiego na rynku w Tarnobrzegu, zielone sztandary, patetyczne przemówienia i hymn „O cześć wam panowie magnaci“....

Drugi ludowy nurt nie ma tu pomników, chyba te kapliczki, ni to figury przydrożne, ni to pomniki poświęcone pamięci ks. Stojałowskiego, nie ma sztandarów ani hymnów. Nie manifestuje, a jeśli mu się zdarzy przemówić, to przemawia słowami przyśpiewki: „Kościoły, kryminały z naszych rąk powstały...“. Kościoły dla udręczenia ludzi na duchu i kryminały dla ich cielesnego cierpienia. „Jedynie krew może cierpienie złagodzić....“, trawestował te słowa Brunon Jasiński — tak szemrał drugi nurt. O nim to pisał w r. 1937 I.K.C. „słowami świętego oburzenia i niekłamanego strachu...“

A jednak w tym ludowcowym powiecie, tam, gdzie od lat 40 Bartosz Głowacki tęskliwie spogląda ku budynkowi starostwa nie było Batalionów Chłopskich. Nie znaczy to jednak, by chłopi w psiej uległości dla okupanta byli radzi z kolaboracji i posłuszni każdej władzy „z woli Boga“. Powiat dał olbrzymi kontyngent krwi, chłopi z tego powiatu najgęściej zasłali trupami swoje zagony, może najwięcej dali wkładu w dzieło zwycięstwa.

SZARA GODZINA

Na ruch ludowy ludowcowego powiatu przyszła szara godzina, nie zaczęła się ona jednak w dniach pamiętnego września. Zaczęła się o wiele wcześniej, wtedy gdy przemawiał do tysięcznych tłumów na burzliwych manifestacjach znany szeroko mecenas, syn chłopski; w swych przemówieniach zapewniał chłopskie tłumy, że ich raz ujawniona „solidarność“ przyda się, i że solidarnością jest stanąć pod sztandarami w dniu święta ludowego. Że czeka na chłopów, miejsce pośród miasteczek i miast, czeka miejsce na 4 miliony, wiadomo po kim. Mecenas był duszą życia towarzyskiego miasteczka, i przyjacielem okolicznych arystokratów, był duszą i natchnieniem miasteczka, na którego rynku Bartosz od lat 40 czeka na pochwałę i klepanie po opałce... Starosta powiatowy własnoręcznie zabił Józefa Szewca w czasie strajku chłopskiego, a działo się to tego dnia, gdy znany mecenas był jego gościem z okazji imienin żony. Prawą ręką mecenasa był chłop z nad Sanu, żwawy i elokwentny, całą duszą pragnący, nietyle zwycięstwa ruchu ludowego, ile swego towarzyskiego awansu. Bronił go później mecenas przed Sądem o strajk chłopski, on zaś pod niebiosy wynosił prawnicze jego zdolności. W dyskusjach o skutkach chłopskiego „czynu“ brał udział starosta i wszyscy, adorując się nawzajem, kontenci życiu, które daje jednym awanse służbowe, innym awanse towarzyskie, innym jeszcze możność przewodzenia masom itd.

Na rynku w Tarnobrzegu stał ciągle kamienny „kumac“, od lat czekając nobilitacji. Na ruch ludowy ludowcowego powiatu zapadała szara godzina....

„PARALIŻOWANIE ŻYCIA GOSPODARCZEGO“

W pierwszych dniach grudnia 1939 r. widywało się we wsiach i miasteczkach naszego powiatu wysokiego wzrostu mężczyznę, odwiedzającego różnych ludzi, w tym bardziej znanych i cenionych chłopów.

Mężczyzną tym był „Milski“ i jego rozmowy miały zawsze na celu organizowanie do walki z okupantem; całość tej akcji „Milski“ nazywał Tajną Organizacją Wojskową, (T.O.W.). To, co projektował, przyjmowało się natychmiast. Zbiórka broni i amunicji pozostawionej na terenie powiatu we wrześniu, poza tym niszczenie gospodarki okupanta czyli „paraliżowanie życia gospodarczego“... T.O.W. Andrzeja Jasińskiego zmieniło się szybko w Związek Walki Zbrojnej, a akcja werbunkowa skończyła się. „Nie ilość, lecz jakość“, nie masowa organizacja, ale kadry przyszłej armii.

... Ze zdumieniem przyjmowaliśmy postanowienie, że „im gorzej“ — „tym lepiej“, że nie wolno dopuścić do tego, by np. chłopi zadowoleni byli z czegokolwiek, co wyniknie z poczynań okupanta..... A chłopi byli zadowoleni z rozproszenia sanacyjnego zbiorowiska urzędników, naganiaczy i ze zniesienia znienawidzonego systemu. Radiowe komunikaty z Tuluzy i Londynu utrzymywały nadal przekonanie o rychłym końcu hitleryzmu, aż w czerwcu 1940 r. życie zadało temu kłam.... „Jędruś“ Jasiński zginął przedwcześnie, delegatem rządu londyńskiego został patron ludowców, znany mecenas, przy jego boku stanął wiernie sztandarowy ludowiec, chłop z nad Sanu, a chłopi wcześniej niż administracja niemiecka, poczuli skutki, „paraliżowania życia gospodarczego“, do czego ze specjalnym zamiłowaniem i ze znawstwem zawodu zabrała się bardzo liczna rzesza polskich urzędników administracji niemieckiej. W rzadko tu docierającej prasie podziemnej wzywano do sabotowania kontyngentów, polscy urzędnicy mający za sobą granatową policję i niemiecką żandarmerię, wygrywali tę rzecz.... „Kubana“*) albo obóz to znak tych nikczemnych czasów....

Wiedziano o istnieniu „wojska polskiego w kraju“ i dziwiono się jego obojętności na krzywdy Polakom przez Polaków wyrządzane. Rosło poczucie potrzeby stworzenia własnej chłopskiej armii, o Batalionach Chłopskich nie wiedziano nic prawie, w ludowcowym powiecie, gdzie hetman ludowców był delegatem londyńskiego rządu i gdzie sztandarowy ludowiec stał u jego boku.

W LASACH LIPSKICH

Administracja niemiecka zniosła dawny podział administracyjny, i rzekę San zrobiła granicą „dystryktów“, zróżnicowała też przez to ludowcowy powiat, bo jak wiadomo „dystrykt“ Lublin był inaczej administrowany. Obowiązywał tu szczególnie wysoki kontyngent ludzi na roboty przymusowe do Niemiec, obowiązywały wysokie kontyngenty w zbożu i bydle, a nade wszystko ciężką była robocizna przy wywózce drzewa (do 7 dni pracy w tygodniu na każdego właściciela konia).

Lecz i tu szybko wyszło „szydło z worka“, gdy dowiedziano się, że nie o dni tu chodziło, ale o ilość wywiezionego drzewa...., aby w drzewie tym ukryć to, czego dokonała „kubana“ spryciarzy polskich, „paralizatorów“ życia gospodarczego. Poczucie jedności i solidarności narodowej karlało wśród przekleństwa na „urzędnicze polactwo“, a fakty zadawały kłam temu, co głosiła cedzona przez podziemie prasa podziemna.

Latem 1942 r. zaczęły się palić poręby w lasach lipskich, a wkrótce potem maleńkie wioski w tych lasach, wioski, których nazwy przeszły do historii tych lat, Kruszyna, Lipowiec, Gielnia, Kochany. Poręby palili niezorganizowani partyzanci z nad Sanu, Niemcy w odwecie palili wioski po lasach. Jesienią w 1942 r. handlarze tytoniowego surowca, bywający w okolicach Biłgoraja, przynieśli „wiadomość“ o tym, że chłopi biją się z Niemcami......

Doniesiono też, że w tych okolicach dzieją się straszne rzeczy, że wśród nich zginął niejeden handlarz tytoniu i broni. O broń było łatwo w tamtych stronach..... Tam też i wśród takich okoliczności, zginął brat znanego pisarza Jana Wiktora, Franciszek. Wtedy to nad Sanem rozpoczęła się chłopska partyzantka, która miała za cel walkę nie tylko z okupantem ale i polskim, mimo wszystko, bo z Polaków złożonym, aparatem administracyjnym. Z początku szło to cichcem jakby zza węgła... Nie operując nazwiskami i szczędząc tym samym hańby uczciwym skądinąd rodzinom wymieniam: znikł bez śladu kolcykarz Kaleką na całe życie pozostał sołtys w Ch. Zniszczono bardzo wiele fortun „psim swędem“ zdobytych a posterunki granatowych przeniosły się skwapliwie ze wsi do miasteczek. Wkrótce też pojawiły się oddziałki G. L-u, wobec tego poszły w cień studenckie organizacje M.O.W. i wojskowe Z.W.Z.-tu.

BORÓW

Już po wojnie postanowiono ofiarom wojny wznieść kopiec - mauzoleum. Wiele dniówek pieszych i konnych usypało ten kopiec, ale szczęśliwy koniec nie ukoronował tego dzieła..... Sprawa utknęła na nieprzewidzianej zgoła przeszkodzie: oto komitet budowy mauzoleum zażądał list ofiar walki z najeźdźcą i list tych nie otrzymał. Poszczególne wsie list tych nie dostarczyły, bo po prostu nie mogły.... W znanej podpisanemu wsi długo zastanawiano się nad tym, kogo na takiej liście umieścić, zginęło tu w ciągu tych lat 21 młodych ludzi w czym 1 w 1939 r., 3 padło bezpośrednio od kul żandarmerii, 2 zamęczono w obozach, a reszta?

Ta reszta w przeciwieństwie do tamtych, którzy zginęli w potrzebie, zginęła bez potrzeby. Po prostu nie owijając w bawełnę, ta reszta wybiła się sama, wyginęła od strzałów zza węgła, i od strzałów w regularnych bitwach bratobójczych, toczonych bardzo często — całymi godzinami, kiedy to sprawa poglądów stała się znakiem dnia.

Wiosną 1943 r. pojawił się N.S.Z. i szukając zwolenników starał się zdobyć sympatię zbrojnych band bez nazwy i organizacji, i nimi wypełnić szeregi swoich oddziałów leśnych. Ale za pozyskanie tej sympatii miał N.S.Z. przyjść z pomocą w załatwieniu nierozegranych porachunków. Rozpoczął tu „nocne nauki moralności“, wśród polskich urzędników niemieckiej administracji.

Prowadził „dołowanie“ szpiclów i innej nieźle czującej się zgrai, ale ulegając żądaniom tych, których sympatia była mu potrzebna. Zdarzyło się, że jego ludzie zadołowali urzędnika, członka pewnej organizacji, to znów świadomi celów własnych, a nieświadomi tajników swej organizacji sympatycy N.S.Z.-tu wykurzyli filara tej organizacji, członka komendy okręgu, czującego się tu nieźle... leśniczego. Byłaby rosła wciąż sympatia dla noszącego na bagnetach „sprawiedliwość“... „wojska polskiego“, gdyby nie Borów „poraz pierwszy“. Nie ma chyba nikogo w Polsce, który o tej bratobójczej masakrze nie słyszał. Oddział G.L., mający na celu walkę z Niemcami, chętnie nawiązywał przymierza z każdym, kto zdawał się mieć identyczny cel..... Waleczny ten oddział zawarł umowę o współpracy z oddziałem N.S.Z., a w parę godzin później, uległ masowej masakrze z rąk tego nowego sprzymierzeńca. I tu zaszedł fakt, który może najlepiej scharakteryzuje ówczesne stosunki w okolicy: oto z masakry uszedł tylko jeden żołnierz oddziałów G.L., a uszedł dzięki poświęceniu się swego kolegi, z którym wychowywał się od dzieciństwa, syna sąsiada i członka bandy dokonującej mordu. Uciekł żołnierz G.L.-u dzięki koledze, który go do ucieczki namówił, przewidując masakrę całego oddziału. Ten haniebny wyczyn bandy dał jej gwarancję nietykalności ze strony żandarmów, ale otworzył oczy tym, którzy jeszcze tydzień przed tym widzieli w niej uosobienie „polskości“ i walki z Niemcami. Wtedy się zaczęło... Zaczęło się ścieranie poszczególnych grup.

W czasie tej anarchii pierzchli ci, którym było nieźle pod okupacją, uciekli wiedząc, że mogą wpaść w ręce grup dyszących zemstą i wprowadzających „wojenną odpowiedzialność“ za działalność Polaków.

Uciekli nie wszyscy i Sanem bez przerwy płynęły trupy. Zaczęło się scalanie różnych organizacji w jedną siłę A.K., jednolitość dała powód do dalszej nagonki na bandy rabunkowe i „dzikie“.... Te ostatnie, kilkakrotnie wykurzyły delegata rządu londyńskiego na kraj, z zacisznego m. p. Niejednokrotnie wlazły w paradę regularnej A.K. i one najpierw rozpoczęły dywersję.....

One też spowodowały, że „Borów stał się głośnym poraz drugi“.... To dowódca, kwaterujących tam stale oddziałów N.S.Z.-tu, zemścił się. Zemścił się za to, że coraz ciaśniej mu było w tej wsi, że coraz bardziej czuł się otoczony nieufnością i nienawiścią, że buntowano mu oddział pytaniami, o ilość bitew, stoczonych z Niemcami, na które to pytania brakowało odpowiedzi... Pozatem we wsi grożono temu dowódcy, ni mniej, ni więcej tylko suchą gałęzią i stryczkiem. W dniu 2 lutego 44 r. wyszła banda cało, spalając Borów.... Przeszła rzekę San, równocześnie z oddziałem żandarmerii w odległości 100 kroków od siebie.... Nie padł z żadnej strony strzał.... Borów znikł z powierzchni ziemi, około półtora tysiąca ludzi różnego wieku i płci, znalazło śmierć, a wszystko to, co się działo było jasne i zrozumiałe.... A tymczasem na lewym brzegu Sanu było ciągle cicho i mile...

Gdzieś tam upclowano kasę, gdzieś sprzątnięto żandarma, gdzieś tam czytywano „Czyn“, „Walkę“ i „Polska żyje“. Chłopi dostarczali kontyngentów Niemcom w dnie, organizacji nocą.

Tak musi być i tak jest dobrze — mówiło się głośno, klnąc po cichu... To dziś łatwo jest mówić o walce z Niemcami, wyliczać sukcesy tej walki, ale trudno jest mówić o morale tej walki.... Trudno także mówić o tym, że jej metody przeżyły lipiec 1944 r. i front nad Wisłą i przedłużyły się, aż do smutnych epilogów poza wyrokami Sądów Rzplitej, i poza kratami więzień.

EPILOG DAWNEJ SPRAWY

Dziś powiat, w którym nie było Batalionow Chłopskich, który niewiele miał zniszczeń wojennych, w którym wybudowano po wsiach setki nowych domów, w wywiązywaniu się z powinności podatków stoi na ostatnim miejscu w województwie, mimo, że ani ubóstwo jego mieszkańców, ani liczny a fachowy personel jego urzędów, nie tłumaczą tego stanu rzeczy.

Ale ta apatia kończy się. W dniu 28 stycznia b.r. rozwiązali chłopi ogólną uchwałą powiatowy zarząd P.S.L., sztandarowy zaś ludowiec, chłop z nad Sanu, a dziś osadnik pod Wałbrzychem bije się w piersi w poznaniu własnych win. Dawny delegat rządu londyńskiego wycofał się w zacisze kancelarii adwokackiej, a na czołowych stanowiskach pojawią się nowi ludzie.

W powiecie, w którym „Wici“ wiodą dychawiczny żywot, po wsiach, które były przedwojenną domeną ich wpływów, pracują liczne koła Z.W.M. i koła P.P.R.-u. Życie przeszło ponad dawną sprawą, a o przyszłości zadecydują bardzo liczne zastępy młodzieży z powiatu, której pełno w 3 gimnazjach w powiecie, w jarosławskich szkołach przemysłowych, w szkole mechanicznej w Stalowej Woli. Winni zaś niech przeżywają gorzyczne rozczarowania, i niech się biją w piersi..... Siewcom wiatru nie udał się siew.... Ich sprawa to durna sprawa.

*) Pierwsza sztuka w nowej Polsce „na scenę ludową“ o robotnikach, to sztuka Gębali — pt. **„51 robotnik“.**

*) „Kubana“ — łapówka, wykupywanie się od świadczeń.

DO KOLEGÓW KORESPONDENTÓW

Dziękuję serdecznie Kolegom za nadesłanie „Głosów ze wsi o latach okupacji“. Termin podaliśmy parodniowy, nie nazbyt licząc na możliwość dotrzymania go przez piszacych. Tymczasem materiały napłynęły w ostatnich dniach tak obficie, że przeszły nasze oczekiwania i plan numeru. Tych Kolegów, których nie mogliśmy już wprowadzić do numeru świątecznego (a stanowią większość) — bardzo przepraszamy, obiecując materiał ten rozmieścić w dalszych numerach „Wsi“.

Uderzający jest stopień pogotowia Kolegów — Korespondentów: Wszystko, co Koledzy przysłali było napisane doraźnie, natychmiast po wezwaniu. Jest to rzeczywiście bojowe pogotowie pisarskie. Zjazd Rytwiański mocno widać w nas żyje i mocno obowiązuje.

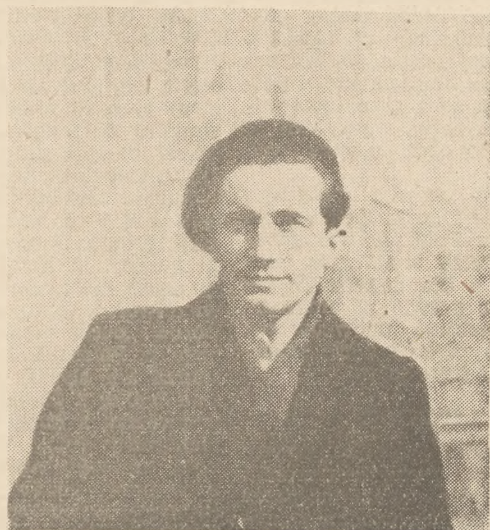
Sprawa kultury wsi polskiej staje się coraz bardziej sprawą ogólno - narodową. Inicjatywa, podjęta w tym zakresie przez Belweder, Instytut Prasy „Czytelnika“, „Odrodzenie“, pisarzy, winna się spotkać z naszej strony ze wzmożonym wysiłkiem przedstawienia rzeczywistego stanu wsi polskiej. Nasz materiał i nasz opis to podstawa do właściwych akcji kulturowych, w pierwszym rzędzie do upowszechnienia czytelnictwa.

W najbliższym czasie postawimy przed Kolegami szereg nowych zadań — ankiet, w głębokim przeświadczeniu, że dołożycie trudu i utrzymacie sie w terminach. Pisarstwo również może i powinno włączyć się do współzawodnictwa w wielkich przemianach narodu.

J. AL. KRÓL

Tadeusz Różewicz

W I E R S Z E



OPOWIEŚCI O PRZEDWIOŚNIU

Wilgotne są usta żony
słone i smutne
biała skóra snu zimowego
bezbronna i jawna.

„Widzisz — za oknem
jak na modrej gałęzi
dojrzało żółte słońce

białe ptaki mrozu gęsto szczypią
szeroką twarz kobiety

nasz pokój wyciosany
w jasnym jesionie
ma barwę sześciokątnej komórki
plastra miodu i
cisza jest tu słodka

moje ręce są sine
oto łapy niedźwiedzia
który smakuje
dzień za dniem
miodowy miesiąc
wypełniony jak pień lipy
złotymi słojami.

Zamknąłbym na zawsze
bielmo tego krajobrazu
i został
ale czuję jak woda
marszczy się
pod pokrywą lodu
dotykana okrągłymi
jak o
pyszczkami karpi
i widzę srebrne łono
Wisły.
Kiedy rozpękną lodowce
tknięte ciepłymi wargami
pierwiosnków
pierwszy stateczek
dymiący
jak moja czarna fajka
spłynie do Bałtyku...“.

Wilgotne są usta żony
słone i smutne
biała skóra snu zimowego
bezbronna i jawna.

FENIKS

Krew spłynęła z oblicza ziemi
Światła jak złote pszczoły
światła jak różowe ciała
Światła uchodzą z tej gwiazdy.

Smutne usta deszczu
popielate sprzęty w pokoju
żarliwa pszczoła twych ust.

Moja gwiazda poranna
tchnie w garść popiołu
iskrę żywą. Feniks iska piórka.

KRTAŃ WOLNOŚCI

Pamięci Augustyna Zoroa
Lucasa Nuneza

Naiwni którzy uwierzyli
że raz się umiera
za słuszną sprawę.

Krtań która błaga
o życie
krtań która porusza się
jak robak
wdeptana w błoto.

Usta światła są doskonale zamknięte
oczy światła są doskonale zamknięte
ciało napełnione przemocą

wyrzucone jest poza mury więzienia

milczenie świata kupione za złoto.

Zduszona butem
siepacza
jest wolność
i godność człowieka.

ALE KTO ZOBACZY...

Ale kto zobaczy moją matkę
w sinym kitlu w białym szpitalu
która trzęsie się
która sztywnieje
z drewnianym uśmiechem
z białymi dziąsłami.

Która wierzyła przez pięćdziesiąt lat
a teraz płacze i mówi
„nie wiem... nie wiem“

jej twarz jest jak wielka mętna łza
żółte ręce składa jak przestraszona
dziewczynka
a wargi ma granatowe

ale kto zobaczy moją matkę
zaszczute zwierzątko
z wytrzeszczonym okiem

ten
ach chciałbym ją nosić na sercu
i karmić słodyczą.

1947

Marian Narcyz Listowski

RÓŻE I LASY

„Nie czas żałować róż gdy lasy płoną".

1 ANTONI SIWIEC

Siwca poznałem dokładnie dopiero w 1942 roku i później. To co wiedziałem o nim przedtem, dałoby się zamknąć w kilku punktach

1) Antoni Siwiec, syn chłopa, mieszkańca wsi Kolonia Widniówka, urodzony w 1906 roku był przed wybuchem wojny plutonowym. 2) Brał udział w bitwie pod Iłżą (25 km na południe od Radomia), w drugiej między Rejowcem i Krasnymstawem i w trzeciej pod Antonlówką. Wzięty do niewoli po trzech dniach uciekł. 3) Już w listopadzie 1939 roku, po powrocie do Chełma nawiązuje kontakty z kolegami. Tworzą tu pierwszą placówkę konspiracyjną, jeszcze bez nazwy. 4) W 1940 roku zmienia miejsce działania. Przenosi się do rodzinnej wsi, leżącej 6 km od Krasnegostawu, by na tym terenie organizować ruch konspiracyjny.

Gdy w 1942 roku musiałem uchodzić z miasta bo byłem zapisany na roboty do Niemiec i byli już u mnie trzy razy, znaleźliśmy (ja i młodszy brat) przytulisko właśnie u Siwca. W domu bywał on bardzo rzadko. Wpadał, zmieniał bieliznę, przespał się i wychodził. Wiedziałem, że pracuje w konspiracji, nie orientowałem się wtedy, gdzie.

Proponowałem mu kiedyś jakąś pomoc, choćby w charakterze kuriera. Narzucać się było trudno, miałem zaledwie 16 lat. Ucz się — mówił do mnie — Jak będziesz potrzebny nie pominę cię. A innych też brał do pomocy tylko wtedy, gdy byli niezbędni. Siwiec był świetnym konspiratorem. Kiedy coś robił i jak, nikt nie wiedział. Na początku 1943 roku cała wieś była zorganizowana. Właśnie on ją do życia konspiracyjnego pobudził. On zorganizował placówkę B. Ch. On stworzył tzw. trójkę R.O.Ch-a.

Ludzi używał do akcji bardzo oszczędnie. Trudno powiedzieć, że Siwiec prowadził swój oddział tylko wtedy, gdy była pewność, że wszyscy wrócą. Może ta pewność nie zawsze istniała — zgoda — tym większa jego zasługa, że umiał oszczędzać ludzi. Siebie tylko nie oszczędzał nigdy.

Była zima. Siwiec jechał pociągiem z Warszawy. Wiózł paczkę pistoletów, aparat radiowy i prasę, wszystko ukryte w wagonie. W Rejowcu pociąg otoczono, wszystkich zamknięto na stacji i legitymowano. Uciekł z kolegą przez bagażówkę. Ścigano ich psami. Zabił jednego psa i gestapowca. Goniono go pięć kilometrów. Uciekł. Przyszedł rano w przestrzelonej kurtce.

Inny wypadek. W czasie pacyfikacji wsi Niemienice położonej 7 km od Krasnegostawu Siwiec z trzema kolegami wchodzi do posterunku gestapo w środku miasta. Rozbrajają Niemców i zabierają 272 tysiące złotych.

Gestapowiec Raszyndorf był landratem Chełma. Siwiec mając do pomocy dwóch kolegów dokonał zamachu na Raszyndorfa ucztującego w gronie oficerów i pań z gestapo w zamkniętej willi, w środku miasta. Był to dzień urodzin Hitlera. Siwec dostaje się do środka i strzela do Raszyndorfa.

Sześć wysadzonych mostów. Kilka rozbitych samochodów. Nie wiem już ile unieszkodliwionych Niemców. Trzy zamachy na kata Izbicy Engelsa, są jego dziełem. Jeśli



Porucznik Antoni Siwiec w 1943 r. na kilka minut przed zamachem na kata Izbicy, Engelsa, dokonanym na szosie Krasnystaw—Izbica

ktoś czytał powieść J. N. Kłosowskiego pt. „Jarzmo", to przypominam mu rozdział XIII pt. „Ocalenie". W tym uwalnianiu więźniów Siwiec brał udział. Był w samym więzieniu.

Może mi ktoś zarzucić, że bardzo chwalę jednostkę. Chyba nie. A jeśli go chwalę, to chyba dlatego, że Siwiec nigdy się nie chwalił. Ileż razy skłaniałem go do napisania pamiętników. Nie chce.

Redaktor Król pisał do mnie w ostatnim liście: „Te pierwsze zebrane i opublikowane na łamach „Wsi" głosy, posłużą z kolei kolegom do zabrania się bądź do pamiętników bądź do opowiadań i powieści".

Nie bez intencji piszę więc o Siwcu. Może on sam napisze pamiętnik. Może te słowa pobudzą go do podyktowania synowi swych wspomnień. W tym, co o nim napisałem nie ma ani słowa przesady. Owszem, to za mało.

Obywatelu Siwiec. Wiem, że jesteście pilnym czytelnikiem „Wsi". Wiem, że będziecie czytać ten artykuł. Wiedzcie, że o takich jak Wy, nie zapomina się. Proszę, wybaczcie ten urzędowy ton tak oficjalny i to, że używam Waszego pseudonimu zamiast nazwiska. Ale nie o to chodzi, jest rzecz ważniejsza. Za Wasze czyny zostaliście porucznikiem. Na Waszej piersi zawieszono pół roku temu jedenaście medali i krzyży. Wasz syn pokazywał je z dumą. Lecz wiem także dlaczego nie chcecie napisać pamiętników. Jesteście starym żołnierzem, nie chcecie źle mówić (a musielibyście chcąc pisać całą prawdę) o swych dawnych dowódcach.

Siwiec został oszukany. Otrzymał rozkaz: trwać w konspiracji, nie ujawniać się. Trwał. Ale ci, którzy ten rozkaz wydali, sami ujawnili się. Wielu przez nich zginęło. Wieleż razy o mało nie zginął i Siwiec. 15 października 1945 roku mijał ostatni dzień ujawniania się. Dopiero 13 października Siwiec od ujawnionych już w Lublinie dowódców otrzymuje rozkaz: rozwiązać konspirację. Nazajutrz ujawnia się z całą swoją placówką.

Żona Siwca, niezwykle czynna kobieta, prawdziwa bojowniczka, która prowadziła kursy sanitarne wśród dziewcząt wiejskich, a była najlepszym kurierem okręgu, powiedziała mi kiedyś: „Zdradzono nas, ale my wyszliśmy z honorem niesplamionym".

Bukiet biało-czerwonych róż stał często na Waszym stole. Róże w lasach nie kwitły. Ale róże mają kolce. Piszcie pamiętnik obywatelu Siwiec!

2. PIEŚNI I DYMY

Nie wiem, czy który z kolegów niosących wkład do dzisiejszego numeru przypomni sobie o tych partyzanckich piosenkach i pieśniach. Zebrano ich już wiele. Pieśń o dzewczynie i partyzancie, o białych, wyszywanych orłach, pieśni o boju leśnym i nocnym, piosenki o szwabach wiejących z Polski i wiele wiele innych.

Przypominam sobie, że kiedyś „Biuletyn Informacyjny" rozpisał konkurs na pieśń partyzancką. Już wtedy pisałem wiersze i układałem słowa partyzanckich pieśni pod znane ogólnie melodie. Pomijam ich wartość artystyczną, wiem przecież, że były słabiutkie. Nie pokazywałem ich już potem nikomu. Potem, to znaczy, gdy poszły już w niepamięć. Dziś wiem, że jedyna ich wartość, to dokument w notatniku, dokument następujących po sobie myśli ówczesnych i dojrzewających przekonań.



Wysiedlona

Przez długie cztery lata nie miałem sprawdzianu, nie znałem nikogo z kim mógłbym na temat moich wierszy mówić. Pewnego razu Siwiec przedstawił mi jakiegoś byłego profesora z gimnazjum, który podobno sam pisał wiersze. Nie wiem kto to był, jakiś oficer z AK, który zatrzymał się na kilka godzin. Pokazałem mu kilka wierszy i pieśń partyzancką, zaczynają się od słów:

Czy widzisz płonącej wsi dymy
i braci ginących w obozach?
My leśni żołnierze musimy
pamiętać o braci złych losach.

Naprzód robotnicy razem z rolnikami,
Płonące niesiemy wam wici!
Zwycięstwo przed nami, przed nami!

Zwrócił uwagę na refren i powiedział mi, że to jest pieśń komunistyczna, że tego śpiewać nie wolno, że to: „razem robotnicy z rolnikami" brzmi jak hasło „proletariusze łączcie się". Że zapominam o inteligencji, o ideałach demokratycznych itp., itp. Według zdania tego pana, ostatnia zwrotka:

I wieśniak dostanie znów ziemię,
robotnik we własnej fabryce
przekuje bagnety na lemiesz,
lecz razem dziś walczyć musicie.

Naprzód robotnicy razem z rolnikami,
płonące niesiemy wam wici!
Zwycięstwo przed nami, przed nami!

jest bardzo rewolucyjna, że chodzą mi po głowie jakieś mrzonki, że koniecznie muszę to zniszczyć. Że nie powinienem pisać z głowy, lecz uczyć się od Mickiewicza, Słowackiego, Konopnickiej. W partyzantce tego śpiewać nie można, trzeba pisać o wolności, o potężnej i wielkiej Polsce (od morza do morza). To było dla mnie za dużo. Moje pierwsze wiersze i pieśni potępił w czambuł.

A przecież o wolności mówiliśmy z Siwcem zimowymi wieczorami przy partiach warcab, lub lekcjach historii. I o potężnej Polsce, ale też chcieliśmy przecież rozdzielić majątki dziedziców pomiędzy małorolnych chłopów. Mówiliśmy o fabrykach w Polsce w obcych rękach, nienawidziliśmy już wojny i marzyliśmy o czasach przekuwania bagnetów w narzędzia pracy. Mówiliśmy o czymś co wiązałoby chłopów z robotnikami we wspólnej walce z okupantem. Według mnie miała to być pieśń o **nowej Polsce.**

Byliśmy rewolucyjni, to prawda, ale komunistami chyba nie. Wkrótce potem w oddziałach pokazały się piosenki o słodkich ustach dziewczyny, o ginącym z honorem rycerzyku-partyzancie, o tym „czy pan w kieszeni ma dolary, bo miłość to jest kawał stary" itp. A przecież partyzant BCh nie ginął za słodkie usta dziewczyny, ani za dolary. Na pewno nie. Kiedy chciał widzieć jasno, otaczało się go **piosenką-dymem.**

Muszę się przyznać, że obok oburzenia na owego profesora i oficera AK, podrażniona została moja ambicja. Chłopaki chcą śpiewać na wesoło, albo na czuło. To prawda. „Dym"



Ofiary faszystów ukraińskich w jednej z wsi w powiecie hrubieszowskim. Zdjęcie dokonane przez partyzanta B. Ch. w 1943 r.

piosenkowy i mnie na jakiś czas potrosze zagarnął. Napisałem parę według takiej rzewno-durnej recepty. Oto jedna z nich, dokument zadymiania młodych głów, w których się paliło od pytań i rewolucyjnych pragnień:

PIEŚŃ PARTYZANCKA

Na melodię „Prząśniczek" St. Moniuszki z opery „Straszny dwór".

Czemużeś mnie odbiegł Leonku kochany?
Czego cię zabrali z sobą partyzany?
Odjechali sobie, hen, aż za błonie.
Powróć do mnie cało, miły Leonie.

Pojechali już nasi, chłopcy morowe
W tamte ciemne bory i puszcze jodłowe.
I chorągiew mieli i cudne konie.
Powróć do mnie cało, miły Leonie!

Hej, jadą za kraj walczyć biedni tułacze,
A za nimi dziewczę niejedno płacze.
Las im piosenki śpiewa, ognisko płonie.
Powróć do mnie cało, miły Leonie!

Biedne dziewczę płacze od samego ranka,
Otoczona ginie polska partyzantka —
Gdzież ja teraz biedna głowę swą skłonię,
Kiedy już nie wrócisz, miły Leonie.

Józef Bieniek

ŻYDZI

Wioska moja miała na sto rodzin ogółem trzynaście żydowskich. Razem 56 głów. Mieli oni po kawałku ziemi i potrochu gospodarzyli, ale na ogół nieświetnie, gdyż głównym ich zajęciem był handel.

Stosunki ich z resztą ludności były naogół przyjazne, chociaż niepozbawione obustronnej nieszczerości. Wyjątek stanowiło parę osób, które czytywały osławioną „Samoobronę" i starały się tworzyć jakże iluzoryczną w tamtych stosunkach „suwerenność" gospodarczą.

Szum idący z szeregów młodego nacjonalizmu zaczął stosunki te psuć coraz mocniej. Wielu ludzi swoje interesy z Żydami załatwiać poczęło skrycie, wstydząc się jawnych kontaktów, jakkolwiek obejść się bez nich nie mogli, potrzebując Żydów niemal na każdym kroku. Tym bardziej, że życie było ciężkie, nędza wielka i grosza brakowało wciąż. Oni zaś pieniądze mieli zawsze i chętnie szli ludziom na rękę, czy to w formie pożyczki czy zaliczki na towar.

Gdy wojna przyszła, stosunki te odrazu przybrały formę skrytą, przechodząc z czasem w całkowitą konspirację. I rzecz ciekawa: wielu z serdecznych przyjaciół żydowskich stało się nagle ich wrogami, zaś dawniejsi ich wrogowie, nawet ci z „Samoobrony", podali im w niedoli pomocną dłoń, ratując niejedno życie.

Nie można zresztą przemilczać faktu, że pomoc ta w wielu wypadkach była po prostu dobrym interesem. Niemniej przecież zdarzały się często-gęsto fakty bezinteresownej, czysto ludzkiej i szczerej życzliwości, okazywanej mimo wszystko szczutym i nieszczęśliwym Żydom. A nawet i to jakiejkolwiek wysokości wynagrodzenie nie równoważyło przecież ceny najwyższej — życia, które tak łatwo złożyć można było za podanie Żydowi pomocnej ręki.

W mojej tylko wiosce za tego rodzaju „zbrodnie" zginęło w Oświęcimiu małżeństwo, trzydziestomorgowi gospodarze, Józef i Weronika Ruchałowie i rozstrzelany został młody chłopak, który „pożyczył" Żydowi kennkartę.

W marcu i kwietniu 1942 r. wysiedlono ze wszystkich gmin powiatu Żydów, spędzając ich do ghetta w Nowym Sączu, gdzie przebywali jakiś czas. Co dnia jednak, o wczesnym świcie, na cmentarzu żydowskim rozbrzmiewały serie automatów i co dnia liczba Żydów malała. Na cmentarz szli starzy, na transport kobiety i dzieci, a młodzi do brygad roboczych, kierowanych do różnych prac na terenie GG, w samym Sączu, i przy budowie dróg węzła rożnowskiego.

Nie mogę zapomnieć pewnych zdarzeń. Był któryś dzień lata 1942 r. Na błoniach między Dunajcem, a miastem spędzono z ghetta olbrzymią masę Żydów, formując transporty... w wieczność. Było ich kilka tysięcy. Między nimi uwijało się kilku, dosłownie kilku oprychów gestapowskich z bykowcami w rękach, waląc na prawo i lewo, kto wpadł pod rękę.

Stało tych kilka tysięcy w pożarze lipcowego słońca, modląc się spalonymi wargami do głuchego w te czasy Jehowy. Od tłumu szedł olbrzymi, wstrząsający szloch. Jakiś bezwolny jęk wyjątkowo skondensowanej rozpaczy wciskał się w dookolną przestrzeń, jak dym gasnącego pożaru. Było strasznie. Uciekłem stamtąd porażony ogromem tragedii. Pod powiekami paliły łzy, a w sercu wściekłość.

Jedynie ghetto warszawskie rozpaliło się łuną buntu, świecąc ponad ową straszliwą nocą żydowskiej tragedii wspaniałym blaskiem heroizmu.

W zasięgu moich obserwacji schwytali Niemcy, nie bez udziału ludności wiejskiej i rozstrzelali ponad 10 ukrywających się Żydów. W tym znaną i cenioną lekarkę, dr Żupnik.

Dla pewnego zbilansowania dodać należy, że w tym samym terenie przechowało się o parę osób więcej. Ogółem z 50 rodzin żydowskich na terenie tutejszej gminy, liczących ponad 200 osób przechowało się lub powróciło z dalekiego świata 18 osób. Reszta zginęła w potwornym kataklizmie tamtych lat, unurzanych w zbrodni i krzywdzie.

Niemcy po rozpoczęciu akcji eksterminacyjnej ogłosili, że za każdego dostawionego Żyda wypłacą wysokie nagrody. Ponieważ podłość, głupota i chciwość ludzka jest nieograniczona, znaleźli się „ludzie", którzy za byle ochłap splamili imię człowieka na zawsze. Badając tamte sprawy z ramienia wywiadu AK stwierdziłem, że w każdym niemal wypadku powodem wydania Żyda były nie jakieś nastawienia polityczne z lat minionych, nie urazy rasowo - religijne, ale tylko głupota, niezdawanie sobie sprawy z hańby dokonanego czynu i chciwość. Dokonywały tego typy analfabetów, alkoholików lub wyjątkowych zbirów, podleców, służalców i konfidentów. Ci zresztą z równą łatwością sypali tak Żydów, jak i chłopów.

Dopiero silny odruch powszechnego oburzenia ze strony uświadomionego elementu wiejskiego i wyraźna odraza w stosunku do sprawców wychwytywania Żydów i działaczy podziemia, akcja duchowieństwa, inteligencji chłopskiej i prasy podziemnej, a także represje bojówek podziemnych i pojawiających się coraz liczniej grup partyzanckich ostudziły zbrodnicze zapędy wykolejeńców i uratowały niejedno życie.

Tadeusz Drewnowski

Na bocznicy roz

Polska —
„kraj, gdzie każdy czyn za wcześnie
wschodzi
Ale **książka każda za późno**".
C. K. Norwid

POKOLENIE KONSPIRATORÓW

Nie znam życiorysu Bratnego, Zalewskiego i innych. Ich biografie są dla moich celów zbędne. Mnie interesują losy pewnej generacji młodzieży inteligenckiej, mieszczańskiej w czasie wojny. Pokolenia 1920—23 z odchyleniami. Typowe dzieje tych, którzy w chwili wybuchu wojny mieli po szesnaście, po dziewiętnaście lat. Równolatków z **jednego** warszawskiego środowiska, których dotknęły **jedne** wydarzenia.

Bowiem grupki warszawskich prozaików, o których piszę — nie można oderwać od historii tego pokolenia.

Moje uwagi muszą być **schematyczne**. Fakty dobrze pamiętamy, chodzi o ich zestawienie, przypomnienie i użytek.

To pokolenie weszło w okres wojny z minimalnym doświadczeniem. Starsza nieco generacja (dwudziestopięcioletnich i trzydziestoletnich), która przed wrześniem zdążyła skończyć wyższe uczelnie, przeszła szkołę samodzielnej myśli i zdawała wiele egzaminów z polityki. Chłopcy i dziewczęta z roczników 1920—23 byli najmłodszymi konspiratorami. Jeszcze nie brali udziału w wojennym epizodzie września. Może brali w nim udział jako służba pomocnicza.

To pokolenie błędem byłoby nazywać młodzieżą wojenną, czy młodzieżą frontową. Wojenną — w znaczeniu chowającą się dziko. Nie chodzili przecież samopas podczas okupacji, ani nie siedzieli przez całe miesiące w okopach wojny pozycyjnej. Dla tej generacji warunki rozwoju stworzyła konspiracja. O skali ich przeżyć zadecydowały wydarzenia, którymi żyła podziemna Polska.

Znaczna część tej inteligenckiej młodzieży od razu zaciągnęła się do konspiracji. Naturalnie — do „oficjalnego" wojska. Przeszła wtajemniczenie. Jej znajomość podziemnej roboty doszła do doskonałości. Odzyskali w podziemiu wzrok. Umieli rozeznać się w zamaskowanym aparacie organizacji. Przeszli żołnierską drogę od rekruta Z.W.Z. do oficera A.K. Służyli w apolitycznym wojsku, które uczestniczyło w wielkich politycznych rozgrywkach.

Najmłodsi konspiratorzy stworzyli własny styl życia. Nie był on całkiem oryginalny. Zalewski opisuje młodego bojowca:

„Te jego **długie buty i bryczesy**, w które ubierał się uparcie, mimo, że wszyscy znajomi opowiadali, że takich właśnie specjalnie zatrzymują żandarmi. Tak samo język, którym się teraz posługiwał, robił wrażenie jakiegoś **złodziejskiego żargonu**. Krótkie wspomnienie z napadu w miasteczku K. (w prasie konspiracyjnej), pisane było takim właśnie stylem i pan Kowalski przez chwilę myślał, że to może Jasio napisał" (11). Półwojskowy uniform i żołnierska gwara stanowiły szyk konspiratora. Wzorem dla dwudziestolatków stał się żołnierz - bojowiec. „Jest pan żołnierzem, a żołnierz musi być silny" — upomina kapitan Prus podchorążego Michała (Zalewski, 75). Obowiązuje ideał mocnego człowieka. Wszelka słabość jest godna pogardy.

Wojskowa dyscyplina wymaga bezwzględnego posłuszeństwa. Nie wolno filozofować. Program walki jest w ujęciu bojowca zadziwiająco prosty: „W walce (Paweł — ale wbrew tekstowi czytaj: pokolenie) odgrywa **heroiczną rolę**. Po prostu: **poświęca się** za sprawy, które przerósł swoim umysłem i duchem. Gdyby był tutaj ze mną odpowiedziałby mi, że on się **solidaryzuje z narodem**. Nie ma w tym ani krzty obłudy i żadnego fałszywego gestu. Jednak ludzie, którzy dają światu siebie, ale za to walczą o cały świat, nie pojmą człowieka walczącego **tylko o odzyskanie wolności** i o **pewną ludzką postawę**. Oni zdobywają swoje ideały, zarazem zmierzają ku nim, on już przeżył wszystkie, i **w sobie** ma tylko **miarę etyczną** swoich postępków. W nim jest ona niezawodna" (Zalewski, 39).

Przytoczony program nie przypomina wielkodusznych manifestów i uniwersałów. Młodzi nie nawiązywali do niczyjej bohaterskiej tradycji. Chcieli tworzyć własną eroikę. Nie wyszukiwali historycznych podobieństw, gdyż uważali, że czasy są bez precedensu. Wystarczyła im utopia solidaryzmu ogólnonarodowego oraz mit humanistycznej postawy.

Dziury programu łatano wielkimi słowami, jak honor, ojczyzna, czysta robota.

Wielka moralna problematyka wojny skurczyła się do problemu indywidualnej uczciwości: do zgodności człowieka z samym sobą. Paweł ma **w sobie** niezawodną miarę etyczną.

Konspiracja była podczas wojny ruchem masowym. Lecz formy organizacyjnej pracy sprzyjały dziedzicznemu osamotnieniu inteligenta. W drużynie bojowej byli przeważnie koledzy z kompletu. Młodzi konspiratorzy nie mieli łączności z przedmieściem. Nie wychylali nosa na prowincję. Tam jawniej występowały klasowe cechy naszego ruchu oporu.

„W ciągu sześciu długich lat nie było czasu na „kucia", na magisteria, na doktoraty. To, co się robiło, było czynione ukradkiem, łapczywie. Czas musiał być **przede wszystkim do walki**. Wszelkie próby debat, które wówczas wydawały się nam dzieleniem włosa na cztery części, zbywaliśmy krótko. Jak dom stanie, jak będzie nasz, to będziemy kłócili się o tapety i o szlaczki" (Piórkowski, 66).

Taka była kolejność obowiązków. Naukę, lekturę, „filozofowanie" odsuwano ad calendas graecas, do bezterminowego odzyskania wolności.

Życie kulturalne było zduszone i doraźne. Nie będę przypominał ucisku. Nie było czasopism literackich. Nie było zawodowej krytyki. Nawet prywatna korespondencja musiała liczyć się z cenzurą.

„Jakąż wymowę posiada to np. — wspomina w nawiasach K. Wyka, rozważając problem pokolenia literackiego**), — że kampanię romantyczną młodzi (romantycy) prowadzą w gazetach granicząc z biuletynem giełdowym i zapiskami meteorologicznymi".

Ojciec Jasia „...na drugiej stronie (gazetki) znalazł wiadomość o zabiciu gestapowca, o napadach na pociągi niemieckie, długi artykuł o egzekucji publicznej i **krótkie wspomnienie jakiegoś bojowca**" (Zalewski, 10). Opowiadania młodych prozaików są najczęściej wspomnieniami bojowców, żołnierzy, jeńców. Sąsiadowanie tych krótkich opowiadań z komunikatami o wykonanych wyrokach ma jeszcze wyraźniejszą wymowę.

Paweł, Jasio i Bończa wykonują coraz więcej bojowych zadań. Robi się coraz goręcej. Są ścigani przez gestapo. Zagrożeni uciekają do lasu. Wojska radzieckie dochodzą do Bugu. Czy młode pokolenie konspiratorów nie dostrzega jeszcze błędów podziemnej polityki? Są rozczarowani obrotem wypadków. „I powiedz, **dla kogo** oni teraz giną, dla kogo?" — pyta zawiedziony Bończa po utracie kilku towarzyszy. I jeszcze jeden ogromny fajerwerk — powstanie warszawskie. Od entuzjazmu do zawodu. Żołnierze i oficerowie powstania warszawskiego szli do niewoli niemieckiej wówczas, gdy wolność była za Wisłą.

Na tym momencie urwijmy losy pokolenia. Choć do tej najogólniejszej konstrukcji, do której wiele bardzo można dodać, nic — ująć, użyłem na równych prawach urywków z literatury i z życia, choć jedne zdania umieściłem w cudzysłowach, inne — bez cudzysłowu, nagromadziłem moim zdaniem jednakowe dane z dziejów pokolenia. Niektóre bowiem postaci i opisy można z książek młodych pisarzy przenieść do życiorysu pokolenia jako autentyczne. Te wycinki mają przymiot prawdziwości. Ale mógłbym je policzyć na palcach, jest ich tak niewiele. Dlaczego?

*) Roman Bratny, „Ślad". wyd. E. Kuthana, Jerzy Piórkowski „Niepodlegli", Spół. Wyd. Wiedza. Jerzy Pytlakowski, „Wielki cień", Spół. Wyd. Czytelnik. Witold Zalewski „Nieśmiertelni bohaterowie". wyd. E. Kuthana.

**) Przegląd socjologiczny 1939.



Drzeworyt Jakuba Steinharta
ilustracja do jednego z ekspresjonistycznych opowiadań

W LABORATORIUM EKSPRESJONIZMU

Uwagę krytyki literackiej zwraca fakt nawrotu ekspresjonizmu w najmłodszej literaturze. Z dawnej ekspresjonistycznej aparatury powraca nie chwyt jeden, lecz cały ich zespół, zasobne ekspresjonistyczne laboratorium.

Przyjrzyjmy się bliżej technicznemu wyposażeniu pracowni, surowcom przeznaczonym do obróbki i gotowym wyrobom. Czy są one tylko świadectwem naszego technicznego opóźnienia w dziedzinie kultury, czy twórczym adoptowaniem dawnych artystycznych pomysłów?

Przed przechadzką po laboratorium trzeba poczynić szereg sprawiedliwych zastrzeżeń. Nie wszyscy młodzi prozaicy są w jednakowej mierze wyznawcami i entuzjastami ekspresjonizmu. Bratny i Zalewski są ortodoksami, Piórkowski — nieznacznym odstępcą, Pytlakowski — zupełnym heretykiem. Każde opowiadanie Bratnego i Zalewskiego reprezentuje typową ekspresjonistyczną manierę, niektóre opowiadania Piórkowskiego trzymają się jej równie konsekwentnie (na przykład — „Korab"). Rozważam tutaj także opowiadania Pytlakowskiego, choć nie można ich pod żadnym pozorem włączyć do tamtej grupy. Ale na prozie Pytlakowskiego dostrzegam sporo ekspresjonistycznego osadu. Piórkowski i Pytlakowski wykazują więcej znacznie tradycjonalizmu w swojej twórczości: pokutują tu stare językowe nawyki, których wyzbyli się Bratny i Zalewski.

W bogatym i ogromnym laboratorium łatwo zabłądzić. Krytykowi przypadła rola przewodnika i tłumacza.

Ostrożnie: Dzieło sztuki!

W powieści później znacznie niż w poezji, występują odruchy emancypacji. Wiersz ze względu na swoje przyrodzone właściwości jest od dawien-dawna przyjmowany jako produkt sztuki. Związki prozy z potocznym językiem są znacznie bliższe i ściślejsze. Toteż rewolucją było w obrębie społecznego życia, gdy powieść zapragnęła zostać dziełem sztuki: zarzuciła swoje zwykłe funkcje, przestała być zwierciadłem przechadzającym się po gościńcu i katechizmem świeckiej etyki.

Artysta przybiera teraz inną postawę wobec rzeczywistości. Prawda sztuki jest coraz odleglejsza i mniej podporządkowana prawdzie świata. Dzieło sztuki zaczęto pojmować nie jako odzwierciedlenie, a jako przeróbkę natury. Dla osiągnięcia zamierzonych efektów artysta ma prawo dokonywać operacji rzeczywistości. Ze szczególnym naciskiem podkreśla się teraz pierwiastek twórczej woli i artystycznego zamierzenia.

Naturalnie — każde dzieło sztuki, nawet najskrajniej naturalistyczne, jest z konieczności deformacją rzeczywistości. Tutaj jednak chodzi o świadome i celowe przeinaczanie świata.

Oko zatrzymuje się na fakturze nowego obrazu, na widocznej konstrukcji i słownej nawierzchni utworu literackiego. Artysta jakby umyślnie podkreślał wobec widza i czytelnika, żeby z portretem, tomikiem poezji i dziwną powieścią obchodzili się z szacunkiem, należnym dziełu sztuki.

Dla tego specjalnego rozumienia dzieła sztuki charakterystyczna jest opinia J. E. Skiwskiego o prozie Kadena.

„Powieści Kadena — pisze krytyk *) — są zdaniem moim wyjątkowe przez to, że są **w całości dziełami sztuki**, że nie zawierają albo **w minimalnych dozach element opisowy, informacyjny**, w pojęciu naszym nie odłączny od formy opisowej. **Autor nie powiadamia nas o niczym**, tylko trzyma ustawicznie **w atmosferze wizji**".

Inwazja poezji

Proza Bratnego, Zalewskiego, Piórkowskiego wykazuje wiele bardzo pokrewieństw z awangardową poezją ekspresjonistów. Wchodzimy w las poetyckich epitetów, wymyślnych metafor i nieepickich skrótów.

„Miała **wysokie oczy**... później już **nadbiegła w strzelistym locie** jej oczu — noc".

Choćby ten fragment nie trudno włączyć do którejś z erotycznych elegii Bratnego o oczach. Należy nieco bardziej zinstrumentalizować zdanie, rozłożyć je na linijki wiersza.

Również grzeszą przeciw epice pozostali prozaicy:

Zalewski: „Ale czaszka była wydrążona z pamięci **jak pusty owoc**, a serce podskakiwało w piersi **jak niesforny łobuz**" (76).

Gdzie indziej:

„Stara wyła bez przerwy, **rozmazując jęki** po pomarszczonej twarzy" (29).

Piórkowskiego poetycka proza jest rodem z najgorszych epickich tradycji:

„Grał teraz Rachmaninowa.

— Czy znasz woń japońskich kwiatów i uśmiech świeżej chryzantemy, która w mojej ojczyźnie jest kwiatem śmierci? Mam mięśnie wędrowca, co przeszedł wiele i ani razu nie obejrzał się do tyłu. Na ilu oknach widać twój uśmiech, moja Miła, na ilu sercach widać złocistą plamę płynącą z twoich oczu. Gdy mrok twój się oddali — ja jak wiecznotrwały cienisty twój strumień"... (Piórkowski, 75) i tak dalej i tak dalej.

„Łatwiej pisać prozą, niż wierszem — dowodzi teoretyk polskiego ekspresjonizmu, Jan Stur (1922)**). — Stąd trudniej pisać pięknie prozą, niż wierszem. Jak długo musieliśmy czekać, by po nieskończonym szeregu „dobrych", a jeno miejscami — pięknych powieści ukazały się „Żywe kamienie" Berenta, pierwszy przykład polskiej prozy powieściowej, będący od pierwszego do ostatniego słowa — poezją". Stur pokazuje palcem niedościgniony ekspresjonistyczny wzór. Zapomnijmy jednak o idealnej prozie „Żywych kamieni".

Do ekspresjonistycznego ideału poetyckiej prozy ciąży język najmłodszej literatury.

Niedomówienia, pytajniki...

Dzieło literackie według zadań ekspresjonizmu ma wzruszać czytelnika. Dzieło jest zbiorem podniet, które muszą wywoływać podobne przeżycia u czytelnika, co i u jego autora.

Jan Stur pisze o zamierzeniu artysty: „Innymi słowy (autor) chce wzbudzić w czytelniku, widzu, lub słuchaczu **współczucie**" (123).

W opowiadaniach młodych prozaików często występuje metoda przemilczeń. Opowiadania są zbudowane jakby z pustych cegiełek. Niedomówienia i pytajniki mają wzmagać zaciekawienie, emocje, zaostrzać w czytelniku psychologiczną pobudliwość. Przemilczenia mają dać czas na przeżycie, wzbudzić żywy współudział poznawania.

Przez wysiłek fantazji zmierza się do nagromadzenia w czytelniku wielkiego zasobu wzruszeń.

Uczucia, będące najwartościowszym według ekspresjonistów budulcem utworów, należy przekazać odbiorcy możliwie w najmniej naruszonym stanie. Muszą się one przedostać z wnętrza autora do psychiki czytelnika bez utraty intensywności, barwy i żaru. Nie wolno ich uprościć, wystylizować czy ostudzić. Doskonałość pisarska polega na troskliwej pielęgnacji bujnych uczuć i usuwaniu wszelkich przeszkód dla ich przekazywania.

Stur dalej pisze, że „musimy — o ile to możliwe — osłabić znaczenie Mickiewiczowskich słów: „język kłamie głosowi, a głos myślom kłamie", tzn. przystosować sposób wyrażania się do szukających wyrazu uczuć".

Za jedyne kryterium wielkiej twórczości ekspresjoniści uznają zgodność każdego jej fragmentu z prawdą życia wewnętrznego. Artysta troszczy się o zniesienie wszelkich zatorów na drodze wypowiedzenia się jego duszy. Należy również usuwać zbędne punkty kontrolne, na których mogłyby przeżycia stracić swój naturalny wygląd. Rozumowy filtr jest zbędny, a nawet szkodliwy. Nie ma innych kanonów piękna prócz wierności własnym przeżyciom. Uczucia wtedy nie tracą rumieńców, gdy ujawniają się spontanicznie.

Takich protokółów wewnętrznych zwierzeń jest wiele na każdej kartce książek młodych prozaików. Zdania są tutaj płynne i na

*) Czachowski, Obraz współczesnej lit. pol. tom III.

**) Jan Stur. Na przełomie — o nowej i starej poezji. Lwów 1922.

woju literackiego*)

wszystkie strony powykręcane. Nie przywiązuje się wagi do pełnej i regularnej budowy zdania.

„Ręce! Znaleźć ręce człowieka, które kochają, a są blisko, dbają o głowę, otaczają. Oh... ale znalazł w końcu spokój w jej wysokich oczach i miłość. Wierzył, że zwycięży. Jej ręce. Odchodzi z trudem. Ciężej". (Bratny, 53).

Potoki niekontrolowanych wynurzeń płyną przez prozę tych pisarzy. Bez pośrednictwa i kontroli rozumu, podniety i bodźce mają się w psychice czytelnika przemieniać na jego własne przeżycia.

Bratny (w „Śladzie") opisuje reakcje słuchaczy na opowiadanie jednego z młodych zamachowców:

„Po tych kilku, czy kilkunastu może minutach milczenia ludzie drgnęli i poprawili się w fotelach".

Wewnętrzna przygoda

„To, co się we mnie dzieje, czego dostrzec, usłyszeć, dotknąć się, żadnym zmysłem uchwycić nie mogę, co jedynie odczuwam i w co wierzę — stwierdza w programowym artykule „Czego chcemy" Jan Stur — jest rzeczą ważniejszą, prawdziwszą, wznioślejszą niż wszystkie objawy zewnętrznego, dotykalnego świata (131)... Chcemy dać jak najwierniejszą, jak najpotężniejszą, jak najbardziej bezpośrednią wypowiedź nagiej duszy, a więc duszy kryjącej się wprawdzie także w przejawach życiowych, ale nie odgadywanej przy pomocy ich wyglądu, stare, zmiennej ruchliwości... Zdaniem naszym pokazując **rzecz samą w sobie** wyrażamy ją prawdziwie, nie narażając się tak dalece na fałszywe wnioskowanie, nie mogąc tak łatwo popaść w błąd, jak w tym wypadku, w którym przedstawia się ją niby człowieka ukrytego w szacie" (130).

To, czego chcieli polscy ekspresjoniści ćwierć wieku temu można by nazwać naturalizmem duszy. Przyznawano największą realność psychicznym odczuciom, miłości, weselu, złości, i zwątpieniom.

Wojna w opowiadaniach najmłodszych prozaików jest wielką wewnętrzną przygodą. O zewnętrznych, obiektywnych jej przejawach powiadamia się czytelnika zaledwie o tyle, o ile są one niezbędnie potrzebne dla pokazania wewnętrznych widoków. Z wielką wojną obcujemy tutaj jako z subiektywną wizją młodych konspiratorów, płodem ich wybujałej wyobraźni.

Monolog, zaprzepaszczony omal całkowicie przez naturalistów, przywrócony przez neoromantyków, tutaj jest wszechwładny. Stał się najdogodniejszym instrumentem dla pokazywania psychicznych popędów i konfliktów. Pod pozorem największego obiektywizmu uprawia się skrajny subiektywizm. Nie ma rygorów obiektywnej motywacji. Cały ciężar tych niewidocznych i niedotykalnych tarapatów dźwigają bohaterowie powieściowi. Gdzie kończy się monolog bohatera, a gdzie zaczyna się glossa pisarza, w tej pokrętnej prozie niewiadomo.

Jak w perspektywach tych wewnętrznych przygód wyglądają realia okupacji? Niemcy — to jakieś niewidoczne ręce, które rzucają granaty i strzelają z maszynowej broni, albo cienie nie z tego świata, których bardzo się boimy. Niemcy — to przedziwne zjawy, którym zawdzięczamy tę niespotykaną eskapadę w krainę dziwów. Niemcy — to eksponaty w iluzjonie, do którego zachodzą poszukiwacze wielkich, prawdziwych przygód.

Społeczne konflikty występują tu w karykaturach. Posłuchajmy dwóch fragmentów:

„Janek (podczas napadu na fabrykę) **łaził po wielkiej sali ze stenem pod pachą. Robotnicy pracowali w milczeniu.** Bladzi wspominali chyłkiem spojrzeniami rzucanymi na agenta dziki wrzask, jaki ten rozpętał przy wejściu do sali, gdy dziesięciu ich wybrał do załadowania pak na samochody. Reszcie kazał pracować.

„Unser Vaterland braucht Medizin. Europa potrzebuje leki, pracować — przetłumaczył łaskawie. Uśmiechali się podle i tchórzliwie. Miał ochotę krzyknąć im:

— Patrzcie, jak się żyje, jak się walczy, płazy" (Bratny 61)

„A obok w sąsiednim pokoju mówią o tobie, jak o bohaterze. I dobrze — to przecież nim jesteś. Te bandaże na piersi — białe. Te róże — czerwone. Polska to jednak wielka rzecz. **A oni — ci ziemianie też nie są tacy źli. Kiedyś miało się do nich pretensje. Stare, głupie historie. Zły los młodzieńca na kondycji.** Wstyd. Ale teraz..." (Zalewski, 75).

Tarcia społeczne, jak w świecie wyjętym spod prawa ciążenia, znikają. Istnieją przecież tylko osobiste sympatie i antypatie, własny światek wewnętrznych sprzymierzeńców i wrogów. Toteż wobec społecznych antagonizmów wy aża Zalewski pełną beztroskę:

„Księżyc przegląda się w kałużach, nad lasem pędzą tabuny siwych chmur. Ziemia gna — **dokąd?"** — tak kończy się jedyne w całości poświęcone społecznej problematyce opowiadanie pt. „Mrok".

Rzadkie wiadomości o zewnętrznym świecie są podawane w psychologicznych kategoriach. W prostym opowiadaniu wewnętrzna przygoda może się jednak wydać nie do wiary. Dla prawdopodobieństwa trzeba ją jakoś na nowo zeinscenizować. Poustawiać dekoracje w postaci układów wzruszeniowych i nastrojowych kompleksów. Wówczas dopiero przez podobieństwo odczujemy smak przygody. „Ale także miał — jeden z bohaterów Bratnego (85) — taka błahostkę (przygodę, której omal nie przypłacił życiem) opowiadać ludziom, którzy patrzyli nań wyczekująco"). Zupełnie nie ważne są zadania bojowe zamachowców czy wykolejaczy pociągów. Informuje się o nich przypadkiem; równie dobrze można je pominąć milczeniem.

Przeżycie jest miarą wszystkiego. Jeden z chłopców „wie, że umrze, zginie na polu walki, **a nie umie tego porządnie przeżyć.** Niechętnie pomyślał o sobie, że nie potrafi widać umrzeć" (Bratny, 98).

Monografie minut

W miarach ludzkich psychik nie obowiązują prawa godzin i minut. Zegarki idą według czasu, którego jednostką jest przeżycie. Tych przygód wewnętrznych nie da się obserwować z naszym zegarkiem w ręku. Czas wewnętrzny przystaje, zwalnia albo rozbiega się, pędzi zależnie od okoliczności. Czasem minuta rozrasta się zgodnie z prawami psychicznej rozciągłości i zajmuje pojemny wycinek czasu.

Chłopcom, którzy zamurowani w piwnicy oczekiwali śmierci, moment wydał się wiekiem.

„Jak wyjdziemy — górą, czy wybijemy mur tego fryzjera? — zapytał któryś — dosyć siedzieliśmy w tej piwnicy.

— No, nie dłużej, niż minutę, chłopcy, powiedział Mocny, siadając na ziemi". (Bratny, 101).

Dane są w tych krótkich opowiadaniach jakby monografie minut. Na przykład „Ślad" i „Minuta" Bratnego — to typowe psychologiczne monografie osobliwych minut. Moment wielkiego przeżycia ma swe dalekie psychiczne rodowody. Chwila posiada swoją historię, dzień wewnętrznych narodzin i okres psychicznego dojrzewania. Dopiero na tym „historycznym" tle są widoczne we właściwej proporcji momenty kulminacyjne.

W „Maskach" Zalewskiego i w „Sądzie" Pytlakowskiego w ramkach ważnego przeżycia pokazano związki między teraźniejszą chwilą a psychiczną przeszłością.

Otrzymujemy jakby skróty momentalne życia. Pozornie narzucają się tylko zespoły luźnych, niepowiązanych przypomnień i skojarzeń. Nie ujmuje się ich w żadne uporządkowane logicznie rozumowanie, czy w sztuczną perspektywę. Ciągi asocjacji okazują się jednak ze względu na swój artystyczny cel zwartym, spójnym wzorem. Psychiczne akty odkrywają narastanie wewnętrznych treści, aż do ich szczytowego momentu — głównego przeżycia.

Subiektywna wizja świata jest pełna pęknięć i luk. Odpowiada jej zawiły rysunek formalnych załamań (szczególnie w „Maskach" Zalewskiego i w „Ostatniej bitwie w bohaterskim stylu" Pytlakowskiego). Pisarze wykorzystują prawie wszystkie możliwe środki wyrazu. Tok normalnego opowiadania gwałtownie się załamuje. Po trzech kropkach niekończonego zdania zaczyna się nowy nurt opowiadania. Na różnych płaszczyznach i planach biegną równocześnie rozmaite relacje. One tworzą jakieś duchowe przestrzenie, w których rozgrywają się psychiczne dramaty.

Człowieka mierzy się w tych opowiadaniach, tak jak chciał stary Goethe, najwyższymi a nie najbardziej poziomymi chwilami jego życia. „Słusznie! — przytakuje Stur — Albowiem podstawy nasze są równe. Różnimy się tylko wierzchołkami" (154). Poziom stanowi pogardzana przeciętność. Ludzie nie są klasyfikowani na zasadzie jakiegoś bezwzględnego dobra i zła, wyróżnia ich każde nadzwyczajne duchowe napięcie.

Krajobraz ruchomy

Nie tylko wnętrza bohaterów tych wojennych opowiadań są szarpane niepokojami i rozrywane nagłymi wybuchami wzruszeń. Wchodzimy w przedziwny świat, w którym się wszystko porusza.

Nie dziwi nas, że w oczach pijanego Hansa „ulica **szła niepewnie, zataczając się** aż gdzieś za ostatnią latarnię. Słup przystanku **chwiał się".**

Zamiast statycznych trwałych krajobrazów wprowadza pisarz dramatycznie uruchomione siłą psychicznych odruchów. Ruchliwość krajobrazów staje się kanonem każdego opisu.

Kilka choćby przykładów zorientuje nas w prawach tej ruchliwości. „Czarne osmolone drzewa **wyciągają w niebo konary"** (Zalewski 127). „Nagie konary drzew **wrastały** w niebo tragiczne i meskie" (Piórkowski. 45). „Kłębiąca się między drzewami noc **dźwigała** linię horyzontu. Nad nią i nad lasem **chodził** chorał wiatru" (Piórkowski. 61).

Prócz tych sił, które tkwią jakby w samej naturze i powodują jej wieczną zmienność, są inne motory poruszające scenerię. Człowiek stanowi zawsze punkt obserwacyjny, centrum przyrody. I wobec tego „pod koła przydrożnego na gazie „łazika" **podbiegały** pierwsze deski mostu" (Piórkowski. 193), a nie auto wjeżdżało na most. „Wyżej, jak człowiek całym wysiłkiem mięśni pnący się pod górę, soczystym łukiem świeżej zieleni **podbiegały zagony ziemniaków".**

„Namyślał się... w dodatku czy nie zdąży wyskoczyć i zjeść coś, w której z restauracji **mijających** tramwaj szybko i bezpowrotnie" (Bratny, 108).

A nawet wówczas, gdy wydaje się, że widok musi pozostać nienaruszony działaniem praw ruchu, przynajmniej w pośredni sposób pisarz przypomina o obserwatorze:

„**Groźna nuda** porozwalanych domów, pokrytych ceglanym pyłem i sadzą — to było przeważone przez **czystość, radość** jesiennego chłodnego poranku". Na wagach krajobrazu, odważa się psychiczne stany patrzącego.

I znowu do tych narzucających się czytelnikowi spostrzeżeń doskonale pasuje jedna z anegdotek niewyczerpanego Jana Stura:

„Kupuję coś niecoś u przekupki. Ja sam jestem dla siebie centrum świata: owa przekupka — to dla mnie epizod, jeno złudzenie optyczne" (181).

Zjawiska przyrody są tylko epizodami, zmiennymi, coraz nowymi, raz pojawiającymi się, a raz znikającymi. Natura podlega prawom nieustannego ruchu, prawom zależnym od psychicznych doznań i złudzeń. Ekspresjoniści odrzucili kopernikański pewnik: zatrzymali ziemię, poruszyli słońce.



Okładka do Oskara Kokoschki „Chłopców we śnie"

Szpital wariatów

Sporządziłem na własny użytek długi spis realiów straszliwego świata, w którym rozgrywają się wojenne dramaty młodego pokolenia. Na podstawie tego indeksu można młodych pisarzy dość uzasadnienie nazwać kolekcjonerami psychopatologii.

Majaki, przywidzenia i urojenia, jęki i stękania ludzi, tortury wzruszeń i przeżyć, cienie i senne zwidy, kocury i staruchy — to tylko krótki wyciąg dziwności i niezwykłości tego świata. Nawet najzdrowsi zdawało by się spośród bohaterów przechodzą piekło halucynacji: „Głos Andrzeja brzmiał dysonansem i chociaż wiedział dobrze o tym, ale przecież skąd tyle blasku w oczach Krystyny, czegoż Bończa szuka, czegóż chce? —

— Węgry, Krystyna...." — majaczy Andrzej. Te psychiczne nienormalności stawiają bohaterów obok takich postaci Kadena, jak Dymek (np. w czasie zebrania studenckiego w „Prochu"), czy Koza (na sali sejmowej — w „Mateuszu Bigdzie").

Wielu ludzi występuje w maskach. To nie karnawałowa maskarada. Po świecie poetyckim biegają starożytne Erynie:

„Z tym uśmiechem bladym i leniwym jak **z maską w gipsie** (Korab) już pozostał, skurczony i czujny" (Piotrkowski, 105).

„Z szeregu występuje żołnierz. Ma on na twarzy **tragiczną maskę, odlaną z gipsu, taką jakich używano w teatrach greckich.** Oficer zwraca się do Michała: Podchorąży, umiecie rozstrzygnąć, czy żołnierz ten — wskazuje na zamaskowanego — żyje czy nie?

Michał przestał się bać. Z zaciekawieniem patrzy teraz na żołnierza, który podnosi do twarzy rękę i wolnym ruchem zdejmuje od czoła maskę. Wtedy Michał krzyczy **na całe gardło: Józiek"** (Zalewski, 69).

Maseczki wzmagają tajemniczość występujących postaci. W ten sposób grają bohaterowie powieści przed sobą nawzajem i zachowują wobec świata swoje incognito. Często w ogóle nie podaje się nazwisk występujących osób, lub odkrywa się je na końcu opowiadania.

Dopiero w zakończeniu opowiadania Piórkowskiego dowiadujemy się, że Korab czekał na jednego ze swych towarzyszy konspiracyjnych. Dotąd można było z równym prawdopodobieństwem sądzić, że oczekiwał na powrót kochanki.

Tajemniczość opowiadania potęguje nienazwany rywal w Bratnego „Ukochanej":

„Kto tu był?" — Ach!

Dopiero później w jęku, zdyszaniu, znowu, dopiero wtedy, gdy zaciśniętymi wargami pytał rytmicznie: kto to? kto to? kto to? — dopiero otrzymał wyjąkaną i zduszoną odpowiedź: **on!...**

... Następne dni były gorsze. Dawniej wiedział, że ktoś jest u Marii, męczył się, zagapiał przy pracy, zaciskał zęby. Teraz zawsze widział z nią „**jego**" smukłą sylwetkę w mundurze, zaciskał zęby i bał się, w jakiś inny, specjalny sposób bał się. Gdy „**go**" nie widział...." (Bratny, 52).

I tak na wszystkie przypadki odmienia się przez całe opowiadanie bezosobowego, tajemniczego, strasznego rywala. W końcowej partii dowiadujemy się, że jest nim Unteroffizier Hermann.

Półtony, lęki, urywkowe rozmowy, wreszcie bardzo przesadne, straszliwe krajobrazy dopełniają atmosferę grozy.

„Odważnie nurkują w to morze ciemności podniósłszy wysoko ramiona, obarczone karabinami. Nogi rozjeżdżają się gliniastym błocie. Płowe i tłuste ćpa żołnierskie cholewy i cmoka smakowicie za każdym podniesieniem buta. Twarze obsiadają roje kropli wiszących w powietrzu i roszą je zimnym potem. Plutonowy Mrok próbuje językiem smaku kropli spływającej po twarzy. Jest gorzka... **Cholerna noc...** taka sama...". (Zalewski, 87).

Kontury rzeczy widzianych są rażąco ostre i wyraziste. Świat opisywany jest często tak jak poniżej u Piotrkowskiego **w stopniu wyższym:**

„Taki to był świat, w który znienacka wtargnął major Szaroń ze swoim batalionem piechoty. Lato było niepodobne do żadnego innego, upalne, niespokojne, gorączkowe dla ludzi i dla przyrody. Gwiazdy zdawały się zapalać w niebie **prędzej**, świeciły z jakimś jakby purpurowym odblaskiem i **wcześniej** gasły, jakby zdmuchnięte przez wiatr świeczki przy łożu konającego. Świty miały przejmujące zimna. Ludzie **prędzej** dawali się unosić namiętnościom, konie stawały nawet przy pługu dęba i pędziły z wysokim przenikliwym rżeniem **po ciemiach** rżysk. Kobiety **prędzej** pociły się w miłości" (Piórkowski, 194).

Wśród złowrogich, tajemniczych i niespokojnych obrazów występują ślepi i chromi, symulanci i kaleki. To są przedsionki wielkiego szpitala wariatów. Weźmy fragment z pamiętnika obozowicza:

„Tutaj jest Marta, która kocha kapitana, a Marta nie z nim..., a kapitan nie jest kapitanem...

I tutaj przychodzą lekarze, którzy są wariatami, bo wierzą, że ja nie jestem normalny. Tu jest to samo, co tam — za ścianami.

..... Otóż jeżeli ja sam się nie zgodzę być wariatem, to cała ta rzeczywistość, to cały świat będzie w szaleństwie" (Bratny, 178).

Zamknęło się wariackie koło losu. Tutaj są sami wariaci i poza ścianami — również wariaci. Nie ma wyjścia. Jesteśmy w szpitalu dla obłąkanych. Niedaleko stąd leży „Sanatorium pod klepsydrą".

Wypadek i rzecz są symbolami

Zjawiskom pozostającym poza granicami ludzkiej psychiki młodzi pisarze nadawali wartości duchowe, przez nasycenie ich subiektywną treścią. W ten sposób ich obserwacja wyogromnia zjawisko ponad dostępne w zwykłych warunkach rozmiary, dodaje mu treści subiektywnego przeżycia, dołącza drugie alegoryczne znaczenie. Niektórzy krytycy, wyznający poetycką odrębność sztuki, nazywali taką metodę obserwacji — twórczą, w przeciwstawieniu do odtwórczej pasji realistów

Bratnego opowiadanie „Ukochana" opisuje dom publiczny w obozie. Więzień dostaje się do swojej ukochanej w czasie nocnych wypraw. W drabinie, przy pomocy której dostawał się do pokoju na pięterku, jakiejś nocy — „pierwszego szczebla nie było, wyłamany". Następnego dnia Seweryn „macał ręką, pamiętając, że brakuje pierwszego szczebla. — Co to? — sięgnął wyżej. Nie było już pierwszych dwóch, — nie — trzech szczebli nie było". I wreszcie ostatniej nocy „następne szczeble były wyłamane, z trudem sięgał najwyższego, stał ścierpły".

Drabina, w której tajemniczy konkurent niszczy coraz dalsze szczeble staje się z realnego przedmiotu symbolem powolnego, nieubłaganego tracenia ukochanej.

Załamują się i ryskają realne kształty przedmiotów:

„Karbidówka skwierczała przy drzwiach.... Janek trzymał ją jak granat konspiracyjny. **Miała nawet do niego podobny kształt i wagę. Doskonale leżała w dłoni. Podniósł ramię i zamachnął się" (Zalewski, 47).**

Czytelnik traci orientację. **Nie wie, czy to** jest ostatecznie karbidówka, czy granat. **Bowiem symboliczna jest każda indywidualna** rzecz i każdy indywidualny wypadek — jeszcze według starego poglądu Goethego. Wojenne wypadki są jeszcze zbyt małe, trzeba je powiększać, aby stały się imponującą przygodą.



Winieta tytułowa ekspresjonistycznego pisma niemieckiego „Die Aktion"

Rozkłady jazdy

„Wspaniały jest przepis Stura na powieść ekspresjonistyczną, która odtworzyłaby nieskończoność, irracjonalność i chaotyczność świata. „Trzeba zacząć — formułuje wskazania bojowy teoretyk — od opowiadania losów jednej osoby lub jednostek kilku, iść czas jakiś ich śladem, po pewnym czasie opuścić ich koleje, zahaczyć o nowe przezna-

czenie, w pośrodku akcji dać opis nowego krajobrazu („Popioły"), z zaścianku pana sędziego udać się na daleki wschód, od opisów realistycznych przejść w kraj czystej fantazji".

Linia, jaką się tutaj wskazuje, jest wyraźna. Od opisu konkretnych zdarzeń uciec do fantastycznego świata. Ale Jan Stur przeraził się wszelkich następstw swoich anarchistycznych zaleceń, przestraszył się własną światoburczością. W dalszych partiach wywodów formułuje program obrony, walczy z pisarzami, którzy nie tylko odrzucają opis przejawów życiowych, ale odsuwają również możliwość konkretnego określania uczuć, np. miłości czy nienawiści. Atak jest zwrócony przeciw formistom, zwolennikom czystych kształtów i dziejów, które mają wzbudzać abstrakcyjno - nieuchwytne uczucia. Jan Stur w obawie przed całkowitym rozbiciem świata upiera się przy sensowności psychologicznego zdania. Był to bowiem czas, gdy parnasiści uważali, że sens zdania jest zbędny, wystarczy zachować reguły gramatyczno-składniowe. Dadaiści posunęli się dalej i ogołocili zdanie z ciągłości składniowej, rozbijając słowa na głoski, na dźwięki mowy, na puste abstrakty.

Nie można zapominać, że ta cała wielka eskapada nowoczesnej sztuki zaczęła się pod znakiem ekspresjonizmu. Z niego zrodziły się nowe kierunki, jak futuryzm, dadaizm, surrealizm. Ekspresjonizm ważył się zrobić zamach na prawa natury, jego następcy bardziej rewolucyjni i zbłąkani rozbili również wewnętrzne światy ludzkich złudzeń.

Zygmunt Kałużyński w artykule „Zbliża się Polska" La bataille d'Hernani"*) twierdzi „że jedynie na pierwszy rzut oka ekspresjonizm warszawskich pisarzy jest wierną choć bezwiedną reprodukcją owego dawnego stylu. W istocie jest to nowy ekspresjonizm, zbudowany na zasadach innych. Wedekind, Hasenclever, Sternheim, Kaiser, Brecht żywili głęboką nienawiść do naturalizmu i ona była ich motorem twórczym. Świat zewnętrzny to dla nich świat wrogi, opisywać go nie pragnęli, uciekali przed nim we własną, dziwaczną wizję. Ale tematem tej wizji była obsesja: właśnie obrona przed światem. więc kpiny ze społeczeństwa..., więc groteskowe, fantastyczne, niesamowite pomysły, więc krzykliwe, jaskrawe do niemożliwości efekty, mające podkreślić moc „wyrazu" (expressio), wyrazu służącego indywidualnej „jani" poety, więc najdziksze rozpasanie psycho-analityczne i erotyczne, więc wreszcie jako rezultat anarchizm olbrzymio wyrosłego indywidualizmu. Jeśli podejmowali ekspresjoniści społeczne problemy i to z rozmachem rewolucyjnym i patosem rzadkim w piśmiennictwie, to dlatego, że nędza raziła ich nadwrażliwe i neurastaniczne indywidualności, stokroć mocniej, niż mogło się to zdarzyć u spokojnego obserwatora. Stąd ten niesamowity krzyk o sprawiedliwość. Nie trudno zauważyć — konkluduje Kałużyński — że cała ta ideologiczna podbudowa ekspresjonizmu (indywidualny anarchizm) nie tylko zniknęła doszczętnie w twórczości warszawiaków, ale zastąpiona została innym elementem: **społecznym...** Bratny używa formalnych efektów i chwytów ekspresjonistycznych dla stworzenia nastroju patosu, dla powiększenia możliwie dobitnego wymiarów zagadnienia, które porusza, dla wzmocnienia ich **etycznego sentencjonalnego wniosku...** Alegoryczne i deformacyjne chwyty, które pozostały, wykorzystuje Bratny celowo, dodaje do ich znaczenia „poetyckiego" — jak już to widzieliśmy — jeszcze ścisły sens rzeczowy. Różnica jest zasadnicza: ekspresjoniści świata widzieć nie chcieli — **Bratny go widzi.** Bratny wyodrębnia temat najsilniejszy: wojnę i o niej nie opowiada, a **„krzyczy".**

Nie mogłem sobie odmówić przyjemności przytoczenia tego cytatu w całości. Zrobiłem to, żeby w pełnej rozciągłości zaprezentować krytyczną koncepcję nowego ekspresjonizmu w rozumieniu Zygmunta Kałużyńskiego. Na podstawach gruntownej analizy, którą mamy poza sobą, należy podjąć z tą interpretacją spór na całym froncie. Pozostawmy na uboczu trafność wyjaśnienia niemieckiego ekspresjonizmu, choć charakterystyka Kałużyńskiego dotyczy raczej jego późniejszej fazy. Okresu, w którym do sztuki ekspresjonistycznej wdarły się nowe żyjątka fermentu w związku z modą na psychoanalizę.

Ale wnioski dotyczące warszawskiej grupy są zupełnie nieoczekiwane. Anarchizm niemieckich ekspresjonistów w twórczości warszawskich prozaików miał ustąpić miejsca elementom społecznym.

Kałużyński jest w Paryżu, i nie mogę go zapytać, co miał na myśli, pisząc o społecznym żywiole młodej literatury. Wydaje się, że niefortunny, przypisany przez krytyka pisarzom, społeczny charakter ich opowiadań, można zastąpić sprawą narodową, która naprawdę w ich przedstawieniu wyczerpuje okupacyjną rzeczywistość. Sens walce nadaje **Sprawa.** Ale chyba z jeszcze większą słusznością można mówić o wielkiej młodzieńczej, duchowej przygodzie, która jest uświęcona, a może i nieco upozorowana zdala patronującą ideą walki o oswobodzenie kraju.

Pokazywałem, w jaki sposób młodzi prozaicy widzą świat w ogniwach wojny. Nie można ich obserwacji nazwać ani trafną, ani wszechstroną, ani dalekowzroczną. Pisarstwo młodych pokazuje właśnie niechętne odwracanie się od złowrogiej rzeczywistości. Jedyny wniosek etyczny, jaki płynie z wielu opowiadań o przygodzie nie wytrzymał próby czasu. Zgodność z samym sobą okazała się kryterium zbyt dowolnym. Sumienie ludzkie było busolą, która wyprowadzała wprawdzie na spokojne wody, ale nie orientowała zgodnie z mapami zawiłych czasów. Nauki więc i sentencje, dla których uwydatnienia miała służyć zdaniem Kałużyńskiego technika ekspresjonistyczna, są błahe i raczej wyczytałem je między wierszami o odmiennej treści.

Czy rzeczywiście młodzi pisarze zachowali rygory myślowe w deformowaniu świata? Czy ich dziwaczna wizja trzyma się na uwięzi rzeczywistych praw?

Zanim odpowiem na to pytanie, pragnę przypomnieć rozkłady jazdy według podręcznika historii literatury, ostatniego pięćdziesięciolecia. Dokąd odjeżdżały pociągi ze stacji ekspresjonizmu? W kierunku niekontrolowanej wizji, subjektywnych prawd, na stacyjki: kubizm, futuryzm, surrealizm. Na trasy, po których podróżowali byli kombatanci tamtej wojny.

Mieszczańskie: ignoramus et ignorabimus

Błędem, który pomścił się na zgrabnej i błyskotliwej tezie krytycznej Zygmunta Kałużyńskiego o nowym ekspresjoniźmie i o racjonalnym uzasadnieniu przeinaczanego i usymbolizowanego świata np. opowiadań Bratnego, jest zupełne oderwanie ekspresjonizmu od jego filozoficznego korzenia.

Krytyk sugeruje, jakoby zbiór umownych chwytów przetrwał ideologię, której był odpowiednikiem i teraz zgoła coś innego znaczy.

Ekspresjonizm rozwijał się pod patronatem filozofii witalizmu Henryka Bergsona. Filozofia ta była jednym z bardziej skrajnych systemów antyracjonalistycznej myśli. Człowiek nie wie i wiedzieć nie może o istnieniu niezależnej od niego, obiektywnej rzeczywistości. Wiemy tyle, co mówią nasze indywidualne doświadczenia i osobiste wrażenia. Już nie tylko znikają zupełnie z pola rozważań filozofa t. zw. zagadnienia bytu, lecz również odrzuca się właściwe teorio-poznawcze problemy. To, co dotychczas nazywano nauką, teraz nowi filozofowie uznają za metafizykę. To, co dotąd było metafizyką, ma być nauką. Jedyną rzeczywistością jest nasza psychika. Jej stosunek wobec świata nie może być poznawczy. Elan vital, wiekuisty potok, który przepływa przez nasze dusze, opacznie uważa się za konkretną, niezależnie od nas istniejącą rzeczywistość. Naukowe i filozoficzne poznanie jest nieprzydatne, bo nie doprowadza do żadnych skutków. Możemy tylko przy pomocy intuicji dotrzeć do wiecznie płynących wód, z których zaczerpniemy prawdziwej wiedzy o wewnętrznej rzeczywistości, przebierającej się w pozory niezależnego bytu. Twórcza intuicja pozwala na chwilę włamać się do świata naszych jedynie prawdziwych wyobrażeń. Wydaje się, że taki sam jest filozoficzny podkład wewnętrznej przygody w najmłodszej literaturze.



Literat
(rys. Gustaw Sach)

Żadnych istotnych poprawek nie zaprowadzono do powyższego systemu. Pojedyncze wykroczenia nic nie znaczą.

Szczegółowy opis i ogólną typologię artystycznych konsekwencji tej postawy starałem się dać w poprzednich rozdziałkach.

Minuty uniesień stanowiły właściwe lekcje poznawania jednostkowego mikrokosmosu. Z zadziwiającą konsekwencją Bratny i Zalewski stosują się do przyjętych założeń.

Dopiero po ukazaniu filozoficznego odpowiednika ekspresjonizmu w sztuce wniosek Kałużyńskiego zamienia się w paradoks. Oto racje, przy pomocy których mamy uzasadniać następstwo, są bardziej od niego niepewne i kruche. Przecież jeśli ktoś w obrębie tego filozoficznego kręgu mówi o rzeczywistości, właściwie orzeka o rzeczywistości dla danej jednostki.

Czy istnieje coś poza nią — nie wiemy. Konflikty klasowe — może, ale osobiste sympatie — napewno. Wojna — prawdopodobnie, ale lęki i przerażenie — z całą stanowczością. Ludzie wygłodniali i zmarznięci — na dalszym planie, obłąkańcze niepokoje — na pierwszym

Cytowałem niejednokrotnie programowe wypowiedzi i moralizatorskie anegdotki Jana Stura nie po to, żeby zilustrować mój artykuł rycinami ze starej książki. Pokazując zgodność między poglądami sprzed ćwierć wieku a literacką praktyką z czasów ostatniej wojny równocześnie lokowałem omawiane książki w czasie literackich przemian.

Ekspresjonizm w języku **historii literatury** oznacza styl, który nie potrafi wyrazić innego poglądu na świat, niż egoistyczny. Od dziecka — pesymistyczny styl. Negatywny wyraz wojennego przestrachu i przerażenia antyrewolucyjnego mieszczanina wobec narastających sprzeczności dyktatury wielkiego kapitału. Nowa sztuka była buntem, protestem, ucieczką. Ucieczką do poetyckich zdań. Pierwszą rezygnacją z realistycznego opisu świata i ze sprawdzalnej tematyki. Zatarły się granice prozy i poezji. Powstały przerosty fantastyki.

Ekspresjonizm w wykonaniu warszawskich prozaików nie jest, rzecz oczywista, wierną odbitką z niemieckich almanachów ekspresjonizmu, czy jedynej naszej antologii literatury ekspresjonistycznej, reprezentowanej przez grupę poznańskiego „Zdroju" (Poznań, 1917 — 1922).

Potraktowałem obszernie część o podobieństwach, o różnicach wspomnę zaledwie. Zniknęły niepostrzeżenie utopijne, ogólnoludzkie idee, w imię których buntowali się niemieccy ekspresjoniści. Weszły natomiast do książek Bratnego, Zalewskiego i Piórkowskiego inne aktualne treści.

Szczególnie różni są bohaterowie książek, przedzielonych niespokojnym ćwierćwieczem. Pamiętam dyskusję polskich ekspresjonistów, którzy gwałtownie krytykowali nietzscheańską wolę mocy, uważając ją za obcy, wrogi, pruski element. Bohaterowie opowiadań młodych pisarzy są nieśmiertelni, niepokonani, niepodlegli. Bohaterstwo ma tutaj narodowe barwy. Ogromnie charakterystyczni są ci chłopcy, którzy roją tylko o bohaterskiej śmierci i o wielkim narodzie. To jest najciekawszy wyróżnik, najbardziej groźna treść epoki narodowych wybujałości.

W pozornej analogii czasów dwóch światowych wojen nie znajdziemy właściwego i wystarczającego wyjaśnienia powrotu ekspresjonizmu. Przestrach wobec pierwszej wojny i przerażenie ostatnią wojną mają różny historyczny sens.

Skłaniam się raczej ku przypuszczeniu, że **młode pokolenie inteligencji zatrzymało się na stacjach minionych tradycyj kulturowych. Zostało przez wojnę zwekslowane poza tory rozwoju kulturalnego.**

Warunki pustki społecznej i kulturalnej, warunki życia i działania, o które zahaczyłem w rozdziałku „Pokolenie konspiratorów", zadecydowały o spóźnieniach.

Generacja młodych pisarzy uległa przymusowi bezruchu kulturalnego. Przyznała się do metody pisarskiej, która najbardziej nadawała się do indywidualnego chowu. Przyjęła styl, który straszył po kątach naszej zakonspirowanej i zapóźnionej szkoły. Jest wielu innych młodych pisarzy, ale ta właśnie grupa nadaje ton literaturze pokolenia. Kilku warszawskich prozaików stanowi, jedyną **zwartą formację młodej literatury.** Fakt ten zezwala traktować ją jako **znamienny i typowy produkt pokolenia, które zostało przez wojnę zwekslowane na ślepą bocznicę rozwoju kulturalnego.** **Tadeusz Drewnowski**

---

*) Pokolenie Nr 5.

Anna Kamieńska

KULTURA DRUKOWANA

(6—7. III. 1948 odbył się w Warszawie II Krajowy Zjazd Korespondentów „Chłopskiej Drogi")

1. „WIĘC ZUŻYTKUJ KAPITAŁY"

5 tysięcy prenumeratorów „Zarania" w końcu XIX wieku i 200 tysięcy nakładu „Chłopskiej Drogi" dziś — to nie tylko ilustracja rozwoju czytelnictwa i wzrostu zapotrzebowania na gazetę na wsi. Ten rozwój nie da się określić w prostych liczbach. Decydujące byłyby jeszcze dwa momenty: 1) jacy to prenumeratorzy i czytelnicy, 2) jaka jest treść rzeczowa ich kontaktu z gazetą. Odpowiedź na te pytania wyjaśniłaby jakiś istotny i szeroki proces społecznego zakorzeniania się kultury na wsi, tej kultury, którą w przeciwstawieniu do ustnej — według rozróżnienia Jana Bystronia kultury ludowej, nazwalibyśmy kulturą pisaną czy nawet drukowaną.

St. Rychliński w swej książce „Przeobrażenia społeczne w Stanach Zjednoczonych na tle urbanizacji" (Warszawa 1937) stwierdza decydującą dla kultury amerykańskiej, powstałej z drobnomieszczańskiego partykularza, rolę gazety. „W rzeczywistości nie książka — pisze Rychliński — **lecz dopiero gazeta w ogóle stworzyła w Ameryce czytelnictwo,** tak samo zresztą — dodaje — **jak w środowiskach ludowych w Europie".**

Począwszy od połowy XIX wieku zaroiło się na wsi od wszelakich pisemek. Były to przede wszystkim — jak powiedziałby korespondent „Chłopskiej Drogi" i pisarz zespołu „Wsi", Stanisław Gębala — **błękitne gazetki**, wydawnictwa obliczone na parafię, moralno-religijne Przypomnijmy np. „Katolika" redagowanego przez Józefa Chociszewskiego w Chełmnie, warszawską „Czytelnię niedzielną" Ungera, „Zorzę" Józefa Grajnera i wiele innych przeznaczonych zresztą zarówno dla ludu wiejskiego, jak i miejskiego (oczywiście rzemieślników, a nie robotników fabrycznych). Stąd drobnomieszczański w ogóle charakter tej pobożnej oświaty — dość charakterystyczny dla polskiego pozytywizmu. Pisemka te cechuje przede wszystkim element hagiografii, cudowność tak zgodna (jakimś cudem) zarówno z parafialną kulturą wsi jak i z wzrastającym drobnym kapitalizmem miejskim. Poza tym wspólna im jest tendencja moralizatorska, wysuwająca na plan pierwszy nowe, możnaby rzec, cnoty wyrosłe na gruncie własności: pracowitość, oszczędność i oczywiście pobożność, zabezpieczającą cudzy i własny stan posiadania. Zresztą już Chodźko w powieści „Pan Jan ze Świsłoczy", przeznaczonej dla szkółek parafialnych (Wilno, 1821) pisał: „W naszym stanie bardziej rozsądnym, pobożnym, cnotliwym i pracowitym, jak uczonym bydź potrzeba" A cóż dopiero po uwłaszczeniu, gdy zachwiał się system posiadania w ogóle! To też obrazki i wierszyki tych pierwszych gazet dla ludu to **małe hymny małego kapitalizmu,** operujące zresztą chętnie **magicznym pojęciem kapitału.** Takim wieszczem „kapitalizmu na wsi" był np. w „Katoliku" Józef Chmielewski. Czytamy w „Piosnce poprawionego":

„Mam i zdrowie — jam nie biedny,
Toć się z pracą będę witał;
Dopomoże Bóg wszechwiedny —
Boć to zdrowie — to kapitał.
Gdy użyję mądrze czasu,
Kosztownego kapitału,
Przyjdę również do zapasu,
Jak i drudzy, choć pomału.
Stanie chatka, to i owo . . .
. . . .
Hej do pracy, w imię Boże!
Jak kto możesz, tylko prędzej,
Bo się zwiększyć wszystko może,
Przyjdziesz z czasem do pienięd
Więc zużytkuj kapitały,
Zdrowie twoje i czas drogi,
A odniesiesz zysk nie mały
I nie będziesz już ubogi".

Druga fala oświaty idącej na wieś w gazecie, to bardziej świecka, lecz zgodna z parafialną, oświata szlachecka, przeznaczona przede wszystkim dla sług pańskich i dla bogatych chłopów. Zresztą i polityczny radykalny ruch ludowy pod koniec wieku nie odmienił odrazu czytelnika gazet. 5 tysięcy prenumeratorów „Zarania", to przede wszystkim bogaci chłopi, **gospodarze.** Ich listy do redakcji, ich narady w piśmie — mają na celu poprawę sytuacji gospodarczej górnej wsi, jej konsolidację nawet nie przeciwko wielkiej własności, a przeciwko postępującemu od dołu niebezpieczeństwu pauperyzacji. 5 tysięcy prenumeratorów „Zarania", to krąg przede wszystkim **indywidualnych czytelników,** z kolei dopiero oddziaływujących na środowisko, to tworząca się dopiero więź społeczna na podstawie tzw „uświadamiania".

Krąg czytelniczy gazety jest interesującym zjawiskiem socjologicznym. Stykają się z nim redakcje pism, mających ambicję społecznego oddziaływania. Powstaje termin „wielka redakcja" dla oznaczenia tych wszystkich czytelników, którzy biorą niejako udział w redagowaniu gazety, współpracują z nią, czują się z nią emocjonalnie związani. Na zjeździe „Wsi" w Rytwianach około 100 chłopskich pisarzy brało udział w niekończących się do późnej nocy dyskusjach np. o poezji współczesnej — w poczuciu prawdziwej ważności swego uczestnictwa i głosu. Korespondenci „Chłopskiej Drogi" wyrażali ten emocjonalny stosunek do pisma w charakterystycznej, często naiwnej i egzaltowanej terminologii. Mówili o „naszej kochanej gazecie chłopskiej", podkreślali jej „szczerość" i „prostotę", interesowali się jej szatą graficzną i trudnościami w kolekcjonowaniu roczników. II krajowy Zjazd Korespondentów tego pisma zgromadził 300 najlepszych jego aktywnych czytelników. A jednak z samych przemówień uczestników Zjazdu wynikało jedno: nie występowali oni jako indywidualni prenumeratorzy i ewentualni indywidualni popularyzatorzy pisma. „Mówię w imieniu chłopów powiatu miechowskiego, województwa krakowskiego". „Przywożę pozdrowienia od osadników pow. myśliborskiego woj. szczecińskiego". „W imieniu uczniów Liceum Rolniczego w Suchodolu, pow. Krosno". „W imieniu robotników majątku państwowego"... itd. Redakcja współczesnej gazety chłopskiej, redakcja „Chłopskiej Drogi" ma przed sobą nie indywidualnych, samotnych czytelników, a związki, organizacje, szkoły, instytucje samorządowe, partie — i dopiero poprzez te więzi pierwsze i rzeczowe tworzy się więź społeczna kręgu czytelniczego pisma. Rekrutacja, wyławianie korespondentów odbywa się poprzez instytucje, które w ten czy inny sposób pisma zapotrzebowują. Tak „Chłopska Droga" jest organem Polskiej Partii Robotniczej, wyraża linię polityki gospodarczej Związku Samopomocy Chłopskiej.

2. PODSTAWA POROZUMIENIA.

Interesuje nas kulturalna strona sprawy „kręgu czytelniczego" gazety, sytuacja kulturalna odbiorców i współtwórców „drukowanej kultury" na wsi. Nie moglibyśmy jej jednak ocenić bez odpowiedzi na drugie postawione na wstępie pytanie: jaka jest treść rzeczowa kontaktów z gazetą? Jaka więc jest sytuacja gospodarcza wsi i najbliższe zadania rolnictwa? Sytuację tę scharakteryzował w pięknym i obszernym przemówieniu wicemarszałek Sejmu Roman Zambrowski. Przemówienie to stało się podstawą ideologiczną zjazdu i tak też, jako polityczną świadomość



Uczestnicy Zjazdu „Chłopskiej Drogi". Rząd pierwszy: ob. ob. Kania Józef i Feifer Jan

postępowych chłopów skupionych na Zjeździe — chcemy je zreferować. Masy chłopskie nie żyją w gospodarczej i politycznej izolacji. Klasa robotnicza dopiero „daje perspektywę" ruchowi ludowemu i wiąże go z historycznym procesem ruchów rewolucyjnych przez ciąg całego XIX i XX wieku, które stawiają reformy agrarne u podstaw swoich programów. W organizowaniu tych ruchów rewolucyjnych masy robotnicze widziały najlepszego swego sojusznika w biedocie wiejskiej. W okresie Polski sanacyjnej biedota ta sięgnęła dna swej nędzy. Miliardowe zadłużenie wsi, obniżające się płace dzienne robotnika rolnego (do 1 zł), głód ziemi i przeludnienie — to były skutki mniej niż połowicznej reformy rolnej uchwalonej przez I Sejm Polski Niepodległej. Radykalna reforma rolna z roku 1944 nie została jeszcze ukończona. 1/2 miliona ha ziemi jeszcze nie rozparcelowano, w gospodarstwach chłopskich leży 800 tysięcy odłogów — wymagających do likwidacji 2 miliardów pomocy kredytowej. Powoli postępuje komasacja, melioracja gruntów i elektryfikacja wsi. Rozładowanie przeludnienia na wsi odbywa się przez zatrudnienie chłopów w funkcjach społecznych, przez rozwój przetwórstwa i przemysłu rolnego, przez planową i racjonalną zmianę struktury zasiewów na korzyść upraw przemysłowych i pastewnych w miejsce zbóż. Konieczność podniesienia poziomu produkcji rolnej wymaga wydatnej pomocy państwowej wyrażającej się w kredytach na powiększenie pogłowia, na odbudowę, w dostarczaniu nawozów sztucznych i maszyn rolniczych. Zużycie nawozów w latach 1937—8 wynosiło 126 tys. ton, w r. 49 wyniesie 250 tys. ton. W r. 38 sprzedano polskim rolnikom maszyn na 18 milionów zł, w r. 49 pozycja ta wyniesie 51 milionów zł przedwojennych. Z drugiej strony podniesienie wydajności rolnictwa wymaga oddolnego, społecznego ruchu współzawodnictwa pracy, dającego już dobre rezultaty w przemyśle. Gminy i organizacje współzawodniczą ze sobą, wysuwają samorzutnie najpilniejsze i najważniejsze dla terenu zadania gospodarcze: podnieść plon, usunąć nieużytki, uporządkować gnojownie, założyć komposty, walczyć z chwastami, zwiększyć plon oleistych, uruchomić ośrodki maszynowe, obsiać siewnikami, uruchomić ośrodki czyszczenia zbóż, oczyścić rowy melioracyjne, zalesić, naprawić drogi itd. Nie wystarczy przy tym stwierdzenie, że uruchamia się pomoc państwową i że należy chłopów organizować do współzawodnictwa. Komu pomagać? kogo organizować? Oto pytania podstawowe. Odpowiada się na nie: pomagać małorolnym i średniorolnym, organizować małorolnych i średniorolnych. Kredyty na maszyny przyznane rolnikom indywidualnym spowodowałyby powstanie kilku tysięcy prywatnych przedsiębiorstw maszynowych, stosujących lichwę sąsiedzką wobec biedniejszych. Kredyty indywidualne byłby to „bicz ukręcony na biedotę chłopską". Podział kredytów i organizacja spółek maszynowych są zadaniem spółdzielczości Z. S. Ch. Najbliższe zadania dla rolnictwa to: umaszynowienie, uspółdzielczenie, kontraktacje i związki branżowe Z.S.Ch., rozwój oświaty rolniczej, uprzemysłowienie.

Na tym ogólnie zarysowanym tle mogą wystąpić dopiero zagadnienia ideologiczne i kulturalne kręgu czytelniczego gazety na wsi, problemy kultury drukowanej.

3. „CO NAM PISZĄ CZYTELNICY?"

Wiejscy korespondenci gazety to nie jest instytucja nowa. Już i „Kmiotek" z lat sześćdziesiątych ub. wieku zamieszczał listy czytelników. Np. w jednym z numerów „Kmiotka" chłopi skarżą się na to, że pan ekonom wychodzi do żniwa z batem w ręku. W numerze następnym redakcja zamieszcza list tegoż pana ekonoma, który wyjaśnia, że bat nie był przeznaczony na plecy robotników — oświeconych ludzi, czytelników gazety, ale po prostu na konia, którym objeżdża pola. W innym miejscu wychwala czytelnik „Kmiotka" zacność pani dziedziczki lub księdza proboszcza, którzy we wsi założyli szkółkę dla dzieci. Takie są tu ogniwa więzi społecznej między gazetą a jej czytelnikami: stosunki wsi z dworem i plebanią, poprzez które to instytucje zresztą przechodzi gazeta w drodze do „kmiotka".

Aby nie odbiegać zbyt daleko w historię zatrzymajmy się na stosunkach przedwojennych w Polsce. Wprawdzie dwór i plebania istnieją nadal i nie wypuszczają z rąk tradycyjnej protekcji nad wsią, ale dochodzi czynnik jeszcze potężniejszy i pełnomocny: państwo. Rząd opierający się w latach 1937—9 na Obozie Zjednoczenia Narodowego rzuca hasło: „Frontem do wsi". Piętrzą się obietnice nie poparte żadną konkretną reformą. Listy czytelników pism ozonowych mimo, że pełne układnych zapewnień lojalności i niskich ukłonów wobec rządu, tętnią wyrzutami i skargami, jęczą o pomoc: „Wyciągamy dłonie i wołamy o pomoc dla wsi, panie ministrze rolnictwa"... Rządzący Polską przed wrześniem mieli się przekonać jeszcze raz już w obliczu groźnej sytuacji międzynarodowej o prawdzie słów Stefana Żeromskiego: „Wieś — to będzie męka odrodzonego narodu". „Wieś Polska" popularny tygodnik Obozu Zjednoczenia Narodowego w rubryce „co nam piszą czytelnicy" pozwalał sobie odsłonić niekiedy tę prawdę wsi polskiej „odrodzonego narodu", skwapliwie zresztą notując dowody połknięcia przez wieś politycznego haczyka rządowego: odwrócenie uwagi od spraw gospodarczych na rzekomo gospodarcze zagadnienie żydowskie.

Przede wszystkim więc zamieszcza się listy pod hasłem: zgoda! zgoda! Jest jedna polska wieś, nie ma w niej miejsca na różnice i swary. W numerze z r. 1937 pisze chłop z woj. białostockiego o dobrym wynagrodzeniu fornali w pow. wołkowyskim. „Zresztą powiem prawdziwie — pisze — że są tacy, co mają po 10 ha gruntu i żyją wciąż w niedostatku, bo już od nowego roku mają przednówek, a budynki w ścianach i dachach dziurawe. Są jednak także i tacy, którzy mają po 2 ha ziemi i żyją dostatnio, przednówka nie mają, a na budynki aż warto popatrzeć. Można to nie tylko zauważyć u nas wieśniaków, ale i u obszarników, co mają ogromne obszary ziemi i lasów, jest tak samo dużo niedostatku, a w budynkach tylko sowy i nietoperze mają schronisko Tak to wszystko zależy od pracowitości i zaradności gospodarza, nie zawsze zaś od jego majątku".

Nic dziwnego, że ten list, zapewne „dobrego gospodarza", wysunięto na czoło. Tkwi on w czasach Chodźki i „Kmiotka", w których podsuwano chłopom jedynie moralną oświatę. Pracowitość, oszczędność, zaradność — cnoty — decydują o utrzymaniu swego małego miejsca w systemie **posiadania, nie produkowania.**

Gospodarz z sieradzkiego widzi więcej: „Chciejmy tylko bliżej zapoznać się na miejscu w tej naszej wsi, a zobaczymy tu i ówdzie wzniesiony piękny dom, nowocześnie zbudowany, a obok niego po obu stronach podpierane stare rudery. Oto obraz tych starych chałup chłopskich: bywa tam najczęściej po cztery rodziny, młodych, zdolnych, o zdrowych rękach do pracy na roli i to bywa tak, że głowa domu (ojciec) ma 3 lub 5 morgów ziemi, a czasem to i mniej... To też nic dziwnego, że wieś, że chłop polski nie zapomniał o obiecanej reformie rolnej, która jest konieczna i nieunikniona, ale nie parcelacja obecna, na którą nie ma pieniędzy".

Problem nadmiaru rąk roboczych na wsi powtarza się w listach ponurą litanią. Ale znaleziono wyjście, które nie naruszy porządku społecznego. Trzeba nadmiar rąk roboczych wiejskich skierować do handlu. „Trzeba oczyścić czym prędzej handel (gospodarz z krakowskiego) i przemysł. Dotychczas tymi dziedzinami naszego życia gospodarczego władali i władają jeszcze Żydzi. Handel musi przejść w ręce polskie. Praca rąk chłopskich, z której żyje Żyd — to więcej niż pieniądz, który zapełnić powinien skarb państwa oraz stać się przyczyną dobrobytu". Pisano to w lutym roku 1939. Młodzi chłopi z lubelskiego także w straganach żydowskich dostrzegli „plasterek na rany wsi": „Jesteśmy synami drobnych rolników. Część jaka na nas przypadnie, nie wystarczy na życie. Pragniemy więc walczyć o lepszą teraźniejszość i przyszłość. A walczyć możemy tylko w szeregach OZN, bo tylko w nich widzimy miejsce dla ludu wiejskiego, który do tej pory nieraz szedł za podszeptem agitatorów partyjnych. My młodzi wierzymy, że OZN rozwiąże piekące zagadnienie żydowskie, a tym samym sprawi, że przy każdym straganie, w każdym sklepie na wsi znajdzie się chłop".

Hasła w rodzaju: „Chłop produkuje a Żyd ceny kalkuluje" wbijano w pamięć nie zawsze skutecznie. Chłop z woj. krakowskiego pisze: „Wieś dzisiejsza ma opiekunów za dużo. Obiecują jej reformę rolną i stragany żydowskie w mieście, a w gruncie rzeczy opatrznościowi dobrodzieje rozbijają tę biedotę wiejską coraz bardziej"

Zresztą i działacze ludowi zaczynają na gwałt odżegnywać się od polityki a wzorem Chodźki nawoływać do meblowania cnotami własnej duszy. W „Ruchu Ludowym" redagowanym przez Aleksandra Patkowskiego (1926 r.) przeczytamy: „Nie tylko nie zniechęcamy was do stronnictw, ale namawiamy: wstępujcie do nich, pracujcie tam, poprawiajcie je. Przed jednym tylko chciałbym was przestrzec: nie spodziewajcie się, że wam ktoś wasze szczęście gotowe przyprowadzi z Sejmu, z Warszawy tak, jak się krowę przyprowadza z jarmarku. To szczęście musicie kuć sami sobie we własnym domu, przede wszystkim we własnej duszy" (Szczepan Turski).

Wynika z tego, że nie ma co czekać na ustawy, na zmiany ustrojowe czy gospodarcze. „Wszyscy na front" — wzywano do nierealnej walki, do jakiegoś tam ubocznego wyładowania nastrojów buntu i opozycji. Z drugiej strony głaskano i łagodzono antagonizmy wewnętrzne wsi. „We własnej wsi niemal braćmi rodzonymi sobie jesteśmy — pisał w tymże „Ruchu Ludowym" apostoł, Józef Niećko. — Niemal niczym z sobą się nie różnimy, chyba tylko ilością posiadanych morgów ziemi. Poza tym nawet nędzę jednaką cierpimy, radości jednakie posiadamy".

Wśród wielu głosów dowodzących oszołomienia ideologicznego — zdarzają się w rubryce „Wsi Polskiej" głosy prawdziwie zasłużone mimo, że — wiemy dziś dobrze — padały one w próżnię. Są to te głosy, które malują sytuację rzeczywistą — nędzę wsi i te, które w zmianie ustroju rolnego widzą jedyny ratunek: rozparcelować! Ponad to nie wyjdą, choć pesymizm dyktuje jeszcze jedną wątpliwość: odpływ sił roboczych do miasta jest i tak konieczny. A w miastach stoi druga bezczynna armia bezrobotnych i widoków na rozwój przemysłu nie widać. Tak i tu już w niewątpliwie wybranym i przebranym materiale korespondencji wiejskich zarysowuje się to, co wicemarszałek Zambrowski nazwał dziś **perspektywicznością ruchu ludowego — poczucie związku z ruchem robotniczym.**

4. „LISTY ZE WSI"

Zagłębienie się w całe strony listów ze wsi „Chłopskiej Drogi" daje nam jakiś przybliżony obraz współczesnej wsi polskiej. Ale możnaby zaryzykować twierdzenie, że listy wiejskie po realizacji reformy, o którą chłopi przed wojną długo i daremnie błagali pana ministra rolnictwa, stały się mniej efektowne, bardziej jednostkowe, zawierające mniej problemów ogólnych, a więcej faktów. Zamiast marzeń o sklepikach żydowskich zjawiają się konkretne relacje o rozwoju spółdzielczości we wsi czy w gminie, o nadużyciu czy defraudacji. Zamiast gorzkich rozmyślań o doli młodzieży bezrobotnej w chłopskiej chałupie, wiadomość, że ze wsi wyjechała grupa młodzieży do szkół przemysłowych na Ziemie Zachodnie.

Korespondent „Chłopskiej Drogi" pisze listy w sprawie usprawnienia pracy na punktach zsypu, skarży się na elektrownię, zamykającą dopływ prądu w godzinach pracy, demaskuje niesprawiedliwego wójta, referuje naradę polityczno - gospodarczą, projektuje organizację opieki sanitarnej nad ciężarnymi kobietami. Listy korespondentów nie są pustym gwarem chłopskich głosów i opinii — sprawują rzeczywistą kontrolę nad funkcjonowaniem ludzi w ustroju. Wyniki ingerencji władz lub wyjaśnienia w sprawach poruszonych są w piśmie publikowane.

Zresztą i na dyskusje zjazdowe przeniosła się ta atmosfera krytyki i kontroli. Bo też główny problem korespondencji wiejskiej to nie pochwała osiągnięć, a **uchwycenie oporów i przeszkód ustrojowych.** Ton opozycji w listach przedwojennych czytelników gazety — **uderzał w ustrój,** próbował podważać ustrój. Ton krytyki dzisiejszych korespondentów zmierza do **usprawnienia ustroju** (nowego ustroju). Korespondent „Chłopskiej Drogi" wójt gminy Kowale, nawołuje do zaznajomienia się z ustawami. Działacz wiejski np. powinien znać ustawę o ulgach stosowanych przy podatku gruntowym, aby móc ocenić sprawiedliwość czy niesprawiedliwość wymiaru podatkowego. Zasadniczą cechą nowoczesnego działacza wiejskiego jest **umiejętność poruszania się w ustroju,** orientacja w jego sprężynach i możliwościach. Jeśli przedwojenny „Ruch Ludowy" radził nie oglądać się na rząd i ustawy, ale próbować mimo nich podniesienia wsi, to robił to dlatego, że z ustroju nic już na korzyść wsi nie można było osiągnąć. Ten zaś korespondent „Chłopskiej Drogi", który nawołuje do oddolnego, społecznego działania niezależnie od pomocy państwowej wyraża przekonanie, że możliwości ustrojowe nie są jeszcze w pełni wyzyskane i zrealizowane oraz, że **czynnik społeczny bierze udział w samym tworzeniu tego ustroju.**

Nie należy jednak przypisywać korespondentom „Chłopskiej Drogi" zbyt wiele świadomości politycznej. Z pewnością niejednokrotnie chłopi piszący dziś do „Chłopskiej Drogi" są to ci sami chłopi, którzy we „Wsi Polskiej" roztaczali swe skargi. Jeśli zmienił się ich ton, jeśli ich głosy wydają się dziś dojrzalsze — to wpłynęła na to także sama historia. Program przedwojennej wsi ozonowej — zmierzał do przekształcenia wsi w kierunku drobnomieszczańskim przez opanowanie przez chłopów drobnego handlu i pośrednictwa. Dziś ten właśnie problem jest największym i najważniejszym oporem ustrojowym. Dziś chłopi i w przemówieniach swoich i w listach piętnują formy drobnego kapitalizmu, wdzierające się na wieś czy to poprzez sklep konkurujący ze spółdzielnią, czy przez przedsiębiorstwa maszynowe i przewozowe bogatszych chłopów wyzyskujących biedotę pozbawioną sprzężaju i narzędzi pracy, czy przez pośredników handlowych i targi wszelkiego rodzaju, zwłaszcza zwierzęce. Chłopi korespondenci zdają sobie sprawę z tego, że zarówno plebania, jak i P.S.L. w terenie protegują właśnie rozwój drobnego kapitalizmu na wsi.

Wrogie ideologicznie elementy i w aparacie administracyjnym i gospodarczym, to druga przyczyna ustrojowych oporów. Wreszcie mówi się wiele o zwykłej nieuczciwości, demoralizacji, alkoholizmie — utrudniających działalność instytucji społecznych. Na osobną uwagę zasługuje wysunięta przez wójta Muchę sprawa niedostatecznej znajomości ustaw, nieumiejętności poruszania się w ustroju i używania jego kompetencji. Problem ten zresztą nie obcy jest i życiu robotniczemu, gdzie np. fabryczne rady załogowe nie zawsze umieją korzystać ze swych prerogatyw.

Tak więc obraz wsi widziany poprzez „listy ze wsi" jest w pewnej mierze niewątpliwie skrzywiony, jest to skrzywienie widzenia oddolnego, ograniczenie się często do rejestru faktów bez stawiania pytań: jak i dlaczego, bez rozumienia nierzadko mechaniki społecznego życia.

5. REMANENTY KULTURALNE

Niedostatki te i błędy świadomości społecznej wsi znalazły wyraz w wielu przemówieniach na zjeździe. Ukazują one tę świadomość dołową w formach stanowiących często **uparte remanenty kulturalne.** Tu bowiem przede wszystkim objawia się kulturalna sytuacja tej bądź co bądź przodowniczej grupy chłopskiej. Treść gospodarczo-społeczna tej świadomości jest i z charakteru ustroju, w którym się działa i nawet z własnej woli — postępowa. Formy natomiast kulturalne wyrażania jej — są często wsteczne i nie przystają do treści. Kultura ogólna z wielką literaturą narodową zamieniona zostaje na slogan, frazes patriotyczny zachwaszcza życie gospodarcze.

Pisanie do gazety jest oceniane na wsi jako forma **wyższych kontaktów.** Korespondenci mają wpływ na swoje środowisko poprzez autorytet gazety. Pewien korespondent „Chłopskiej Drogi" pisze o swoich sąsiadach: „Odnoszą się do mnie z takim szacunkiem i pochwałami, jak gdybym przynajmniej był ich posłem do Sejmu lub kimś w tym rodzaju". Dlatego też po autorytet ten i uznanie sięgają nie tylko działacze, ale często także jednostki szukające w kontakcie z gazetą formy **kulturalnego wyżycia,** jednostki bądź **poszkodowane,** bądź w jakiś sposób **wyciśnięte z masy chłopskiej** w wielkim procesie kształtowania się nowej warstwy. Były robotnik folwarczny, rzemieślnik wiejski, niedokształcony nauczyciel, mniej zdolny uczeń szkoły rolniczej, czy przemysłowej — to pozycje społeczne bądź co bądź trudne, na które wniósł tych ludzi prąd wielkiego awansu klasowego, zanim osiągnęli jednostkowy własny awans kulturalny. To też sytuację kulturalną całej klasy chłopskiej trzeba oceniać z tych dwóch punktów widzenia jednocześnie.

Korespondenci gazety na wsi nie tylko wyrażają opinię społeczną wsi, oni na nią wpływają i kształtują ją. Literaturę, tworzoną przez chłopów, charakteryzuje przede wszystkim dociąganie do wzorów literackich inteligenckich i mieszczańskich zarówno w treści jak i w formie. K. L. Koniński nazywa literaturę ludową — nienaturalną, ponieważ nie jest ona ani „podtrzymywana (moralnie), ani utrzymywana (gospodarczo)" przez swoje środowisko.

Dopiero w zastosowaniu do tej formy pisania, jaką uprawiają korespondenci gazet na wsi, możnaby w pełni użyć określenia: „literatura naturalna" w tym socjologicznym sensie, jaki zakłada Koniński. Listy ze wsi mają niewątpliwie wpływ na czytelnictwo gazety. „Chłopska Droga" — pisze korespondent — nie jest tylko pismem dla chłopów, lecz pismem chłopskim i pisanym przez samych chłopów. W każdym numerze „Chłopskiej Drogi" jest dział „Listów ze wsi", gdzie **chłopi spracowanymi dłońmi w prosty lecz dosadny sposób kreślą swoje bolączki lub osiągnięcia".**

Korespondencje wiejskie są przejawem **kulturalnej rewolucji na wsi,** jaką było **zluzowanie ustnej kultury ludowej przez pisaną i drukowaną kulturę miejską.** Treść jednak tych korespondencji, mająca za podłoże historycznie zmienne systemy gospodarczo - społeczne wsi pozwala traktować to zjawisko kulturalne jako **przodujące ustrojowo pisarstwo ludowe.** Przemówienie tego korespondenta, który mówił językiem potocznym o walce klasowej we wsi na tle spółdzielni — było także kulturalnie bardziej ogólne i postępowe niż odczytany przez innego chłopa-autora wiersz o „zgodzie wszystkich stanów", zrobiony według złego i zamierzchłego wzoru poezji szlacheckiej. Te wielkie nożyce: gospodarczej świadomości i stylu kultury wsi są ciągle otwarte, dziś szerzej może jeszcze, niż kiedykolwiek, bo dostrzegamy ich rozwartość w przemianach. Zagadnienie dla socjologa i teoretyka kultury.

Anna Kamieńska

Witold Łukaszewicz

Śmierć Szymona Konarskiego*)

Konarski po wysłuchaniu wyroku został samotny w celi. Egzekucję wyznaczono nazajutrz rano, tj. 27 lutego 1839 roku. Miał więc skazany zaledwie 24 godziny życia.

Konarski był przed śmiercią w nastroju wieszczym. Przez kilka godzin grał na flecie, smętnie, rozrzewniająco, jakby się żegnał z ludźmi i ze światem, którego pięknem nie zdążył się zachwycić. Liczył zaledwie 31 lat życia, twardego życia sieroty, żołnierza-tułacza, emisariusza. Bóg nie był dla niego łaskawy, nie lepsi byli i ludzie, za nielicznymi wyjątkami. Nagle przerwał granie, chwycił za pióro i zaczął pisać wiersz, długi jak własne cierpienie, mocny jak hart duszy, wiersz-wyznanie, ostatnie przed zgonem, pełne miłowania ojczyzny i wolności, przetykane słowami skargi na niebo obojętne i cara-tyrana. Flet nastroił muzę. Posypały się słowa na papier, nawet zmęczone torturami dłonie nabrały mocy, nie drżały...

Świat wielki, piękny a tu kamień niedoli przygniata myśl i serce. Naród w kajdanach, emisariusz za kratami, Bóg kojarzy jego przyszłość z katem. Ukochana Emilia Michalska i jej opiekunowie w więzieniu, oto jaką nagrodę zgotował im los za gościnę i uczucie.

Konarski uświadamia sobie ogrom nieszczęścia, jakie spadło z jego winy na setki spiskowców i ich rodziny. „Gdziekolwiek stąpię, tam będzie niewola" — woła w wierszu.

Późno w nocy wziął Konarski po raz drugi pióro do ręki by napisać ostatni, pożegnalny list do matki i brata Stanisława. Prosił ich o przebaczenie za łzy i cierpienia, których doznali z tego powodu, że Szymon żył na świecie. Zapewniał ich, że nie lęka się śmierci, że jest spokojny na duszy, że z odwagą i zadowoleniem stanie pod słupkiem. Prosił, aby nad losem jego nie płakano. Czynić tak bowiem należało tylko wówczas, gdyby car zamienił śmierć na Sybir, na powolne konanie w minach Nerczyńska. Uspakajał matkę, że umiera z najzupełniej czystym sumieniem. „A jeśli po moim zgonie — pisał — złośliwość ludzka lub zwierzęca ich ograniczoność, zechce cię męczyć szarpaniem mego honoru, lub rozbieraniem niekorzystnym życia mego na tym świecie; jeżeli się znajdą tacy, którzy cię zechcą i przez ten rodzaj cierpień przeprowadzić... nie wierz im Matko, bo moje sumienie jest czyste pod każdym względem, bo moje życie brudów nie ma w sobie. Zawiniłem w obliczu władzy i za to żyć przestanę, lecz w obliczu ludzkości, w obliczu honoru i prawości... w obliczu Boga nawet Matko, prócz tych grzechów, których aby uniknąć, potrzeba być więcej aniżeli człowiekiem, prócz tych grzechów, za inne nie będe sądzony, nie będę zapewne i karany..." Prosił dalej, aby matka i rodzina pokryły jego skromny dług w wysokości 50 talarów pruskich w Lipsku i 100 franków w Szwajcarii, gdyż nie jest w stanie go zwrócić. Wyrażał życzenie, aby matka pożegnała w jego imieniu Emilię Michalską, którą kocha całą potęgą serca oraz jej rodzinę. Brata upominał, aby nie nosił żałoby, błogosławił go na drogę życia i radził ożenić się. „Jeżeli ci Bóg da syna — pisał —daj mu na pamiątkę moje imię: Janusza, które ja długo nosiłem, córce zaś twojej, daj: Emilia, mojej oblubienicy!"

Raz jeszcze zagrzewał matkę, by zniosła mężnie ten cios okrutny i żegnał się z wszystkimi na zawsze: „W Rumbowiczach przy grobie wujenki połóżcie kamień bez żadnych napisów i prosty, bo ja po prostu nie po pańsku żyłem; połóżcie go na moją pamiątkę. Ja sam z wujenką nieraz przyjdę cieszyć się z waszego szczęścia, lub płakać nad waszą niedolą. Mam w Bogu moim nadzieję, że to mi dozwolonym będzie; a kiedyś, kiedy i wy ze mną się połączycie, przychodzić będziemy tam wszyscy, żartować z naszych cierpień i dolegliwości doznanych za żywota ziemskiego. Dzisiaj jeszcze, jak mi ksiądz powiada, mam być stracony.."1).

Świtało już, gdy przestał pisać. Skazaniec przeszedł się kilkakrotnie po celi, pobrzękując kajdanami. Był spokojny, pogodny, zadowolony z siebie, czekał na przybycie dozorcy więzienia, aby mu przedłożyć, trzy życzenia przedśmiertne w myśl przyjętego zwyczaju. Gdy dozorca wszedł, wręczył mu je na kartce papieru z prośbą, aby zostały spełnione. Konarski prosił generał-gubernatora Dolgorukowa: 1) o zezwolenie na pożegnanie się z towarzyszami niedoli: 2) wypuszczenie na wolność narzeczonej Emilii Michalskiej; 3) odesłanie rodzinie pozostałych po sobie rzeczy. Spełniono tylko pierwsze życzenie; co do drugiego było ono zbędne, bo Emilia Michalska w tym czasie była już na wolności. (Szpotański: op. c. 82-3).

Konarski żegnał się czule ze współwięźniami: Rodziewiczowi przebaczył jego słabość charakteru, odtrącił natomiast Antoniego Orzeszkę ze słowami: „Tobie rozmyślny zdrajco, ani ja, ani potomność, ani Bóg nawet zapewne nie przebaczy..." (Feliński: Pamiętniki, I, 122-3).

Po pożegnaniu prosił Konarski dozorcę, aby kupił mu za resztę pieniędzy, jakie miał od matki, ciepłe spodnie sukienne, gdyż nie chciał drżeć przed egzekucją. Asystujące jej tłumy mogłyby może pomyśleć, że drży ze strachu przed śmiercią. Dozorca odmówił spełnienia tej prośby brakiem odpowiedniego rozkazu ze strony swej władzy. Około godz. 10 rano wszedł do celi skazańca ksiądz pastor Lipiński, który miał towarzyszyć Konarskiemu do miejsca stracenia.

Po godzinie Konarski oświadczył pastorowi, że jest przygotowany na śmierć, ubrał się, uczesał, włożył na głowę czerwoną włóczkowa czapeczkę, otrzymaną w podarunku od narzeczonej, oddał dozorcy ostatnie sześć rubli z prośbą, aby je równo podzielił między żołnierzy z plutonu egzekucyjnego i w towarzystwie księdza Lipińskiego, eskortowany przez żandarmów, opuścił boczną furtką mury więzienne. Wsadzono go do sanek wraz z pastorem. Rozległy się dzwonki... sanki ruszyły w drogę na plac stracenia, otoczone oddziałem konnej żandarmerii.

Tymczasem na ulicach miasta rozlepiano afisze następującej treści: „Dnia dzisiejszego o godz. 8 rano będzie karany śmiercią za zbrodnie stanu emisariusz Szymon Konarski. Miejsce egzekucji na placu tracenia za Trocką bramą. Ktokolwiek chce być obecnym sprawiedliwej karze zbrodniarza, może sie tam udać". Ludność wileńska z bólem w sercu, ubrana żałobnie, zgromadziła się licznie wzdłuż trasy, którędy miano wieźć skazańca i na miejscu stracenia. O pół do dwunastej ukazały sie sanki z Konarskim, tłumy zafalowały, rozległ się płacz kobiet... Konarski wzruszony zwrócił się do żandarmów z wezwaniem: „Rozstąpcie się! Przecież widzicie, że lud chce mnie zobaczyć i pożegnać!" Żandarmi spełnili prośbę skazańca... Sanki pomknęły chyżo ku rogatkom, na Pohulankę, gdzie miała się odbyć publiczna egzekucja.

Na olbrzymim placu stały już w pogotowiu szeregi wojska, pod dowództwem gen. Kwietnickiego. Odczytano wyrok, pastor Lipiński podszedł do Konarskiego, ten uścisnął mu dłoń, następnie kiwnął przyjaźnie głową do młodych oficerów rosyjskich, którzy zbliżyli się do więźnia i uściskali go serdecznie ku oburzeniu generała Kwietnickiego. Konarski zwrócił się do niego z prośbą o niezawiązywanie oczu chustką, lecz generał odmówił. Wówczas dwóch żołdaków uchwyciło Konarskiego pod ręce i zaprowadziło do słupka obok wykopanego dołu na środku placu. Nałożono na skazańca śmiertelną koszulę, postawiono przy słupku i zawiązano w tył ręce oraz zasłonięto oczy. Pluton egzekucyjny składał się z 12 żołnierzy, którymi dowodził podoficer, bo oficer udał chorego i nie przybył, żaden zaś z jego kolegów nie chciał go zastąpić. Uderzono w bębny, odezwały się piszczałki, rozległ się szczęk karabinów...

Zaszlochał tłum... „Jeden Konarski miał uśmiech na twarzy, a nie było tu udanie, albo brawura. Nie, ten wzrok był taki jasny, czoło takie pogodne, a na całym obliczu rozlana jakaś błogość. Zdawało się, że widzisz wieszcza w chwili największego natchnienia, który za chwilę zanuci pieśń zmartwychwstania". (Sobarri: Obrazki litewskie, Tygodnik Wielkopolski, 1874). Padły strzały, trysnęła krew, Konarski przeszyty pięciu kulami osunął się na prawą stronę, głowa pochyliła się na lewo i tak zawisł na więzach, którymi był przymocowany do słupka. Jęknął tłum, zahuczały ponownie ze zdwojoną siłą bębny, zagrała muzyka i wojsko ruszyło marszem paradnym dookoła dołu.

„Rzuciliśmy się — pisze Edward Pawłowicz — razem z tłumem przez te szeregi ku mogile, aby ujrzeć jeszcze raz rzuconą w kajdanach do dołu ofiarę... Tratowano nas, bito kolbami, aleśmy unieśli garstkę skrwawionej ziemi — symbol miłości i poświęcenia dla niej". (Wspomnienia z nad Willi i Niemna. Lwów 1882, str. 108-9).

Maczano chustki we krwi skazańca, darto na pamiątkę strzępy jego ubrania. wyrwano żołdakom czerwoną czapeczkę i płaszcz. Policja była bezradna. Musiało interweniować wojsko, które wyparło tłum z placu. Ciało Konarskiego złożono w dole i „kazano szwadronowi jazdy tak stratować to miejsce, iżby śladu mogiły nie pozostało; mimo to jednak w nocy mnóstwem wieńców i kwiatów drogi ów grób ustrojono" — pisze Feliński w „Pamiętnikach" (str. 124). Stało się to głównie dzięki staraniom zacnej Polki Antoniny z Sulistrowskich Śniadeckiej. Rzesze wilnian zbierały się przez kilka dni na miejscu stracenia Szymona Konarskiego, klęczały nad stratowaną mogiłą, oddając hołd bohaterstwu Wielkiego Polaka

We wrześniu 1839 roku Antonina Śniadecka przy pomocy kilku oficerów wykopała w nocy zwłoki Szymona Konarskiego i pochowała na cmentarzu kalwińskim. Z kajdan, które zdjęto z trupa, poleciła Śniadecka sporządzić 82 obrączki, którymi obdarowywała zasłużone osoby dla sprawy narodowej. To stało się powodem do nowych prześladowań ze strony carskiej policji.

*) Patrz: W. Łukaszewicz „Ideologiogia Szymona Konarskiego" — „Wieś" Nr. 5 (134).

1) (List w wyborze z pism. Zahorski: op. c. str. 68—72: L. Siemieński: Der Aufenhalt in Litauen im Jahre 1836 und die letzten Tage des Szymon Konarski. Belle-Vue bei Constanz 1845, stron 32. Por. Szymon Konarski: Pismo k matieri nakanunie dnia jego smierti (1839) Russkij Archiw 1870, str. 658. L. Zijenkowicz: op. c.).



WIERSZ SZYMONA KONARSKIEGO

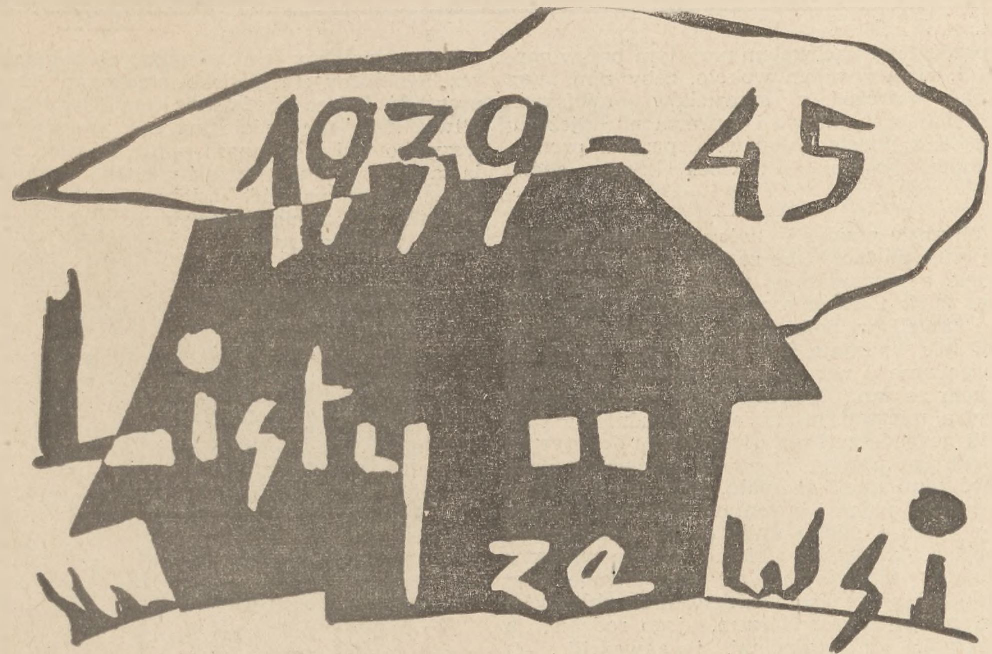
napisany na 24 godziny przed rozstrzelaniem*)

Świat wielki, piękny i w szczęście obfity,
I urok wiosny po nim rozlała natura;
Siłą uczucia mego na pal cierpień wbity,
Przeżyłem na nim młodość, jak wśród burzy chmura.
Uczucie piekłem wstrząśnie, w niebie myśl wyszpera,
A gdy serce poruszy, w duszy ci osiądzie,
Tak po krańcach świata miotać tobą będzie,
Jak miota głodnem okiem na czatach pantera.
O! i ja kiedyś czułem i myśl z nieba brałem,
I z tą myślą, z uczuciem błądziłem po świecie,
Dzisiaj tu na dnie duszy, na sercu zbolałem,
Kamień ciężkiej niedoli myśl i czucie gniecie.
Do łez dzisiejszych narodu mojego,
Co jak mary zgryzoty ze snu mię zrywają,
Brakło mi luba tylko jęku twego.
Dziś hymn rozpaczy piersi twoje grają,
Dziś mi nic nie brak, los obficie darzy,
Wszystkie moje nadzieje mieści ta komnata.
Od wszystkich wspomnień oddziela mnie krata,
A przyszłość moją Bóg z katem kojarzy.
Błysnę wam jeszcze ponad rusztowaniem,
By spełnić wyrok mego przeznaczenia.
Tam was pożegnam spod stryczka chrapaniem
I z sobą wezmę wszystkie me wspomnienia.
Zmęczony ciężkim trudem mego powołania,
Wśród wielu serc przyjaznych poznałem i ciebie;
Westchnąłem kiedy przyszła chwila pożegnania,
Nad twą przyszłością westchnął anioł w niebie.
Z tułaczych piersi razem z mojem tchnieniem,
Wicher niemocy zaszumiał zniszczeniem,
I zawył burzą nad sercem w pokoju,
Nad twą młodością i nad twą swobodą.
Tyś mi jednak otarła łzy sieroctwa znoju, **)
I dozwoliła chwilę spocząć przy twych nogach,
A gwiazda życia mego strzeliła pogodą.
Ja niebem oddychałem żyjąc w waszych progach,
Dzisiaj wam zamiast nieba, zamiast odpoczynku,
Męki i łzy rozpaczy niosę w upominku.
Bom tułacz droga! Ciężka moja dola!
Tchnienie me w śmierci całuny obwija!
Gdziekolwiek stąpię, tam będzie niedola,
Gdzie wchodząc powiem: Chrystus pochwalony!
Gdzie chleb położą na moje przybycie,
Tam opuszczonej matki, jęk usłyszysz żony,
Osierociałych dzieci tam usłyszysz wycie.
A gdziem ja czuć przestał, że byłem sierotą,
Gdzie duszę napawałem niewinności tchnieniem,
Gdzie serce nie krwawiło pojone pieszczotą,
Gdzie mię bogdanka brata nazwała imieniem,
Tam hyenę przyprowadź od trupiej biesiady,
A hyena się wzdrygnie, łzami spławi oczy
I litości ryk w niebo po ziemi roztoczy,
I nie przyjdzie już więcej patrzeć na te ślady.
O! ciężka moja dola i oddech mój ciężki,
Jak trupa przed skonaniem; narodowe klęski
Przetopione w mem sercu na trucizny jady,
Pełzają w duszy mojej, jak szkodliwe gady,
I toczą pierś tułacza, jak robactwo zgniłe,
Które rojem napada na świeżą mogiłę.
Myśl, co mię pośród trupów pocieszać umiała,
Myśl wesoła, szczęśliwa, jak młoda dziewica,
Której miłość pierś wznosi i rumieni lica;
Myśl, co w niebie wolności życie swoje brała,
Dzisiaj ciężarem śledztwa zszarpana, strudzona,
Jak starzec w konwulsjach poci się i kona!
Jeżeli się przypadkiem wykradnie wieczorem,
I do ludzi pobieży przeszłości mej torem,
I zajrzy w serca polskich żon, dzieci, sióstr, matek,
Wnet omdlewa, słabieje, traci sił ostatek,
I co prędzej za kratę ucieka od świata,
Jak męczennik, co wyszedł znękany z rąk kata;
I wróciwszy zakipi w sercu niewolnika,
Jak jęk męczonych braci, co cię wskroś przenika.

I cóż mi, Panie, po tem spokojnem sumieniu,
Co po chęciach Ci znanych, co mi po tem chceniu?
Co mi po tem, że zawsze żyłem nie dla siebie,
Że po więzieniu biegam jak pies z głodu wściekły;
Że łzy głodu śledczego w oczach mi się spiekły!
Ja drwię już teraz z cnoty, ja się z cnoty śmieję,
Ja szydzę z przekonania, co daje nadzieję,
Że szczęście mego ludu tylko się odwlekło,
Ja w Boga dziś nie wierzę — ja mam w sercu piekło!
Z całą oprawców zgrają szatan w sercu siedzi,
I ucztę królom sprawia wśród brudnej gawiedzi.
Może i ten raz Panie, mię jeszcze probujesz,
Może za piekło w życiu Niebo mi gotujesz?
Ale ja Nieba nie chcę, ja Nieba nie czuję,
Ja do Nieba nie pójdę — ja w Niebo napluję.
Ja pójdę szukać ludzi, co bluźnili Tobie,
Co, jak Chrystus na krzyżu, ludzkość w sercu czuli,
I nie mogąc ich zbawić ludzkością się struli.
Ja ich wszędzie wynajdę, za piekłem i w piekle;
Przyjdę, powitam okiem i raz jęknę wściekle,
Jękiem narodu mego, i powiem im: „Ludzie!
Kraj mój i lud kochałem sercem żony, matki,
Świadkiem dusza rozdarta i łzy spiekłe świadki.
Jam się nigdy nie zmazał w samolubstwa brudzie.
Żyłem, jak wy żyliście. Niebo jednak chciało,
Bym dla kraju był dżumą, dla serc drogich katem,
Bym skąpany w łzach bratnich, rozstał się z tym światem;
Bo mi tylko sumienie spokojne zostało.
Z wysokości więzienia, zakuty w kajdany,
Żegnałem kraj rodzinny i lud mój nękany.
Pożegnałem przyjaciół, kochankę, rodzinę,
I tułaczów żegnałem i przeklęty ginę!
Do Nieba iść nie chciałem. bo lud mój w niewoli,
Bo Ojczyzna skrwawiona. bo mnie serce boli;
Plunąłem więc w to Niebo po szatańsku śmiało,
Z duszą do was przyszedłem — królom dałem ciało.
Tutaj odpoczniem chwilę wśród wspomnień kochanych,
Tu razem czuć będziemy po mękach doznanych.
Tu płakać nam nie wzbronią nad losem Ojczyzny —
W Niebie cieszyć się trzeba patrząc na jej blizny,
Tu ręce sobie damy świata męczennicy,
Naprzód piekło rozburzym, bo piekło jest stare,
Potem wspólną rozlejem uczuć naszych wiarę,
I zadrżą wszyscy króle, zbrodni niewolnicy,
I Niebo się rozjaśni i Bóg się roześmieje,
I Bogu pokłon damy, bo Bóg odmłodnieje.
Ja ci bluźniłem Panie! bluźnierstwem tułacza,
Lecz gdzie o przyszłość kraju, o łzy bratnie chodzi,
Tam lepszy ten, co bluźni, niż ten co rozpacza,
Tam i ciało i duszę potępić się godzi.
Kiedym żebrał po świecie ponury i młody,
Kiedy nadziei gwiazda skroń moją zdobiła,
Nie żądałem dla siebie życia, ni swobody,
Myśl zdjęta z krzyża Twego wszystkim dla mnie była.
Cieszyłem się tą myślą, jak młodość nadzieją.
Z tej myśli dzisiaj, Panie! tyrani się śmieją.
Ja dzisiaj męczennikiem myśli Twojej żyję,
Ja krew drogich mych braci i ich rodzin piję,
Aż serce wzdęte żalem rozpryśnie się, pęknie,
Tak, że aż Niebo Twoje wzdęte żalem jęknie.
Jad z serca mego aż tam, w Niebo tryśnie,
I jak sztandar niewoli przed Tobą zawiśnie,
I powiewem swym krwawym Niebo Ci zatruje,
Bo przypomni Ci Panie! co mój naród czuje.
Ja w tej izbie przeżyłem wszystkich serc katusze,
Stąd widziałem, jak Polskę zalało łez morze,
Tam nie dbałem o życie, tu nie dbam o duszę,
Ale Polskę zbaw Panie! Polskę wybaw Boże!

* Szymon Konarski w 60 rocznicę stracenia. Lwów, nakładem redakcji „Promienia" 1902.

**) Mowa o narzeczonej Konarskiego Emilii Michalskiej i rodzinie Michalskich.

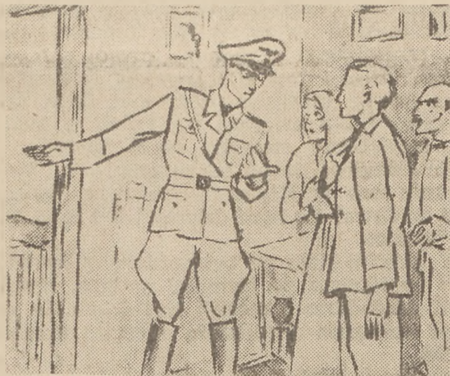


Władysław Błachut

W pobliżu Kalwarii Zebrzydowskiej...

Po klęsce wrześniowej 1939 roku przyszło mi — jak zresztą wielu spod chłopskiej strzechy wywodzącym się inteligentom — wrócić w rodzinne strony i związać na długo swe losy z opuszczonym przed laty środowiskiem.

Jest to duża (ponad 400 numerów) wieś w powiecie wadowickim, położona z dala od traktu kolejowego, szosy powiatowej i większego miasta, ale za to szczycąca się starą, już w Długoszowej „Liber beneficiorum" wspomnianą parafią i bliskim sąsiedztwem ze słynną z odpustów Kalwarią Zebrzydowską. Niegdyś przed laty w kółku rolniczym, obok zabytkowego kościółka, mieściła się skromna czytelnia ludowa (nieliczne jej egzemplarze rozeszły się gdzieś w okresie międzywojennym) a w budynku szkolnym jeszcze za moich lat gimnazjalnych (1921 — 1928) funkcjonował dość często teatrzyk amatorski. Nie było dworu, ale przetrwały jego instytucje w postaci aż trzech, zresztą nędznie wegetujących, karczem. Wraz z kształtującym się po „chrześcijańsku" przyrostem ludności i nikłym odpływem młodzieży do przemysłu, względnie na emigrację, gospodarstwa chłopskie ulegały ciągłemu rozdrabnianiu i przed drugą wojną światową przeważały tam zdecydowanie „gospodarstwa" karłowate, przeciętnie czteromorgowe. Średniaków, właścicieli „majątków" o obszarze od 10 do 15 morgów było zaledwie kilkunastu. Jedynie stary, cichy i lubiany proboszcz gospodarował na 20 morgach. Bezrolnych i komorników było też kilku.


rys. Krystyna Hierowska

W mojej wsi rodzinnej dość długo nikt nie widział Niemca. Wojna przeszła stronami, a brak dostępnych połączeń komunikacyjnych nie sprzyjał niezorganizowanym jeszcze wypadom gospodarczym okupanta. To też wieś nasza wnet stała się bezpiecznym jak narazie azylem dla kilkunastu uciekinierów ze Śląska i z Krakowa oraz wdzięcznym terenem „wycieczek" aprowizacyjnych bardziej przedsiębiorczych ludzi z miasta.

O ile chodzi o postawę chłopów — to zaskoczyła nas wszystkich. Biorąc pod uwagę nędzę wsi i upośledzenie polityczne chłopów z okresu schyłkowego ery sanacyjnej, liczyliśmy się poważnie z tym, że Niemcy za pomocą pewnych posunięć natury ekonomicznej mogą zyskać w masach chłopskich oparcie, czy nawet sympatię. Tymczasem w naszej wsi, która — jak wspomniałem — dość długo nie zetknęła się z okupantem, odrazu spotkaliśmy się z odruchem powszechnej, spontanicznej do niego nienawiści, wypływającej wyłącznie z pobudek natury idealistycznej (zabór Ojczyzny, zniszczenie polskiej armii, prześladowanie polskiej inteligencji), bo przecież żadnych posad czy beneficjów chłopi nasi nie potracili.

Uciekające z miasta przed represjami wroga grono inteligentów a także kilku Żydów znalazło w naszej wsi stosunkowo bezpieczne schronienie i mogło liczyć na pomoc i dyskrecje wobec czynników niepowołanych. Nie trzeba było w tym czasie podsycać, lecz raczej hamować chłopskie przejawy żywiołowej nienawiści do Niemców. Każdy z nas rychło stał się na wsi autorytetem w sprawach wojny i pokoju. Młodzi i starzy, mężczyźni i kobiety ustawicznie nagabywali nas pytaniami w rodzaju: kiedy alianci pobiją Niemców? ile ziemi im odbierzemy? kto będzie po wojnie rządził Polską? czy będzie lepiej? itp. W ten sposób jeszcze przed oficjalnym zawiązaniem się organizacji podziemnych powstały na wsi kółka ruchu oporu i gęste komórki informacyjne. Początkowo żywe słowo zastąpiło prasę podziemną, a krąg jego odbiorców ustawicznie się powiększał. Nie można było w tym czasie — tak skąpym dla nas w pocieszające wydarzenia — opędzić się niecierpliwym i żądnym nowin chłopom.

Pamiętam, gdy tragiczną wiosną 1940 roku z książką w ręku uciekałem w pole, między szumiące łany łąk i zboża, niedługo zjawiał się przy mnie ktoś z sąsiedztwa, komu nieopatrznie zdradzono moją kryjówkę. Zamiast samotnej lektury wnet rozpoczynały się długie i czasem — wybaczcie znajomi czytelnicy — nudne i jałowe rodaków rozmowy...

Gdy latem 1940 roku pierwszy samochód gestapo po wyschniętej drodze dotarł do wsi i wyrwał bezpowrotnie z naszego grona, spod ojcowskiej strzechy, młodego podporucznika rezerwy i wyższego urzędnika kolejowego Józka S., wrogie nastawienie mieszkańców wsi do Niemców uległo zrozumiałemu spotęgowaniu.

Niestety już w drugim roku wojny zaistniał w tym jednolitym początkowo froncie pewien i to dość poważny wyłom. Miał on u nas podłoże wyłącznie ekonomiczne. Dążąc do ujęcia i gospodarczego opanowania chłopskich rezerw aprowizacyjnych i personalnych, Niemcy „papką i solą" zdołali pozyskać dla swoich posunięć gospodarczych zbyt gorliwych pomocników w osobach niektórych funkcjonariuszy gminy zbiorowej, targowników, kierowników mleczarń, młynarzy oraz sołtysów. Ci znowu, dysponując poważnymi początkowo zasobami poszukiwanych w tym czasie artykułów pierwszej (cukier) i drugiej (wódka) potrzeby oraz wyposażeni w znaczne uprawnienia (wyznaczanie kontyngentów, przymusowa rekrutacja na roboty do „Reichu") musieli szukać pewnego oparcia u mieszkańców poszczególnych gromad. O ile chodzi o moją wieś rodzinną znaleźli je wyłącznie u kilkunastomorgowców i paru podejrzanej konduity osiadłych na wsi przybłędów. Ogromna większość chłopów, a w tym cała prawie młodzież i biedota chłopska nie dała się skusić żadną przynętą i nadal trwała w oporze i nienawiści. Uprzywilejowani, cieszący się poparciem władz gminnych, a pośrednio Niemców, zaczęli korzystać z widocznych ulg przy wyznaczaniu kontyngentów zbożowych i żywca a także ich rodziny były z reguły omijane przy rekrutacji robotników do Rzeszy. Równocześnie na biedniejszych nakładane były nieproporcjonalnie wysokie ciężary kontyngentowe. Tak samo wysyłce do Rzeszy podlegali prawie wyłącznie najbiedniejsi. Zdarzało się, że biedak oddawał na kontyngent ostatnią krowinę i wysyłał trzecie dziecko do Niemiec, gdy równocześnie u cieszącego się poparciem władz gminnych gospodarza na kilkunastu morgach pasły się na pastwisku trzy tłuste krowy, a dorodne córki i synkowie stroili się w miejskie szatki!

W końcu jednak przebrała się miarka. W sprawę wdały się zdecydowanie działające w okolicy organizacje podziemne, a w szczególności nasze dowództwo oddziału Batalionów Chłopskich.

Przede wszystkim wysłaliśmy stosowne ostrzeżenia do czynników gminnych a nadto złożyliśmy „wizyty" szczególnie bogacącym się na wojnie urzędnikom gminnym i oddanym im gospodarzom. To powoli otwarło im oczy i przyprowadziło do przytomności. Biedacy odetchnęli z ulgą. Władze gminne zamiast iść gorliwie na rękę Niemcom zaczęły się z nimi trochę targować i świadomie fałszować gospodarcze wykazy gromadzkie. Zamiast oddawać kontyngenty w wyznaczonej wysokości i licytować się w rekrutacji polskich sił na roboty w fabrykach niemieckich, funkcjonariusze gminy przedstawiali Niemcom różne trudności a nadto zaczęli względem Niemców stosować znośniejszy dla chłopów system łapówek pieniężnych i kubanów w naturze.

Wszyscy wiedzieli, że to otrzeźwienie i zmiana taktyki władz gminnych ma swoje źródło wyłącznie w działalności „dydaktycznej" partyzantów. Toteż młodzież chłopska garnęła się żywo w szeregi partyzanckie (przede wszystkim do Batalionów Chłopskich) i przejawiała tam wysokie zdyscyplinowanie i ducha bojowego.

Wprawdzie wzrosła w tym czasie, zwłaszcza wśród młodzieży, konsumcja alkoholu i produkcja samogonu, ale środek ten służył raczej do uspokojenia ustawicznie podnieconych nerwów, niż do wywoływania pijackich burd i bijatyk. Nadto samogon stał się przedmiotem handlu i wymiany z ludźmi z miasta. Wymiana ta była u nas bardzo żywa i prawie nie było domu, gdzieby przynajmniej dwa razy w roku nie odprawiano tajemniczych zabiegów rzeźniczo - masarskich. Połączone to było z koniecznością nawiązania ścisłych kontaktów z posterunkiem policji polskiej w sąsiedniej gminie. Policjanci, pobierając odpowiednie podatki w naturze, lojalnie przymykali oczy na to, co się działo we wsi i nie tropili zbytnio przewoźników „rąbanki" do miasta.

Dopiero w 1944 roku te stosunkowo znośne stosunki uległy brutalnemu zamąceniu.

Na skutek wysadzenia dwóch pociągów w najbliższej okolicy i stwierdzonej obecności oddziałów partyzanckich w kalwaryjskich lasach, Niemcy dobrali się po swojemu do naszej wsi. Pewnego ranka nadjechali znienacka licznymi samochodami i rozwinąwszy się w tyralierkę pomału otoczyli całą wieś. Wielu młodych zdołało umknąć w lasy, wielu w ostatniej chwili zdążyło swą partyzancką broń przemyślnie ukryć lub wrzucić do studni. Niemniej kilkunastu młodych chłopców i gospodarzy zostało zabranych a kilka domów pod lasem doszczętnie spalonych. Nazwiska zabranych czytałem niedługo potem na słupach w Krakowie, wśród innych wybranych do rozstrzelania bohaterów. Żaden z nich nie wrócił już do rodzinnej wsi.

Teodor Goździkiewicz

Narady o kontyngentach

Temperatura bocheńskiego zachwytu wojną opadała stopniowo z roku na rok, w miarę jak czynnik regulujący dobierał się do zasobnej skóry. W początkach, kiedy jedynym dobrem wojny okazał się szalony wzrost cen i łatwość kupna wartościowych rzeczy — wojna okazała się interesem wcale zyskownym. Te czy owe mankamenty przemiany stosunków, co dotknęły przeważnie poszczególne jednostki, nie miały większego znaczenia. Nad trupami trwała radość. Nad robotnikami przymusowo zwerbowanymi — bardzo rzadko w początkach — śpiewano pieśń wesela: „sto lat!"

Oknami buchała radość na drogę i pola.

Ale przychodziły ograniczenia w przemiale — były zresztą najczystszą fikcją w praktyce, — kontyngenty: zbożowe, bydlęce, świńskie, drobowe, jajowe, lniane, ziarnowe, owocowe, pierzowe, warzywne, miodowe, ludzkie i — jako konsekwencja tego — łapanki, krycie po żytach, po polach, po schronach. Płomienna tarcza wojennego słońca zaczęła się coraz bardziej chmurzyć, nuta muzyki wojenno - ekonomicznego powodzenia decrescendo obniżać, ściszać, zapadać. Rzeczywistość pokazywać zaczęła ostre zęby prawdy. Dawała się ona co prawda stosunkowo prędko łatać, prędko zamazywać: pieniądz, a zwłaszcza wojenne złoto: żywność, neutralizowały przykre strony wojennej rzeczywistości. Jednak był to cierń w puchowej poduszce żywota zasobnego Bochenia.

Spryt czynnika decydującego postawił sprawę kontyngentów w ten sposób, że rozbicie techniczne ogólnej liczby ciężaru zlecił na czynniki pseudosamorządowe. Dało to przedziwne efekty. Obrzydliwie wytarty komunał o dzieleniu i rządzeniu hasał wtedy, co się zowie, i nabrał niezwykłych rumieńców świeżości.

Pieniactwo, skargi, interwencje rozhulały się w oszałamiający sposób. W ramach wsi animozje, starcia, pretensje wzrosły w zdumiewający sposób. Te spięcia prześwietlały wieś do samego rdzenia, do dna jej najgłębszej treści. Na ustach znalazło się wszystko do najintymniejszych rzeczy włącznie.

W roku 1943 przy skłonie lata Bocheń przy rozdziale kontyngentów przeszedł samego siebie. Od roku 1940 ciężar kontyngentowy stopniowo się zwiększał. Czynniki decydujące śrubę obciążenia przykręcały coraz bardziej. W ramach ogólnej akcji kontyngentowej ciężar wzrastał z roku na rok, ale w granicach gminy powiększał się tym bardziej i spadał na Bocheń. Było to prawdopodobnie skutkiem rozgłosu o bogactwach Bochenia, który mimo wysokich świadczeń ogólnych jeszcze posiadał tak wielką zdolność nabywczą.

Oczywiście, mimo zachowania pewnej dyskrecji w owym szale kupna i sprzedaży, trudno było jednak ukryć owe fortepiany, motory i kanapy. Stąd prawdopodobnie płynęła owa skłonność czynników decydujących do otaczania Bochenia specjalną opieką, staraniem i liczbą.

Każde zebranie było wymuszone i posiadało liczną frekwencję zapewnioną. Ten wypadek jednak — rozdział kontyngentów w samej wsi — ze względów zrozumiałych budził szalone zainteresowanie. Głuche wieści krążyły między ludźmi o globalnej liczbie metrów rozłożonych na wieś. Coś nie coś wyciekło też przez szpary domu, w którym obradowała wiejska komisja kontyngentowa. Słuchy niosły, że podobno stronniczo przydzielano: że ten — tyle... że ten, to tyle... a ten — to znów tyle... itd.

Dom Ludowy był świadkiem reakcji plenum wsi na skutek ogłoszonych wyników uchwały wiejskiej komisji.

Nabity był po brzegi ludźmi i odpowiednio zadymiony. Wchodzi komisja i sołtys odczytuje listę nazwisk z wysokością metrów zboża.

I tu po odczytaniu następuje prawdziwe przedstawienie. Najpierw trwała chwila ciszy, jakby zebrani przetrawiali pierwszy moment przerażenia: plotki okazały się prawdą. Ten, co ma mniej ziemi, ma za mało. Ten co ma więcej ziemi, ma za dużo. Ten, co ma więcej ziemi, za mało. Ten, co ma mniej ziemi, ma za dużo. Zależnie od tego, kto to wypowiadał. Jeśli ja, to za dużo. Jeśli on — to za mało. Za mało czy za dużo?

Ale nie to jest ważne.

Po kilku rzadkich krzykach namiętne głosy oskarżeń wybuchły w pewnym momencie ze wszystkich gardzieli i zlały się w jeden potępieńczy ryk, od którego zdawało się, że pękną ściany rudery Domu Ludowego. Krzyki, klątwy, wymysły uczyniły zgiełkliwy charkot, w którym trudno było uchwycić jakieś pojedyncze zdanie. Skakano sobie do oczu, do twarzy i omal że nie doszło do rękoczynów.

W tej dyskusji powiedziano sobie wszystko, co tylko było do powiedzenia: wszystkie kupna wojenne, wszystkie zdobycze wojenne. Rozstawiano sobie familię po najgorszych kątach. Tu się nie ukryło nic, tu powiedziano sobie wszystko.

Naczelnym motywem było: ja mam za dużo, mój sąsiad ma za mało. A ponieważ ta inteligentna miara zyskiwała wagę w ustach każdego i każdy ją wygłaszał, więc wszyscy byli pokrzywdzeni i uważali, że są pokrzywdzeni na korzyść sąsiada: bogatsi na biednych, biedniejsi na bogatych.


rys. Stefan Just

— Ja mu dzieci nie narobiłem! — wołają grubsi bezdzietni.

— Ja mu ziemi nie zabrałem! — dodają usprawiedliwiająco ci, którzy się bronią przed zarzutem posiadania większego gospodarstwa.

Komisja była, dla dodania powagi jej urzędowaniu, złożona z odpowiednio grubszych gospodarzy, stąd więc interes małorolnych i biednych nie został wzięty pod uwagę. Jedni więc uważali, że im się stała krzywda, bo na dzieci nie zwracano uwagi, drudzy byli zdania, że dzieci są prywatną sprawą, a tylko ziemia ma głos.

Siedząc w kurzu i pajęczynie na strychu Domu Ludowego dla wysłuchania właśnie tych obrad przeżuwałem gorzkie myśli.

Maciej Czuła

Wysiedleńcy na wsi

Pierwsza wielka lawina wysiedlonych Polaków z Poznańskiego i samego Poznania spadła na Brzesko a potem powiat w r. 1940. Wyrzucono wtedy na stacji Słotwina Brzesko około 1.000 osób łącznie z kobietami i dziećmi, usuniętych z domów i mieszkań w Poznaniu w przeciągu pół godziny z małym pakunkiem (do 20 kg) oraz czterdziestu złotyma na osobę. Wszystkich tych ludzi umieszczono naprzód przed odtransportowaniem w obozach przejściowych, gdzie poddano ich gruntownej rewizji, w czasie której zabierano złoto, kosztowności i inne pamiątki rodzinne. W poszukiwaniu ich rozpruwano płaszcze, kołnierze, buty, a za ukryte przedmioty bito wszystkich do nieprzytomności. Tam już ludzie nabawili się — mieszkając w strasznych warunkach i spoczywając na zgniłej, zawszonej słomie — pierwszych chorób, jak tyfus, czerwonka i t. d. Ponieważ była to zima, a wagony, którymi transportowano nieszczęśliwych wysiedleńców, były bydlęce, brudne, bez ławek i ustępów, a przytem szczelnie zabite, dużo ludzi po wyrzuceniu ich z wagonów było już ciężko chorych, a nie brakło również trupów, szczególnie dzieci i starców.

Wysiedlonymi zajął się miejscowy Komitet Pań, przyczem bogatsze rodziny zapraszały i ugaszczały nieszczęśliwych rozbitków.

Pierwsze transporty umieszczono w Brzesku w bożnicy i domach modlitwy, a więc w izbach wielkich, nieopalonych, gdzie ludzie śpiąc na podłodze, bez regularnego jedzenia w strasznych warunkach, czekali nieraz po kilka tygodni na przetransportowanie na miejsce zamieszkania.

Brzesko jest powiatem gęsto zaludnionym i biednym. Największe gospodarstwa nie przekraczają 6—8 mórg, przyczem jest to teren nawpół górzysty, a zatem ziemia nie najlepsza.

Średnio zamożny wieśniak nie może sobie pozwolić na lepszy dom, dlatego są to dwu



— a najwyżej trzy-izbowe pomieszczenia, a z powodu znacznej ilości dzieci w mieszkaniach jest zawsze ciasno. Nie było zatem miejsca dla obcych przybyszów, mimo to rozmieszczono po ciasnych izbach setki ludzi przyzwyczajonych do dobrobytu, nawet luksusu i kazano im mieszkać w tych często brudnych, przesiąkniętych wilgocią izbach, spać na słomie lub w stajni czy stodole.

Ponieważ przydziały żywnościowe dla tych wysiedleńców były nader skromne, nie dawano dzieciom mleka ani tłuszczu, mnożyły się choroby. Kwitło żebractwo, albo też biedni ludzie zaczęli masowo opuszczać przydzielone im wsie i mieszkania i uciekać z powrotem do swoich stron rodzinnych lub do jakichś krewnych mieszkających w pobliżu. Część ich w drodze wyłapano i wysłano za karę do obozów pracy lub Oświęcimia. W r. 1941 zajechały na stację w Brzesku dwa pociągi wiozące znowu kilkadziesiąt rodzin chłopskich, często najlepszych i najbogatszych gospodarzy z okolic Łowicza i Zamojszczyzny, gdzie osiedlano na ich gospodarstwach Niemców.

Tragedia tych wysiedleńców była straszna. Przyzwyczajeni do pracy u siebie i odpowiedniej stopy życiowej znaleźli się nagle na łasce nie bardzo życzliwej, bo biednej ludności miejscowej, która by może przygarnęła z ochotą wysiedleńców, gdyby sama miała co jeść. W dodatku Niemcy kontyngentami i rekwizycją żywności wyniszczyli okolicę całkowicie.

Jakże w takich warunkach mogli nieszczę-


rys. Krystyna Hierowska

śliwi łowiccy chłopi znaleźć opiekę i przytułek u chłopów, którzy sami przymierali głodem? Cóż ci ludzie mogli znaleźć tam, gdzie już nie było co jeść? Mimo to dawało się im łyżkę strawy i słowo pociechy.

Niedługo zaczęły się nieporozumienia, kłótnie, nawet bijatyki, które likwidowała granatowa i niemiecka policja, znęcając się zarówno nad przybyszami jak i miejscowymi, karząc straszliwie za wszelkie objawy niezadowolenia.

Dużo z wysiedlonych okazało się wielce pożytecznymi ludźmi imającymi się każdej dostępnej dla nich pracy. Robili powrozy, miotły, cebrzyki, strugali szufle i robili naczynia kuchenne, pomagali wydatnie w gospodarstwach zamożniejszych właścicieli służąc im po prostu radą i doświadczeniem. Ale trafiali się i ludzie słabi, wykolejeni, niezdolni do czynu ani wydajniejszej pracy. Ci stali się ciężarem wsi. Rozpaczali ciągle nad swoim losem, wypłakiwali sobie codziennie oczy, myślami byli daleko w swoich rodzinnych gospodarstwach, nigdy nie zdołali się pogodzić z losem i zarabiać na swoje i rodziny utrzymanie. Ci byli trudni do współżycia i ciężko z tego powodu pokutowali.

Innego rodzaju osadnikami z miasta na wsi była inteligencja, pochodząca z chłopów, która zjechała do swoich rodzin na wieś lub krewnych i znajomych i tu mieszkała przez cały czas okupacji, o ile jej Niemcy nie przetrzebili i nie wywieźli do Oświęcimia. W powiecie Brzeskim dużo mieszkało podczas okupacji urzędników, profesorów, inżynierów i nauczycieli, których niemieckie władze usunęły z posad.

Energiczniejsi z nich jęli się handlu i dorabiali się fortun. Bardziej ideowa ich część wolała wrócić na wieś pod chłopską strzechę, uświadamiać ludność i urabiać wrogi nastrój do okupanta. Organizowali, przeważnie tajne nauczanie na wsi, przysposabiali dzieci do egzaminów, podnosili sąsiadów na duchu. Emigracja ta dała chłopom dużo korzyści duchowych a w szczególności młodszemu pokoleniu i dotąd ją chłopi bardzo mile wspominają.

Najnieszczęśliwszą i ponoszącą największe ofiary w czasie okupacji była bez wątpienia inteligencja żydowska wyrzucona z większych miast Polski Centralnej, ze swoich biur, szkół, lokali handlowych i t. d. Ścigani i prześladowani niczym zwierzyna leśna — nieszczęśliwi Żydzi osiedlali się gdzie mogli po wsiach i miastach, na przedmieściach i dzikich ustroniach, kryjąc się na całe dni w lasach i wertepach. Ci, których chłopi zdołali ocalić, pochrzcili sie przeważnie i pożenili potem z wiejskimi dziewczętami.

Jak koszmarny sen przypomina mi się tu tragiczny los pewnej inteligenckiej rodziny żydowskiej z Warszawy, osiadłej w powiecie Brzeskim. On, adwokat z zawodu, wysoki, pulchny, o śmiałym wejrzeniu mężczyzna, jego żona przystojna, uprzejma i miła kobieta i córka 15-letnia może panienka o pięknej, zamyślonej, zrezygnowanej twarzy. Wyszukał ich jakiś granatowy policjant i przywiózł na chłopskiej furze do Brzeska na miejsce hitlerowskiej kaźni — Zamknięto ich na noc do lochu, a rano zbir hitlerowski odprowadzał ich co pewien czas pojedyńczo na żydowski cmentarz i celnym strzałem w tył głowy pozbawiał życia. W ten sposób zginęło w czasie okupacji setki i tysiące Żydów. Mało kto z nich ocalał.

Z chwilą ucieczki Niemców uciekinierzy, względnie przymusowi osadnicy wyruszyli masowo pieszo, furmankami, autami i pociągami do swoich miejsc zamieszkania. Niektórzy z nich tak się zżyli ze swoimi chłopskimi gospodarstwami, że wielu z nich utrzymuje kontakt ze wsią conajmniej korespondencyjnie.

Maciej Czuła

Adolf Olechnowicz

Spotkania wojenne

Było to na kilka lat przed wojną. Jak wszyscy chłopi w Polsce, tak i my robiliśmy już bokami. Jakikolwiek produkt rolny wywiozło się na rynek, trzeba go było oddać za bezcen. A sekwestrator wprost okrakiem siedział na gospodarstwie, bezlitośnie je opieczętowywał i wcale nie na żarty groził licytacją.

Trzeba się ratować!

Ale jak?.. Rok chudy — w stodole, w śpichrzu, w piwnicy tyle, że i dla siebie nie wystarczy. Trzeba jedak coś sprzedać. Ładujemy wóz ziemniaków i wio do miasta.

Na rynku chłopów jak mrowia. Ten sam kłopot, co nas, przygnał tu setki innych. Ceny (i tak niskie) zaczęły spadać do niewytrzymania. Za kwintal ziemniaków nie chcą płacić i trzech złotych. A tu już wieczór za pasem. Niektórzy z pełnymi wozami odjeżdżają do domu. Ruszam i ja, choć przecież wiem, że do chałupy nie mam poco wracać bez dwudziestu trzech złotych i osiemdziesięciu groszy, które potrzebne są do wstrzymania licytacji. To też jadąc ulicą rozglądam się jeszcze za kupcem, jak tonący za deską.

— Po ile ziemniaki?... — odezwał się, jak zbawienie jakiś głos z chodnika. Zatrzymałem konia natychmiast, obejrzałem się...

— Po trzy złote, proszę panią... — powiedziałem tonem, jakbym o łaskę prosił stojącą na chodniku elegancką, młodą panią.

— O! tak drogo!... — ale do wozu podeszła i ziemniaki oglądała.

— To stanowczo za drogo. Zabiorę wszystkie, ale po dwa i pół za kwintal...

Cholera człowieka brała — ciemno w oczach się robiło i z powodu katastrofy, która nad gospodarstwem wisiała i z głodu: od śniadania z barszczu i ziemniaków przez cały dzień nic się do ust nie włożyło i w tabakierce ani szczypty machorki...

— No więc jak?... Jeżeli po dwa i pół, to wieźcie..

Nie wytrzymałem.

— Pani mówi, że to za drogo. W takim razie ja Pani darmo je oddam. Wysypię tu zaraz na ulicę, ale niech je pani sama zbierze... nie zgadza się Pani?... a niechże pani policzy ile razy ja je zbierałem i na plecach przenosiłem z miejsca na miejsce, ile włożyłem potu i trudu w uprawę, sadzenie, pielęgnowanie, kopanie..

Ale elegancka pani już mnie nie słyszała. Po pierwszych moich słowach obrażona, spojrzała z pogardą, w okamgnieniu wykręciła się, mruknęła coś pod nosem, zdaje się „cham“, czy „Szela“ i poszła. Ja też odjechałem, wymyślając po drodze od darmozjadów i pasożytów. Zaciskałem przy tym bat w garści i wypatrywałem wokoło, żeby nim przerżnąć któregoś z łobuziaków miejskich, szczekających z lewa i z prawa na odjeżdżających z miasta chłopów: „...prrr!!... prrr!..., chłopie, koło ci się u wozu kręci... cha!... cha!... cha!...“

W czasie okupacji ludzie z miasta chodzili na wieś na handlowe zakupy i na własny użytek, a nierzadko do pracy, zwłaszcza podczas żniw i kopania ziemniaków. I choć oni nie umieli w polu robić, ani tak składnie, ani tak wydajnie, jak ludzie wsi, płacili im gospodarze u nas tę samą stawkę, co robotnikom ze wsi. „Musimy jakoś przeżyć wszyscy, a miastowym dzisiaj najtrudniej...“ mówili gospodarze i przy rozliczeniu dosypywali często „miastowym“ ponad umówioną cenę, choć sami mieli za mało, żeby coś i z kontyngentu oddać i inwentarz wyżywić i samemu głodu i chłodu uniknąć. Po całodziennej robocie, zwłaszcza jesienią (kiedy wieczory długie), rozsiadywały się zmordowane mieszczuchy na świeżej słomie w izbie chłopskiej i wspólnie z gospodarzem, jego rodziną, a nierzadko i sąsiadami i gawędzili... O czym?... O tym, co było, co jest, co będzie... Wspominali, dyskutowali, prorokowali... A mimo, że byli to ludzie z innego niejako świata, o różnych poglądach, o bardzo różnym wykształceniu, znajdywali jakiś wspólny język, wspólną sprawę i w atmosferze wzajemnego, niekłamanego szacunku, szczerze dogadywali się.

Zdarzyło się, że na takim wieczorze spotkaliśmy się z ową, elegancką panią sprzed wojny. Chodziła na wieś, jak to sama określiła, „aprowizować się“. Kiedy przypomnieliśmy się sobie, zareagowała szczerym, rozbrajającym samooskarżeniem.

„...nie znałam życia. Jako córka wysokiego urzędnika, a potem żona kapitana-lekarza nie wiedziałam, co to jest praca... Miałam zawsze stół obficie zastawiony i nigdy mi przez myśl nie przeszło, ile trudu musiał chłop włożyć, by wypracować nam wszystko to, co, mieliśmy na stole... trzy złote za kwintal ziemniaków, to było za drogo, ale trzy tysiące złotych za branzoletę, to nie było za drogo... Takich jak ja były tysiące, które żyły kosztem milionów takich, jak pan... żeby nie wojna, nie rozumiałabym tego do dzisiaj... dopiero przez wojnę poznaliśmy siebie i innych...“

Rozmawialiśmy tego wieczoru do północy i rozchodziliśmy się głęboko przekonani, że w przyszłej Polsce będziemy umieli sprawiedliwie żyć: nie będzie juz tak, że jednym wszystko wolno, a innym — nic, że jedni mają za dużo, a inni głodem i chłodem przymierają. Miarą wartości człowieka nie będzie kieszeń wypchana banknotami, jeno jego praca, wysiłek, trud...


rys. Stefan Just

Czule przechowuję wspomnienia tego wieczoru, ale przyznam się nie jestem pewien tej pani, córki wysokiego urzędnika, żony kapitana-lekarza. Mąż zginął. Co ona teraz robi? Ma sklep z kapeluszami? Wyszła ponownie zamąż... za kogo? Ile ulotnego wzruszenia wypełniło wojenne jej doświadczenie. To ostre, przejściowe zdeklasowanie wówczas minęło zapewne i górę wzięło co? Czy nie dłuższe i pełniejsze jej dawne życie i jego styl? Czasami sobie myślę, że gdybym musiał, jak przed wojną znów wyjechać na cały dzień z furą kartofli i wolniutko krążyć w kółko po pięciu ulicach — spotkałbym ją napewno. „To stanowczo za drogo“ — słyszę jej głos. Wolę ufać nie jej deklamacji i wzruszeniu, wolę ufać ustrojowi, który mój wyjazd, „gonitwę“ za odbiorcą, czyni dziś ze zdarzenia typowego dawniej — wyjątkowym, a elegancką damę odgradza ode mnie Spółdzielnia Z.S.Ch. i społeczny przydział. Znikają dla mnie warunki na urazę, znikają dla niej warunki na obrazę i życie w „próżni społecznej“.

Marian Minias

Łowiczaki a wysiedleńcy


rys. Stefan Just

Kiedy jesienią 1940 roku znalazłem się z moją rodziną i kilku rodzinami krewnych w gminie Domaniewice, powiatu łowickiego spotkała nas miła niespodzianka. Przyjechaliśmy z lubelskiego do pewnego kolejarza, krewnego, z myślą osiedlenia się.

W drugim dniu naszego pobytu u kolejarza, przyszedł sołtys ze wsi Rogożno i zorientowawszy się w naszej sytuacji, zaproponował nam osiedlenie się w jego gromadzie.

Zdziwiliśmy się taką propozycją.

Moja i najbliższe mi rodziny w 39 r. zostały wywiezione w powiat lubelski do wsi Kijany. Przydzielono nas do gospodarzy, którzy mieli 45 mórg ziemi. (Do tych gospodarzy, jako zamożnych przydzielano nas najpierw). Jak zostaliśmy przyjęci — nie warto pisać. Przykro jest pisać. Wspomnę tylko, że jak zrzucono nasze rzeczy na podwórko, tak leżały do wieczora prawie cały tydzień, gdyż nie można było się dowiedzieć, gdzie je umieścić.

Dopiero służba zajęła się nami. Ubrania nasze i inne rzeczy, jakie pozwolono nam zabrać przy wysiedlaniu, trzymaliśmy albo na strychu albo w sieni, w ciemnym i wilgotnym kącie pod schodami prowadzącymi na strych. Spaliśmy w stodołach (do połowy września, t. j. do czasu wyjazdu w łowickie).

Pracowaliśmy w gospodarstwach od świtu do nocy. Jeść musieliśmy gotować sobie na postawionej lepiance po przyjściu z pola. (Podobnie było ze służbą, która przychodząc z pola, musiała oprzątnąć inwentarz i dopiero sobie gotować obiad czy kolację, co przeciągało się do godz 12 i dłużej a o godz. 4, a nawet 3.30 była już budzona). To niewolnictwo służby chciano przerzucić i na nas.

Zmuszano nas do pracy w polu w niedzielę. Gospodarze ci mieli swoje ławki w kościele i dzieci na studiach, które nie lepiej odnosiły się do nas niż ich rodzice. A przecież wśród wysiedlonych byłem też studentem, tylko że biedniakiem.

W połowie września 1940 roku wyjechaliśmy z Kijan; po pierwsze dlatego, że było już zimno spać w stodole, szczególnie dla rodziców, po drugie że nie chciano nam płacić za pracę, po trzecie, że większość zapasu ubrań, jaki został przywieziony, zniszczyła się przez lato, przy żniwach. Mieliśmy mieć płacone za pracę. Kiedy jednak gospodarz oświadczył, że należy się nam pracować darmo, musieliśmy myśleć o innym zarobkowaniu.

Za cztery miesiące pracy nie dostaliśmy ani grosza. Na przejazd pociągiem w łowickie, musieliśmy sprzedać część ubrań.

Nic dziwnego, że po takim przyjęciu i traktowaniu nas w Kijanach, stosunek łowiczaków wydawał się nam dziwny i był miłą niespodzianką.

W trzecim dniu po przyjeździe w łowickie a w następnym po bytności sołtysa, przyjechali gospodarze i zabrali nas do siebie, oddając najlepsze mieszkania sprzęt i umeblowanie.

Jak dowiedziałem się potem, byli to wszyscy przedwojenni ludowcy, nazywani z ambon i kół zbliżonych do parafii — komunistami. Podobnie przyjęci byli moi znajomi w powiecie tarnowskim i bocheńskim, gdzie czteromorgowi gospodarze dzielili się z wysiedlonymi ostatnią kromką chleba, a gdy przyszło gotować zupę ze soku z brzozy też gotowali i jedli wspólnie.

Gospodarze we wsi Rogożno w powiecie łowickim, u których byli wysiedleni, mieli po kilkanaście mórg ziemi.

Wysiedleni zajmowali się różnymi pracami, które dawały im niezależność materialną. W okresie jednak pilnych robót, szczególnie latem pomagali gospodarzom.

Przez cały czas wojny, wszystkie rodziny wysiedlonych we wsi Rogożno, nie miały zatargów z gospodarzami.

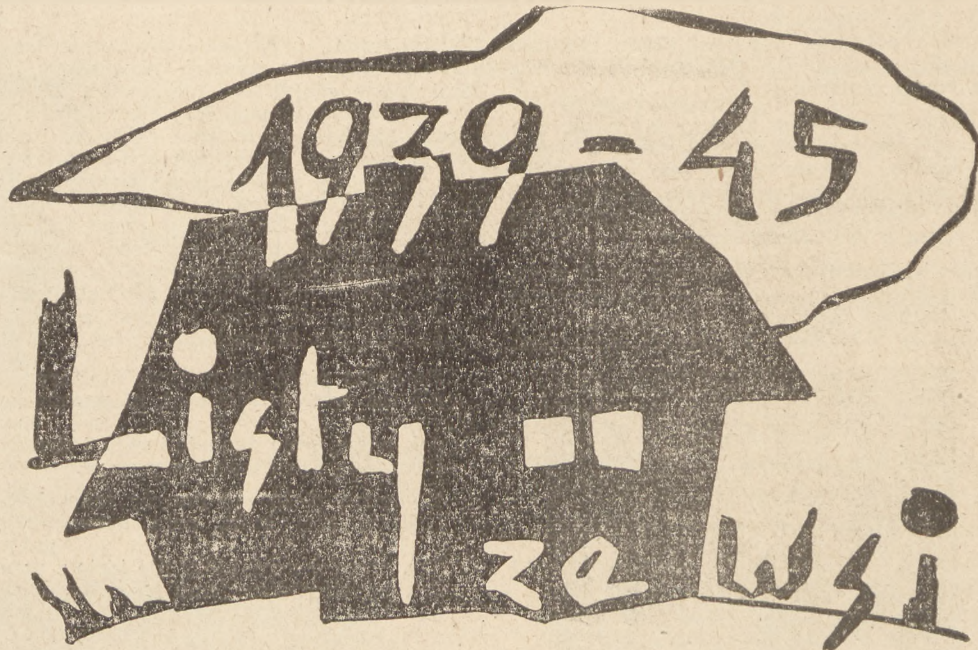
Po zapoznaniu się bliżej z mieszkańcami tej gromady, przekonałem się, że większość ich czytała tajne gazetki i była zorganizowana w Batalionach Chłopskich.

Przy wysyłaniu młodzieży do Prus, zbierarano od wszystkich (oprócz wysiedlonych) pieniądze i opłacano się Niemcom. Dwa razy, kiedy nie można było załatwić w ten sposób, wyznaczono jedynaków i to od najbogatszych gospodarzy, którzy opłacili się indywidualnie. Wysiedlonych nie wyznaczano nigdy.

Kiedy w 1944 r. przyjechały w powiat łowicki pierwsze transporty Warszawiaków, gospodarze ze wsi Rogożno, nie czekali na nakaz, lecz sami pojechali do gminy i zabrali pierwsze rodziny.

Choć naogół współżycie między sobą ludzi wsiowych jest łatwiejsze to jednak trzeba stwierdzić, że we wsi Rogożno, nie było żadnych kłótni między gospodarzami a Warszawiakami, (z jednym wyjątkiem, była to stara panna — dewotka, gospodarząca ze swym bratem—starym kawalerem na czterdziestu kilku morgach ziemi)

Ten pozytywny stosunek gospodarzy we wsi Rogożno tak do wysiedlonych, jak i Warszawiaków można przypisać tylko wyrobieniu obywatelskiemu i społecznemu w takich przedwojennych organizacjach jak: Stronnictwo Ludowe i „Wici“, które były w tej wsi silnie rozwinięte, również — zorganizowanej pracy podziemnej.



Seweryn Skulski

Wieś Kolankowo

Ksiądz wyszedł ze mszą. Gdy po jakimś czasie z chóru dały się słyszeć cicho organy i melodie przyciszone chóru — „Lulaj-że Jezuniu, lulajże lulaj" i gdy każdy o tym



rys. Krystyna Hierowska

myślał, że jest to chwila „pokoju ludzi dobrej woli" — koło drzwi kościoła wszczął się nagle ruch a głosy rozkazujące i przeraźliwe darły się: Raus! Raus! Alle raus!

Żołdactwo tłukło kolbami. Całą ludność wygnano z kościoła na rynek. Przy wyzwiskach, biciu i kopaniu wybrano 84 mężczyzn. Dwom kobietom wspaniałomyślność krzyżacka pozwoliła zostać wśród tych mężczyzn, gdyż zgodziły się podzielić ich los.

Wybijano im zęby, rozbijano głowy i okładano karabinami. Tak obdartych, skrwawionych, pognano pod lasek sosnowy pod karabin maszynowy.

Karabin maszynowy omylił się. Paweł Bukowski upadł tuż przed jego serią. Krzyżaki sądząc, iż już żaden „bandyta" nie wstanie, odeszli. Odszedł także i Paweł Bukowski prosto do lasów Majdanu Górnego i Józefówki. Brał udział w odbiciu grupy Polaków wywiezionych z Łaszczowa do Majdanka, gdzie czternastu fryców partyzanci posłali na łono Abrahama, a dwa auta zniszczyli, broń użyli do likwidacji innych fryców. Las, w którym królował Paweł Bukowski fryce omijali z daleka a nie był przecież żaden bohater tylko zwykły szewczyna wiejski, co prócz umiejętności bicia kołków w podeszwy, umiał bić szwabów jako partyzant Batalionu Chłopskiego i na harmonijce ustnej grał jak mało kto.

Leon Pokora

U źródeł „Wsi Tworzącej"

Akcje „Wsi Tworzącej" można rozpatrywać tylko na tle ruchu socjalnego tj. zorganizowania B.Ch. i A.L. Wsie, w których narosły placówki tych organizacji ze zrozumiałych względów dorastały do kulturowych akcji, gdyż te stanowiły uzupełnienie wyzwolenia socjalno-politycznego.

W pierwszych latach okupacji widzimy na wsi tylko wzmożenie podniet kulturalnych u nielicznej bardzo grupki utalentowanych. Duże znaczenie miała obniżka cen książek, które teraz ci spragnieni wiedzy zaczęli nabywać i to w dużych nieraz ilościach. Atmosfera polityczna jednak jeszcze nic nie wróżyła i chłop na ogół zadawalał się formami namiastkowymi wyzwolenia tj. ograniczał do myśli o wyzwoleniu narodu. Późniejsze doświadczenie wykazało, że w tych ramach nie było atmosfery, w której może żyć i narastać kultura mas. Wsie, które do końca były opanowane przez N.S.Z. lub nawet A. K. traciły ambicję kulturalną, która rodzi się przecież z ambicji społeczno-klasowej.

Zorganizowanie sił zbrojnych o nastawieniu lewicowym, zorganizowanie szeregu organizacji pomocniczych (L. S. B., Z. K. L. i inne) postawiło sprawę chłopskiej organizacji kulturalnej, jako pilne i konieczne zadanie. Istniejąca „Orka" mogła wystarczać tylko tam, gdzie nie odczuwało się potrzeby organizacji terenowej, a działała elitarna grupa inteligencji związanej z „Rochem". Lubelszczyzna, w końcowym okresie okupacji, tym się zadowolić nie mogła, i nie chciała. Ruch przybrał formy masowe i zdradzał duże pogłębienie. W okresie, kiedy to w naszym, kraśnickim powiecie szalał terror, gdzie indziej nieznany (rzeź borowska: zniszczenie kompletne sześciu wsi i wymordowanie czy spalenie żywcem do dwu tysięcy ludzi) pamiętam taki np. zjazd Z. K. L. w Dzieniłkowcach, gdzie w lesie, przez trzy dni, pod osłoną B.Ch. kilkaset dziewcząt mogło nie tylko radzić, ale wystąpić z chórami i t. p. Na zjeździe „Wsi Tworzącej", który odbył się w budynku szkolnym, wystąpiono z deklamacjami, chórami itp. Tu i owdzie kiełkować jął ludowy teatr podziemny. W swojej Wyżniance mogłem zwołać gospodarzy na zwykłe zebranie „kontyngentowe" i tam całej wsi nałożyć podatek na karabiny i nikt nie oponował, ani przez cały okres okupacji nikogo nie zdradził. Inna rzecz, że nie było tam innych ludzi jak z B. Ch. i A. L.

W tym klimacie, który opisuje i J. N. Kłosowski w powieści „Jarzmo", było już do pomyślenia założenie organizacji kulturowej. Co więcej, mogła ona pokusić się o formy śmiałe, śmielsze niż dzisiaj. Przyczyna tego tkwi w masowości „Rocha" (gdyż A.L. dysponowało biedniactwem i fornalami, społecznym elementem nie zainteresowanym żywo sprawami kultury), w dużej na ogół subordynacji wobec rozkazów, masowości kolportażu własnych pism lokalnych (które miały dodatki literackie) a zwłaszcza w tym, że cała inteligencja ludowa wróciła z miast i pracowała na wsi.

Poszerzała się też baza, dlatego że i element chłopski z A.K. do nas ciągnął, i trudno było przywódcom tego zakazać. Chłop, skuszony właśnie frazesem o wyższości „kultury narodowej", szybko, w zetknięciu z atmosferą „Rocha" uczuł się w zaułku. Zebrania mówiły o sile klasy chłopskiej, karabiny B.Ch. potwierdzały to. Kultura miała znieść ostatnią barierę społeczną, pasując chłopów na pełnowartościowych uczestników kultury narodowej.

Nie przypadkiem tylko było to, że najpierw „Wieś Tworząca" wydała dzieła treści politycznej i militarno - strategicznej. Ciekawe jest to i symptomatyczne, że właśnie na Pipidówkach lubelskich istniała samodzielna myśl chłopska, nie zawsze zgodna z Komendą B.Ch. czy polityką „ogólno-narodową" (czytaj — „oficjalną"), ale również z tradycyjnym duchem ludowości.

Formy działalności „Wsi Tworzącej" były wypracowane dla szerokiej inwencji zbiorowej, a przez fakt powiązania z B.Ch. poddane sprawdzeniu przez rzeczywistość. Drużyny ratownicze kultury i projektowane Bataliony Kulturalne dawały jako oddziały zdyscyplinowane wobec dowództwa szanse siły materialnej, tak przez fundusze zdobyte w drodze rekwizycji u złodziei leśnych, defraudantów itp. i normalne akcje bojowe, jak i przez sam fakt istnienia ich siły terenowej.



Drużyny te już powstały i rozwijały akcje tak przy ochronie lasów jak i bojowe, na dwory pod administracją niemiecką. Jeżeli kiedykolwiek rozwój techniki zniszczenia i wynikła stąd groźba zaniku dóbr kulturalnych, skłoni narody do samodzielnego przemyślenia problemu oddziałów wojskowych na usługach kultury — to w polskim podziemiu ludowym ta myśl już była rzucona.

Środki materialne oddziałów wojskowych kultury miały być zużyte na rozbudowę aparatu organizacyjnego W. T. oraz na akcje kulturalne, mające za cel poza ochroną wartości kultury narodowej, rozwijanie kultury wiejskiej, zwłaszcza przez jak najszersze rozpowszechnianie kultury, wyzyskanie sił twórczych i stałą nad nimi opiekę.

Wartość ideologii organizacji kultury „Wieś Tworząca" leży: a) w śmiałym potraktowaniu idei narodu — ludu jako punktu wyjścia narodowej kultury mas, wynikłej z jej czynnej postawy odbiorczej i twórczej, b) w idei powszechnego prawa do twórczości kulturalnej, c) w powiązaniu idei kultury z ideą socjalnej walki, d) wreszcie i w idei organizacji kultury i planowania, co oznacza zerwanie z kuturą „samorodną" a przejście do planowej ewolucji kulturalnej i e) w świadomej postawie społeczno-kulturalnej, oraz w energii zawartej już w samej nazwie organizacji.

I ta ideologia potrafiła „Wieś Tworzącą" przenieść z wiosek lubelskich na teren całego narodu — i poprzez L.I.K. i „Wolną Gromadę" których to akcje stają w dużym z W.T. związku, oddziałać w pewnej mierze na kształtowanie obecnej rzeczywistości wiejskiej, w szczególności w ruchu wiciowym.

Józef Bieniek

Akcja w Jelnej

Górzysto-lesiste okolice Podhala stanowiły idealny teren dla działalności partyzanckiej. Toteż niemal od początku okupacji, bo już zimą 1939—40 roku — już w niedostępnych debrach i pariach Karpat zaczęły się tworzyć pierwociny ruchu niepodległościowego, przekształcane z czasem w otwartą walkę z najeźdźcą.

Do jednych z najwybitniejszych postaci w plejadzie dowódców partyzantki podhalańskiej — ściślej nowosądecczyzny i gorlickiego — należał Kazimierz Wątróbski, znany ogólnie pod pseudonimem „Sęp". Urodzony w Wilczyskach, pow. gorlicki, i tam zamieszkały, syn postępowej rodziny chłopskiej, znanej z dzielnej postawy i nieustępliwości w walce o ideały demokratyczne jeszcze za czasów sanacji, krewniak takich działaczy jak Komendant Batalionów Chłopskich na Małopolskę i Śląsk Narcyz Wiatr-Zawojna— sam Wiciarz, jeden z najczynniejszych na terenie.

Niesłychanie śmiałe wyczyny Sępa w jego partyzanckiej akcji rozsławiły go szeroko, ale też stały się powodem strasznej tragedii, jaka spotkała najbliższych mu pozostawionych w domu. Oto w któryś lipcowy świt 1944 r. banda hitlerowskich oprawców napadła na dom Sępa mordując w straszliwy sposób 8 osób rodziny, w czym młodziutkie siostry i matkę staruszkę, której przed zastrzeleniem połamano ręce i nogi, a twarz zamieniono w bryłę krwawej miazgi.

Początkowo pełnił Sęp funkcję kuriera między Komendą Okręgu a szeregiem podgórskich powiatów. Ale za ciasno mu było na kurierskich szlakach. Urwał się więc do partyzantki organizując w ramach B. Ch. 30-osobowy oddział. Był to jeden z pierwszych oddziałów północnej sądecczyzny, najbardziej bitny, najbardziej rzutki i najbogatszy w zwycięstwa.

Omówieniu szerokiej, bo aż na Słowaczyznę sięgającej działalności tego oddziału i jego dowódcy zamierzam poświęcić szerszą pracę. Tymczasem ograniczę się tylko do podania jednej z bardziej charakterystycznych akcji, bezpośrednio mi znanej, która miała miejsce dnia 16 sierpnia w Jelnej pod Nowym Sączem.

W noc poprzedzającą omawianą operację oddział Sępa dokonał zamachu na kancelarię Zarządu Gminnego w Kobyle-Gródku niszcząc wszelkie listy i plany kontyngentu w ludziach, bydle i zbożu. Tej samej nocy „załatwił" Sęp niemieckie magazyny i willę jednego z wysokich dostojników rządu GG, położone na tak zwanej „Koszarce" nad rożnowskim jeziorem.

Świt zastał grupę w Jelnej, gdzie zresztą kilku żołnierzy miało rodziny i krewnych. Tu też postanowiono spędzić dzień, by odpocząć i nabrać sił do akcji zaplanowanej na noc następną.

Była godzina siódma. Żołnierze ledwo porozciągali znużone kości na zasłużony odpoczynek, gdy z punktu obserwacyjnego przybiegł goniec meldując, że od strony Sącza konno i na wozach zbliża się silny, około stu ludzi liczący oddział żandarmerii i policji.

Celem Niemców była pacyfikacja opornej gromady i przymusowe zabranie kontyngentu w ludziach, bydle i zbożu. Butni jak zawsze i jak zawsze bestialscy rozpoczęli „pracę" znęcając się nad ludnością i spędzając co młodszych mężczyzn na plac przed sołtysem.

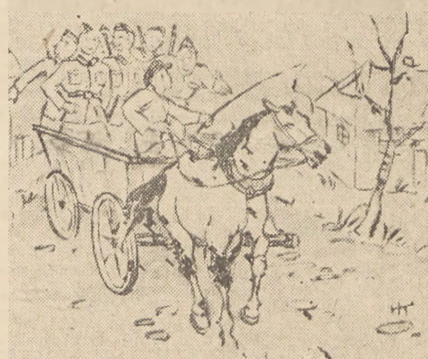
Sęp kwaterując w domach na krańcu wsi, w pobliżu lasu, miał możność wycofania się, co mu zresztą wielu radziło, biorąc pod uwagę zdekompletowany do 18 osób oddział. Ale Sęp nie byłby Sępem, gdyby nie dziobnął wroga w oko.

Mając duże doświadczenie w tego rodzaju operacjach liczył trafnie na zaskoczenie i to z kiku punktów naraz. Podzielił więc oddział na trzy sekcje, aby uderzyć na wroga odrazu w trzech miejscach. Przewidywał, że taka taktyka zdezorientuje wroga rozproszonego po całej wiosce i pozwoli na jego pokonanie nawet małymi siłami.

Do sekcji pierwszej wybrał żołnierzy posiadających kompletne umundurowanie niemieckie i objąwszy nad nimi komendę poszedł otwartą drogą udając Niemców, z zamiarem dostania się bez budzenia podejrzeń w sam środek wioski. Pozostałym sekcjom polecił podpełznąć zaroślami ku dalszym partiom wioski, aby objąć działaniem odrazu cały teren i nie dopuścić rozwleczonych Niemców do skoncentrowania sił.

Oddział pseudo-Niemców podjechał tymczasem na przygodnej furmance w sam środek wsi, do miejsca, gdzie kilku żandarmów pilnowało spędzonych chłopów. Niemcy nie podejrzewając podstępu dopuścili Sępa oko w oko i dopiero gdy Sęp zeskakując z wozu wrzasnął „Hande hoch" — spostrzegli co się święci. Nim jednak mogli wszcząć alarm już stali pod karabinami, ogołoceni z broni, dygocąc ze strachu jak w ataku febry. Ponieważ byli to Ukraińcy znani z okrucieństwa, zostali w chwilę później rozstrzelani. Teraz oddał ich Sęp pod opiekę zwolnionych chłopów, a sam udał się w górę wioski. Zastąpiło mu drogę kilku Niemców, którzy zorientowawszy się uskoczyli za skalny załom i rozpoczęli ogień z broni maszynowej.

W sukurs w samą porę przyszła z przeciwnej strony jedna z pozostałych sekcji, która



rys. Krystyna Hierowska

unieszkodliwiła niemiecki kulomiot, kładąc trupem jego załogę. Równocześnie trzecia sekcja rozpoczęła walkę w drugim końcu wioski. Od razu akcja przybrała charakter polowania. Ludzie Sępa tropili Niemców między drzewa i domy waląc do przerażonych jak do zajęcy. Niemcy po bezskutecznych próbach skoncentrowania sił, ostrzeliwując się dosyć gwałtownie ale chaotycznie rozpoczęli bezładną ucieczkę, pozostawiając naszym cały tabor.

Po dwugodzinnej walce pozostało na placu 19 Niemców zabitych. Rannych również sporą ilość zdołali wycofując się zabrać. Sęp nie mając żadnych strat poza jednym lekko rannym łącznikiem z poza oddziału — zdobył 12 koni wierzchowych, 4 pary z wozami, 2 kulomioty, 30 kb. 10 MP. 8 naganów i ponad 100 granatów.

A w parę miesięcy później padł pewnej nocy, niestety od kuli bratniej, zastrzelony znienacka przez żołnierzy z sąsiedniego oddziału. Tragiczna omyłka i przypadek.

Jan Nagrabiecki

Garść wspomnień z lasu

Tak tylko mogłem marzyć będąc chłopcem. A jednak na jawie dane było mi to przeżyć. Te cienie rozwichrzone romantycznych młokosów, idących z „Czortowego Jaru" na wschód tuż za księżycowym w tę noc grodem Gedymina w kierunku Nowej Wilejki, te kroki kocie i ściszone szepty.

W siedemnastkę, wyposażeni jedynie w broń krótką i jeden kb, z miasta szliśmy do lasu. Ale zaczątek siły zbrojnej w terenie miał za sobą wtedy interesujące dzieje.

Zaczęło się od Kmicica. Baza jego znajdowała się pomiędzy jeziorem Narocz, a jeziorem Bladym Teren bagnisty, podminowany, okolony zasiekami z drutów, ubezpieczony placówkami, wywiadem i czujkami, wartownikami, gęsto zadrzewiony, chronił partyzantów. Kmicic zorganizował dwie bazy A i B. W bazie A szkolił młodych podchorążych, w bazie B miał świetnego żołnierza, przeszkolonego, w wieku poborowym. Był nim autochton najbliższych okolic. Od baz Kmicica niedaleko było do baz sowieckich pułkownika Markowa i Suworowa. Istniało porozumienie pomiędzy tymi bazami w sprawach akcji zaczepnej i dywersji. Jedną z wybitniejszych akcji, pamiętam, była wyprawa na Żodziszki, miejscowość położoną na południe od jeziora Narocz, w której znajdował się garnizon niemiecki.

Pod dowództwem Kuny, Polaka-Gdańszczanina, dezertera z armii niemieckiej, który zresztą ledwie umiał mówić po polsku, wdarła się grupa z oddziału Kmicica w przebraniu niemieckim do głównej kwatery sztabu garnizonowego rozpoczynając sławną akcję. Wyniki jej zawdzięczali partyzanci w dużej mierze współpracy sowieckiej, konnej „razwiedki", której wielka liczba ludzi okrążyła miasteczko. Zdobyto wtedy broń, sprzęt kuchenny, szpital.

O współdziałaniu bazy Kmicica z bazą Markowa świadczy fakt, że hasło i odzew były znakami wspólnymi dla partyzantów polskich i sowieckich.

Jednakże dalszy rozwój wypadków, brak właściwej orientacji politycznej ze strony do-

wództwa polskiego przerwał dobre stosunki pomiędzy oddziałami. Oto co na ten temat powiedział Markow:

„Chłopcy dotychczas żyliśmy w zgodzie. Ale wy sami nie wiecie do czego dążyło wasze dowództwo. Opracowywało ono potajemnie plan zbrojnego zlikwidowania naszych baz. Nasza współpraca dotychczasowa była tylko taktyczna a nie ideologiczna..."

Czas bo to był wzmagającego się terroru niemieckiego w miastach i po wsiach względem ludności cywilnej. Powodzenie akcji wymagało jednolitości taktycznej, strategicz-


rys. Krystyna Hierowska

nej, uwarunkowanej tożsamością idei politycznej. Z tego czasu, który został w pamięci jako okres współgrania sił pojednanych brutalnością wroga hitlerowskiego, zachowała mi się jedna zwrotka często śpiewanej piosenki, napisanej przez kapitana. Oto ona:

Jestem partyzant nie żaden zbój;
Na mnie żołnierski, stalowy strój.
Na czapce orzeł, to jest mój znak,
ten białopióry, niebieski ptak.
Tralala la la lalala la la...

Jak dziś widzę twarze młode, rumiane, dziarsko śpiewające Kukułki, Wandala, Lwa, Jastrzębca i innych.

Kiedy po powrocie do miasta ruszyłem znowu z siedemnastką, mającą urosnąć do kilkutysięcznej, częściowo zmotoryzowanej, lotnej brygady, by znaczyć swoją drogę śladami bitew (Pokiernie, Minkowice, Murzyny, Murowana Oszmianka, Worniany, Oszmiana, Troki, Murzyny itd.), budzącymi sensację i nadzieję w sercach ludzi zniewolonych przemocą, znalazłem się między nowymi Krukami, Młotami, Szczerbcami, Wilkami, Milimetrami, Leśnymi. O nastrojach poinformuje piosenka napisana przez Kima:

Na znojną walkę, krwawy bój z wrogami
Każdego z nas sumienia wezwał głos.
Przebojem iść, a los iść musi z nami,
Bo jeśli nie, to przełamiemy los.

Bo nasza pieśń nie pachnie rozmarynem,
nie ma w niej dziewcząt, ni pachnących ust,
Jak nasze życie pachnie krwią i dymem;
Pieszczotą rąk karabinowy spust.

Bo nasza pieśń nie brzęczy łańcuchami,
Kipi w niej bunt, nasz sprawiedliwy gniew.
Ten przeciw nam, który nie idzie z nami.
Jak wyrok groźny jemu jest nasz śpiew.

.....

Bracia partyzanci, dolejcie do czarki,
dorzućcie do ognia nam drew.
Nastrójcie nam gardła odgłosem fujarki,
wesoły zanućcie nam śpiew.
Hoc hoc hoc hoc!
Będziem hulać całą noc...

Oczywiście, śpiewaliśmy dużo i z zapałem. Nie obce nam były piosenki obecnie śpiewane, a więc „Rozszumiały się wierzby płaczące..", „O mój karabinie", „W mogile ciemnej śpij na wieki" — marsz żałobny śpiewany na nutę wesołego krakowiaczka i nie tylko wojskowe, bo oto:

Ja chciałbym właśnie,
gdy księżyc zgaśnie,
całować cię i pieścić cię.

Ja chciałbym właśnie,
gdy mama zaśnie...

. . . .

Jan Nagrabiecki

Kartki z pamiętnika

Szanowny Panie Redaktorze!

Kiedy czytałem w liście od Pana: „Chodzi o niewielką wypowiedź na temat Waszych wspomnień, obserwacji wydarzeń wiejskich z lat 39—41" ...a potem „...jedno najwyżej pamiętne wydarzenie z wyjaśnieniem społecznych przyczyn" — przypomniał mi się pewien zarzucony pamiętnik. Pisała go, wyjaśniam, — osiemnastoletnia dziewczyna ze wsi. Powie Pan może — co kogo mogą obchodzić dziewczęce pamiętniki. Zgoda. Ale pewne kartki powinny. Są bowiem dokumentem obserwacji. Jej notatki dotyczą wsi, leżącej kilkanaście kilometrów od Kowla. Wysepka polskości otoczona zewsząd bandami ukraińskich rezunów.

Jeszcze jedna uwaga. Po odczytaniu tego pamiętnika zauważyłem, że autorka nie orientowała się absolutnie w sprawach polityki organizacyjnej. Niech się Pan nie dziwi. Tam większość ludzi nic o tym nie wiedziało. Wyrazy A.K., B. Ch., — 27 Dywizja to była dla nich czarna magia. Im wystarczał wyraz: partyzanci. Owiewała go mgła legendy. Mgła była, niestety, z tandetnej gazy — rozwiał ją wiatr najcięższych wypadków.

Ci oficerowie i dowódcy 27 Dywizji dbali jak się okazało o swoją legendę, a o ludzi o tyle, o ile chcieli jeść i spać. Może to zdanie jest zbyt gorzkie, ale podyktowała mi je suma doświadczeń i doznanych zawodów autorki pamiętników i jej bliskich.

Kto czytał książkę Zofii Drożdż - Satanowskiej p.t.: „Niewydeptane ścieżki" temu zwrócę uwagę na fakt, że opisywane tam wypadki toczyły się często blisko tych z pamiętnika.

Kto czytał powieść J. N. Kłosowskiego, p. t. „Jarzmo" ten wie o różnicach pomiędzy „górą" a „dołami" w lubelskim. Tu tych różnic nie było, po prostu nie było tu B. Ch. Ale między „górą" a „dołami" istniały nieporozumienia i żale po doznanych zawodach, o czym nie mówi już ten dzienniczek. Ale dość, wyciągam parę kartek z pamiętnika.

J. N. Listowski.

* * *

Pisane 18 stycznia 1944 roku.

Dziś przybył do wsi oddział Krwawej Łuny. Tak nazywa się dowódca tego oddziału. Ukraińcy wymordowali mu całą rodzinę. Mści się — stąd straszny pseudonim. Partyzantów jest chyba dwustu. My czujemy się całkiem bezpiecznie. Nareszcie tej nocy będzie można wyspać się spokojnie, bez obawy, że banderowcy wpadną rżnąć.

Pisane 20 stycznia 1944 roku.

A jednak nie sprawdziły się moje przypuszczenia. Wczoraj rano za partyzantką przybył silny oddział ukraińskich rezunów razem z Niemcami. Spalili pół wsi. Musieliśmy uciekać. Wcale nie miałam siły po tym tyfusie. Ludzie bardzo boją się śmierci. Uciekali, a mnie zostawili samą. Nic dziwnego, kulki padały obok w śnieg pac... pac... Zupełnie jakby grad padał. Widziałam jak palił się nasz dom. Moje książki. Będziemy mieszkać w chlewiku, bo jest z pustaków i nie spalił się.

To było straszne. Oddział partyzantów stał pod bronią i patrzył. Żołnierze owi gryźli sobie ręce i klęli, ach, jak okropnie klęli. Nigdy nie przypuszczałam, że tak można kląć. Podobno kilku zaczęło strzelać do Niemców i byłaby bitwa, ale przyszedł rozkaz: wycofać się i nie strzelać do Niemców. Ale dlaczego? Nikt tego zrozumieć nie może. Takie rozkazy są straszne. Pytałam ojca — też klnie i mówi, że nie wie i że cholera wie, i żebym już dała mu spokój.

Czarna niedziela 1944 rok.

Ta niedziela nazywa się czarna, bo w kościele zasłaniają dziś krzyże. A u nas dziś czarna rozpacz. Zbliża się front. Niemcy cofają się. Lada dzień mogą przejeżdżać przez wieś. Ukraińcy naokoło tylko czekają sposobnej chwili do napadu. Przecież ich to strasznie złości, że wokoło wyrżnęli wszystkie polskie wsie, a nas jeszcze nie. Nasza rozpacz dziś u szczytu. Partyzantka odeszła. Wszystkie partyzantki odeszły. Podobno mieli rozkaz wycofać się za Bug, na Lubelszczyznę. Ale nikt w ten rozkaz nie wierzy. Każdy mówi, że bohaterowie zwiali. I znów wszyscy klną na jakiś „rozkaz".

Pada deszcz. Od rana pada. Mówię, że to Wołyń płacze. Mama dała jeść kluski z gryczanej mąki, mielonej w żarnach. Ale nie mo-


rys. Stefan Just

głam przełknąć ani jednej. Ciągle płaczę. Jestem straszna beksa. Nie mogę stłumić okropnego żalu. Może jakoś go wypiszę, ale gdzie tam.

Ojciec kłócił się dziś z jakimś dowódcą partyzantki... „Jak wy możecie opuszczać nas w takiej chwili. Przecież nas tu wymordują".

— „No to co, mamy czekać, żeby i nas wytłukli razem z wami? jeszcze nam życie miłe". — „Rozumiem was bohaterzy — myśmy was uważali za naszych obrońców. Iluż tu ludzi z sąsiednich wsi i z miast uciekało, bo wyście tu byli. Myśleliśmy, że wy tu poto, żeby nas bronić, a wyście tu byli dlatego, że na wsi lepiej niż w lesie. Dlatego, że dawaliśmy wam ostatni chleb, ostatnie koszule. Wygodnie wam tu było dziewczęta bałamucić, panowie z miasta. Ale jak prawdziwe niebezpieczeństwo, to u was zaraz rozkaz: nie strzelać do Niemców — albo: wycofać się".

Straszny dziś dzień. Każdy chodzi milczący. Nasi starzy chłopi — a jest ich tylko garstka tych ojców, powiedzieli, że będą nas bronić przed banderowcami. Ale co oni poradzą. Jak na wilki pójdą z widłami. Prawdziwa czarna niedziela. I znów beczę. I deszcz beczy. I mama też. Strasznie źle.

Pierwszy dzień Wielkanocy 1944 rok.

Dwa tygodnie przeżyliśmy w strachu. W razie jakiegoś sygnału niebezpieczeństwa chowaliśmy się do ziemianek. Ale dzisiaj nareszcie odetchnęliśmy. Pogoda była od rana cudowna. Przez wieś przechodzi pierwszy oddział sowiecki. Nic nikomu nie zrobili. A ukraińskie rezuny uciekły. Lecą jakieś samoloty..

Drugi dzień Wielkanocy, 1944 rok.

To były niemieckie samoloty. Bombardowali wieś. Ale wcale się nie bałam, choć inni płakali. Wyglądałam szparką i widziałam, jak [illegible] bomby. Dzisiaj znowu deszcz pada. Mama woła do jedzenia. Chleb i bułki z takiej ciemnej mąki mielonej na żarnach. Mam już trochę siły i też pomagałam mleć, ale było za ciężko. Ten tyfus jeszcze we mnie „siedzi", jak mówi mój mały brat. Idę jeść.

F A K T Y I Z D A N I A

Taka pochwała „Odrodzenia"?

Polityka kulturalna w naszym pojęciu nie jest sprawą łatwą. Wymaga wielostronnej orientacji i w zagadnieniach środowisk społecznych i w twórczości artystycznej. Jednym z organów polityki kulturalnej są czasopisma a zwłaszcza ze względu na swą częstotliwość — tygodniki literackie. Można i trzeba oceniać je, określać miejsce i ważność każdego z nich. Ale nie można robić tego tak, jak „Dziennik Łódzki" w swej niedzielnej „Panoramie" z dn. 14 marca b. r. „Dziennik" ten —— mówiąc nawiasem — z tajemniczych powodów nieprzychylny „Wsi" — podchwytuje z aplauzem notę „Słowa Polskiego" z Wrocławia, krytykującą w czambuł nasze literackie czasopisma. Są one martwe, nieciekawe, nieczytelne. Tak, tak, tak — potwierdza „Dziennik Łódzki" i dodaje ostre słowa własne: kliki, makulatura i t. d. Dostało się „Kuźnicy" za to, że chwali „Wieś", dostało się „Wsi" za chłopomanię, którą przecież zwalcza, „Nowinom" za nudę, „Tygodnikowi Powszechnemu" za martwotę — jedno tylko „Odrodzenie" zdobyło się według kronikarza łódzkiego na rewolucję kulturalną, jedno „Odrodzenie" zerwało z „bełkotem" panującym we wszystkich innych pismach i tylko odrodzone „Odrodzenie" może liczyć na czytelnika i oczywiście na „Czytelnika".

Z ciekawością śledzimy zmiany redakcyjne w szanownym, bo jeszcze lubelskim, pierwszym po wyzwoleniu — tygodniku literackim. Zmiany te polegają — jak dotąd — na większym stopniu zbeletryzowania pisma, na zwiększeniu ilości materiału informującego o zagranicy politycznej i kulturalnej; w formie obserwujemy oparcie pisma na reportażu i felietonie. Interesujące to i konsekwentne. Ależ „Odrodzenie" nie potrzebuje pochwalnego poklepywania „Dziennika Łódzkiego", który nawet nie wie dobrze, za co chwali, za co gani.

Że pisma literackie robione są przez grupy, czy — jak chce „Dziennik" — przez „kliki" — jest to dobrze wiadome socjologom kultury. W życiu literackim grupy pisarskie mają decydujące znaczenie, choćby historia wyłowiła z nich potem tylko jednostkowe nazwiska. Być może, że jednostki te stawały się często wielkimi pisarzami tylko przez „dobrą kompanię" — jak powiedział o sobie Witkiewicz.

Z drugiej strony „Dziennik Łódzki" w szczerej — miejmy nadzieję — trosce o czytelność pism literackich — lekceważy sobie samo prawo postępu życia literackiego i artystycznego w ogóle. Pisma są od tego, aby formować opinię społeczną, aby „szerzyć", „upowszechniać" i dostarczać „godziwej rozrywki", ale są też warsztatami pisarzy, zwłaszcza poprzez i tak ubogą u nas krytykę literacką. W tym tylko zagadnienie — jak te warsztatowe sprawy literackie związać z problematyką szerszych niż dotychczas środowisk kulturalnych.

Paulina Czyżowa.

Starsi i młodsi Wiciarze

Na warszawskim Zjeździe akademików i licealistów Wiciarzy, odbytym w dniach 7—8 marca b.r. zaznaczyły się poważne różnice pomiędzy starszym i młodszym pokoleniem studiującej młodzieży wiejskiej.

Z dwudniowej dyskusji można było odnieść wrażenie, że akademicy podtrzymują tradycyjną postawę „poprawnego" studenta, który jest wprawdzie lojalny wobec obowiązującego programu nauczania, ale też nigdy nie próbuje poszerzyć i uspołecznić zdobywanej na wyższej uczelni wiedzy.

W czasie Zjazdu rzucono pod adresem akademików wezwanie do prowadzenia badań nad ruchem ludowym w uniwersyteckich kołach naukowych. Podobny postulat pod adresem wiejskiej młodzieży studiującej zgłosili starzy i młodzi działacze chłopscy na ostatnim Zjeździe Związku Samopomocy Chłopskiej w Łodzi. Tymczasem akademicy — Wiciarze, studenci socjologii, polonistyki, czy ekonomii, nie podjęli tego pilnego „zamówienia społecznego" w żaden zobowiązujący sposób.

Natomiast młodsze pokolenie wiciowe licealistów, reprezentujące 80% całej chłopskiej młodzieży studiującej zareagowało bardzo żywo na wezwanie do poszerzania samowiedzy społecznej, poza szkolnym programem nauczania. Licealiści wysunęli cały szereg projektów mocnego osadzenia Związku Młodzieży Wiejskiej w terenie. Mówili oni o potrzebie organizowania dołowych, gromadzkich i gminnych kół wiciowych, bibliotek i domów ludowych, podkreślając, że nie może być mowy o budowaniu samopomocowej spółdzielni czy uczestniczeniu w Radach Gminnych bez pogłębienia wiedzy o społecznej funkcji tych instytucji w ramach nowej struktury państwa ludowego.

Właśnie licealiści wnieśli do uchwalonego na Zjeździe programu pracy — paragraf stwierdzający konieczność poszerzania samowiedzy społecznej poprzez lekturę prasy ludowej.

Wydaje się, że młodsze pokolenie wiciowe, weszło na właściwą drogę. Jeżeli bowiem, przemawiając na Zjeździe, powiedział min. Skrzeszewski, że nie jest urzędnikiem „na posadzie" ale działaczem Ministerstwa Oświaty, to chłopska młodzież ze szkół średnich poszła zupełnie po tej samej linii. Licealiści chcą być nie tylko poprawnymi uczniami, ale także działaczami, świadomymi społecznej funkcji nabywanej w szkole nauki.

Chodzi więc jeszcze tylko o to, aby rosnące jak „grzyby po deszczu" licealne koła wiciowe zostały wreszcie zaopatrzone w tę część prasy ludowej, która może i powinna stanowić właściwą lekturę — instruktarz dla wiciarzy — chcących budować państwo ludowe „ano od przyciesi". Oto zadanie dla redakcji pism młodej inteligencji chłopskiej, w pierwszym rzędzie dla „Wsi".

Piotr Pigwa

Chłop w oczach inteligencji

Panie Redaktorze!

Pod waszym okiem w tej samej porze, kiedy odbywają się Wasze zebrania dyskusyjne na temat np. prozy Brandysa i Dygata — (inteligentów mieszczańskich) odbywają się w teatrzyku „Osa" przedstawienia, których jeden z fragmentów stanowi olbrzymią atrakcję dla mieszczańskiej i przedmieściowej kołtunerii. Mówię o występach aktora Darskiego, z reguły przedstawiających chłopka-roztropka, ciemnego, durnego, naiwnego, ośmieszonego do ostatnich granic. Dla widowni jest to chłop współczesny, stąd pisk i chichotanie na sali powszechne. Mniejsza zresztą o nastroje sali — choć budzą one gorzkie refleksje. Chodzi głównie o to, że ten punkt żelazny programu „Osy" jest jednym z owych zdumiewających paradoksów w „epoce sojuszu chłopsko-robotniczego" i programu jednolitej kultury. Chłopek „Osy" przypomina mi tradycyjną i również ulubioną przez widownię postać przedwojennego Żydka — równie gorąco oklaskiwanego, z tą samą satysfakcją i tym samym poczuciem wyższości — rasistowskiej.

Rzecz nie może być wyczerpana w notach ani listach do Redakcji. Sprawa bowiem ma aspekt szerszy, niż prywatno-jednostkowa ciekawostka. Oczekuję we „Wsi" artykułów na temat „CHŁOP W OCZACH INTELIGENTA MIESZCZAŃSKIEGO", w których wspomniana sprawa byłaby tylko jedną z nielicznych ilustracji. Temat ten rozpracowany winien być w cyklu artykułów z uwzględnieniem historycznych, socjologicznych i niemniej ważnych — moralnych względów.

Zygmunt Stolarski

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK"

Irena Krzywicka — Bunt Kamila Martena str. 180.

Inż. B. Hunala — Kowal str. 96 ilustr. 88.

Inż. B. Hunala — Stolarz str. 162 ilustr. 136 Tablic XVI.

M. Iljin — Sztuczne oko — str. 36 ilustr. 17.

Zofia Kossak — Złota Wolność wyd. 3 tom. II str. 250.

Zofia Kossak — Złota Wolność wyd 3 tom II str. 254.

Maria Dąbrowska — Noce i dnie wyd. 5 tom III str. 316.

Teodor Tomasz Jeż — Narzeczona Harambaszy str. 63.

Czesław J. Centkiewicz — Wśród lodów Północy str. 63.

Guy de Maupassant — Baryłeczka i inne opowiadania str. 63.

KSIĄŻNICA ATLAS

Solly Salminem — Kartina wyd. 2 str. 499.

P O K W I T O W A N I E

Dla biblioteki redakcyjnej „Wsi" Ob. Zofia Matyaszewska, Lublin:

Wieś, dwór i miasto rocznik 1924; **Ulotki polityczne** rok 1928; **Ruch ludowy**, tygodnik, rocznik 1926; **Wieś polska**, tyg. OZN, rocznik 1937, 1938, 1939 wraz z dodatkiem dla dzieci; **Strumyk** — rocznik 1938; **Zagroda wzorowa** — Lwów rocznik 1927; **Młody Rolnik** rocznik 1926; **Gazeta Gospodarcza** rocznik 1924; **Poradnik gospodarstw wiejskich** rocznik 1929; **Rolnik** rocznik 1923.

Redaktor naczelny — Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60 000 zł; 1/2 kolumny 30 000 zł; 1/4 kolumny 15 000 zł; 1/8 kolumny 8 000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133 Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—025533